



GALAKTYKA GUTENBERGA

BOB SHAW



Orbitsville 2

PRZENIESIENIE

**Bob Shaw**

# **Orbitsville 2**

**Przeniesienie**

Przełożyli:  
Grażyna Grygiel i Piotr Staniewski

Orbitsville2: Przeniesienie  
tyt. oryginału: *Orbitsville Departure*  
*Orbitsville Departure* copyright © 1983 by Bob  
Shaw

ROZDZIAŁ 1  
ROZDZIAŁ 2  
ROZDZIAŁ 3  
ROZDZIAŁ 4  
ROZDZIAŁ 5  
ROZDZIAŁ 6  
ROZDZIAŁ 7  
ROZDZIAŁ 8  
ROZDZIAŁ 9  
ROZDZIAŁ 10  
ROZDZIAŁ 11  
ROZDZIAŁ 12  
ROZDZIAŁ 13  
ROZDZIAŁ 14  
ROZDZIAŁ 15  
ROZDZIAŁ 16  
ROZDZIAŁ 17  
ROZDZIAŁ 18

## ROZDZIAŁ 1

Pozostało im tylko kilka godzin i postanowili je spędzić na spacerze w parku Garamonda.

Dallen był tu już przedtem kilkakrotnie. Teraz odczuwał podekscytowanie i lęk, a zmysły miał niezwykle wyostrzone. Światło słoneczne raziło niemal do bólu; barwy wydawały się nienaturalnie intensywne. Za zasłoną drzew ostro błyszcząły miedziane dachy domów. Pobliskie krzewy i kwiaty, jaskrawe jak upierzenie tropikalnych ptaków, zdawały się płonąć w pionowych promieniach słońca. Jasnozielone trawniki opadały w dół, ku jednemu miejscu, na które można było patrzeć bez bólu oczu: okrągłemu, ciemnemu jezioru o średnicy około kilometra. Bliższy brzeg był częściowo zaciemniony przez niski wal z cegieł i metalu - pozostałość dawnej fortyfikacji. Turyści, w małych grupach, siedzieli między ruinami murów lub spacerowali po ścieżce wokół jeziora i widać było, jak przesuwiają się kolorowe owale ich kapeluszy.

- Zejdźmy tam i popatrzmy - powiedział Dallen do żony, biorąc ją odruchowo za rękę.

Cona Dallen zawahała się:

- O co chodzi? Nie możesz poczekać?

- Chyba nie zaczniemy wałkować tego wszystkiego od nowa? Myślałem, że doszliśmy do porozumienia.

Dallen puścił jej rękę.

- Wydaje ci się, że... - Cona urwała, popatrzyła na niego smętnie, ale nagle jej nastrój się zmienił: uśmiechnęła się i otoczyła go ramieniem. Tak objęci zeszli w dół po stoku.

Byli prawie równego wzrostu i poruszali się w zgodnym rytmie. Dallen czuł jej ciało zgrane z jego ciałem i przypomniał

mu się ich poranny, wydłużony seans miłosny. Raptem dotarło do niego, że Cona zachowuje się tak rozmyślnie, by uświadomić mu, co traci. Poczul przyływ tej samej bezsilnej urazy, jaka od miesięcy co pewien czas mąciła ich związek. Stłumił w sobie jednak to uczucie i postanowił cieszyć się z chwil, które im jeszcze pozostały.

Dotarli do ścieżki, przecięli ją i przechylili się przez barierkę okalającą ciemny brzeg. Dallen przysłonił oczy, spojrział w ciemność i po chwili dostrzegł gwiazdy.

Panująca wokół jasność zakłócała mu widok, zdołał odróżnić jedynie główne gwiazdozbiory, ale natychmiast ogarnął go jakiś pierwotny lęk. Całe jego życie upłynęło na wewnętrznej powłoce Orbitsville. Tylko sporadycznie, kiedy odwiedzał okolice portalu, mógł bezpośrednio spojrzeć na inną część galaktyki.

„Jak już będę na Ziemi, co noc będę się napawał widokiem gwiazd” - marzył.

- Nie lubię tego - powiedziała Cona. - Wydaje mi się, że wypadnę.

Dallen potrząsnął głową:

- Nie ma obawy. Pole przesłaniające jest dostatecznie silne, utrzyma ciężar dowolnej osoby.

- Co ty powiesz? - Cona żartobliwie szturchnęła męża biodrem. - Czyżbyś sugerował, że jestem za gruba?

- Ależ skąd! - Dallen popatrzył serdecznie na żonę.

Pogoda, z jaką przyjmowała swoje problemy z nadwagą, zasługiwała na uznanie. Cona, jasna blondynka, miała proste, regularne rysy - częsta cecha u ludzi otyłych. Stosując odpowiednią dietę, udawało jej się utrzymać wagę w granicach kilku kilogramów blisko ideału. Jednak od narodzin syna

przed trzema miesiącami jej wysiłki szły na marne.

Myśl o tym, że będzie musiał opuścić Mikela, zakłóciła Dallenowi dobry nastrój. W ciągu ostatniego roku sporo czasu zabrało mu załatwianie przeniesienia na

Ziemię. Uzyskał awans na urzędnika IV Grupy w Meta - rządzie. Cona, gdy była w ciąży, zdawała sobie sprawę z jego planów, ale dopiero po urodzeniu dziecka oznajmiła zdecydowanie, że nie opuści Orbitsville. Jako powód podała, że Mikkel jest za mały na podróż i na tak drastyczną zmianę klimatu. Dallen podejrzewał jednak inne motywy i czuł się urażony. Wiedział, że jego żona nie ma ochoty rozstawać się ze schorowanym ojcem. Ponadto, Cona - zawodowy historyk, bardzo zaangażowała się w pisanie swej nowej książki na temat osadnictwa Żydów na Orbitsville. Pierwszy motyw nie dawał pola do krytyki. Natomiast motyw drugi był przyczyną wielu sprzeczek, które przybierały wprawdzie formę rozsądnych dyskusji, a nawet żartów, bardzo jednak psuły atmosferę.

Dla niektórych ludzi fakt bycia Żydem ma prawie wymiar religijny..., myślał czasami Dallen.

Coś olbrzymiego poruszyło się w ciemnej głębi. Cona odskoczyła od barierki, a Dallen drgnął. Po sekundzie uświadomił sobie, że jest to frachtowiec kursujący między portalami. Sunął przez Kosmos, jakieś pięćdziesiąt metrów pod stopami Dallenga, niby cichy Lewiatan płynący ku przeciwległemu brzegowi czarnego jeziora. Dallen patrzył, jak statek rozpływa się w dali, w mirażach pola przesłaniającego. Na odległym brzegu tego kilometrowego otworu znajdował się port kosmiczny, z którego Dallen miał wkrótce odlecieć w kierunku Ziemi. W panoramie portu dominowały budynki dworców i magazyny. Główne urządzenia - olbrzymie doki dla statków

kosmicznych, wysunięte na zewnątrz, w przestrzeń, były słabo widoczne.

- Czuję się tu nieswojo - powiedziała Cona. - W Bangor wszystko jest bardziej swojskie.

Dallen wiedział, co żona ma na myśli: pagórkowate okolice ich rodzinnego Bangoru, przypominały krajobraz ziemski. Miasto znajdowało się o 16000 kilometrów dalej, we wnętrzu Orbitsville i zgodnie z oficjalnymi danymi leżało na wysokości prawie tysiąca metrów. Oznaczało to, że na powłoce Orbitsville zgromadziła się właśnie taka warstwa skał osadowych. Lecz Dallen wiedział, że struktura geologiczna nie miała tu zbyt wielkiego znaczenia. Bez powłoki z hilemu - zagadkowej substancji, z której zbudowana była olbrzymia sfera - wewnętrzna warstwa skał, gleby i roślin nie mogłaby się utrzymać i rozleciałaby się. To była nieprzyjemna myśl, ale jedynie przyjezdni i nowi osadnicy zaprzęтали sobie nią głowę. Wszyscy urodzeni w Orbitsville mieli całkowite zaufanie do jego trwałości i wiedzieli, że jest ono solidniejsze od większości planet.

- Nie musimy tu stać. Możemy zwiedzić ogrody różane - zaproponował Dallen.

- Jeszcze nie teraz.

Cona musnęła maleńki aparacik, który przypięty był jak broszka do szafranowej bluzki.

- Chciałabym zrobić parę zdjęć pomnika Garamonda. Może włączę któreś do swojej książki.

Zdaje się, że przyszłaś tu, by mnie odprowadzić, a nie żeby pracować, zaprotestował w myślach Dallen.

Zastanawiał się, czy Cona wspomniała o książce specjalnie, spodziewając się, że on właśnie w ten sposób zareaguje. U Cony pociągająca była dla niego przede wszystkim jej niezaw-



leżność i rozumiał, że nie ma prawa zmieniać reguł gry w ich wzajemnych stosunkach. To dobrze, że Cona jest zdecydowana i samodzielna. Cisnęła mu się jednak do głowy myśl: o ileż byłoby lepiej, gdyby razem udali się na Ziemię i razem przeżywali tę podróż.

Istniało oczywiście inne wyjście, wielokrotnie sugerowane przez Conę. Dallen mógłby przesunąć swój wyjazd o kilka lat. W tym czasie Mikel by podróżował, Cona ukończyłaby książkę i duchowo przygotowałaby się do wkroczenia w nową, fascynującą fazę swego życia.

Dallena przebiegł nagły dreszcz. Przyszła mu do głowy nieoczekiwana, zaskakująca myśl. Uświadomił sobie, że ciągle jeszcze jest czas, by zmienić plany. Mógłby wykreślić się od wyjazdu na Ziemię - po prostu nie stawiłby się na odlot.

Agendy Metarządu były wprawdzie biurokratyczne, ale godziły się z tym, że nie wszyscy ludzie mogli znieść psychiczne trudy podróży międzygwiazdnej. Często zdarzały się rezygnacje i ucieczki w ostatniej chwili; ukuto nawet na to żargonowe określenie: zwiewanie. Nigdy również nie ładowano na statek bagażu, zanim właściciel nie znalazł się na pokładzie.

To przecież nie wstyd, mówił sobie w duchu Dallen. To nie wstyd być giętkim i dostosować się do okoliczności tak jak inni ludzie.

Miał okazję wykonać wielki, romantyczny, bezinteresowny gest i nikomu nie musiałby wyjawiać, a już na pewno nie żonie, że byłby to w gruncie rzeczy czyn jak najbardziej egoistyczny, gdyż umożliwiłby mu pozostanie przy tym, co było mu drogie.

- Pomnik. Zdjęcie. - Cona pokiwała mu palcem przed

oczami. - Pamiętasz?

- Cały czas - odrzekł Dallen.

Oszołomiony, starał się z nowych klocków poukładać od początku swój wewnętrzny wszechświat. Szedł z Coną wzdłuż krawędzi otworu aż do miejsca, gdzie ścieżka rozszerzała się tworząc mały półokrągły plac. W jego centrum, na samej krawędzi Kosmosu stał heros z brązu w skafandrze takim, jakich używano w lotach międzygwiazdnych dwa wieki temu. W jednej ręce heros trzymał hełm, a drugą osłaniał oczy, patrząc w horyzont. Pomnik cieszył się zasłużoną sławą. Rzeźbiarzowi udało się nadać postaci pewien szczególny wyraz twarzy: przestraszony, a jednocześnie spokojny i spełniony. Odczuwał to każdy, kto ze sterylnej czerni kosmosu wchodził przez bramę do wnętrza Orbitsville i ogarniał wzrokiem trawiasty bezkres.

Na tabliczce u stóp posągu widniał prosty napis: VANCE GARAMOND, ODKRYWCA.

Cona nigdy przedtem nie widziała tego pomnika.

- Muszę zrobić zdjęcie ~ zdecydowała.

Odeszła od Dallenga i wmieszała się w grupkę widzów, na których z postumentu rzutowane były różnojęzyczne promienie informacyjne. Dallen, zatopiony nadal we własnych myślach postąpił kilka kroków naprzód, aż poczuł, że jego oczy zalała fala wielobarwnego światła: znaczyło to, że jeden wędrujących promieni zatrzymał się na jego twarzy. Projekcja zaczęła się po ledwie zauważalnej chwili, w czasie której rzutnik zbadał optyczną odpowiedź Dallenga na sygnały podprogowe i prawidłowo wywnioskował, że jego ojczystym językiem jest angielski.

Prawie całe pole widzenia Dallenga wypełniły nagle ob-

razy rzutowane bezpośrednio na siatkówki jego oczu. Ukazał mu się trzykadłubowy statek widziany z przestrzeni kosmicznej, manewrujący w pobliżu owalnego otworu w powłoce Orbitsville.

Do Dallena przemówił głos ni to męski, ni to kobiecy:

*Dwa wieki temu, w 2096 roku, pierwszy statek z Ziemi dotarł do Optima Thule. Nazywał się Bissendorf. Wchodził w skład wielkiej floty statków badawczych. Jej której właścicielem i zarządcą była spółka Starflight, kompania, która w tamtym czasie miała monopol na podróże kosmiczne. Bissendorffem dowodził Kapitan Vance Garamond.*

*Stoi pan teraz dokładnie w tym miejscu, gdzie Kapitan Garamond postawił stopę na ziemi Optima Thule po sforsowaniu pola przesłaniającego, które utrzymuje naszą atmosferę...*

Obrazy rekonstruowały teraz moment pierwszego lądowania, ukazywały Garamonda i niektórych członków jego załogi na dziewiczej równinie, którą obecnie zajmowało rozległe miasto Beachhead. Do uszu Dallena mrużano opowieść o tamtych wydarzeniach, ale on zaprzątnięty był własnymi myślami. Co go właściwie mogło powstrzymać od zrobienia tego kroku? Jakież znaczenie miałoby to dla całego świata, gdyby on, Dallen, nie poleciał na Ziemię? Inni lotnicy z Komisji Granicznej zdrowo by sobie z niego podkpiwali, gdyby wrócił do pracy, ale on miał przecież swoje własne ważne motywy. Cóż znaczyła opinia osób trzecich wobec uczuć i oczekiwań żony? No i jest przecież jeszcze trzymiesięczny Mikel...

*Zrujnowane fortyfikacje, widoczne z prawej strony, są jednymi z niewielu pozostałości cywilizacji Pierwo-byłców, która kwitła na Optima Thule około dwudziestu tysięcy lat temu. Chociaż mało o nich wiemy, jesteśmy pewni, że była to rasa istot*

*energicznych i ambitnych. Po odkryciu Optima Thule usiłovali opanować całą sferę, choć obszar nadający się do zagospodarowania był pięć miliardów razy większy od powierzchni Ziemi. W tym celu dokonali niezwykłego wyczynu inżynierskiego: wszys*

*kie z 548 portali Optima Thule, z wyjątkiem jednego, zaplombowali zbrojonymi płytami.*

*Nie ma zgodności poglądów co do tego, czy zostali pokonani przez kolejnych przybyszów czy po prostu wchłonęły ich przeogromne terytoria, którymi usiłovali zawładnąć. Jednym z pierwszych działań Metarządu Optima Thule był rozkaz odpombowania wszystkich portali. Umożliwiono w ten sposób dostęp wszystkim ziemskim narodom...*

Dallenowi ukazał się animowany film: miniaturowe statki strzelały promieniami z miniaturowej broni, otwierając po kolei portale Orbitsville, tworzące potrójny pas; dzięki temu zamknięte światło słoneczne powoli wylewało się w otaczającą ciemność Kosmosu.

*Natychmiast ruszyły migracje z Ziemi. Rozwijały się intensywnie przez półtora wieku. Początkowo podróż trwała cztery miesiące, ale potem, dzięki szybkim postępom w konstrukcji statków, czas przejazdu udało się skrócić do kilku dni. W szczytowym okresie migracji ponad dziesięć milionów ludzi rocznie przybywało do bram równikowych. Było to tak ogromne przedsięwzięcie przewozowe, że...*

Dallen, zirytowany jednostajnym głosem i monotonnymi obrazami, zrobił gwałtowny obrót, przerywając kontakt z promieniem. Wycofał się ku brzegowi owalnego placu, usiadł na ławce i obserwował, jak Cona robi holograficzne zdjęcia pomnika. Ponownie miał wrażenie, jakby Cona zbyt ostenta-

cyjnie interesowała się pomnikiem i związanymi z nim wydarzeniami, i że odgrywała przed nim po prostu tylko przedstawienie. Chciała mu dać do zrozumienia, iż podczas jego nieobecności będzie całkowicie pochłonięta swoimi własnymi sprawami. Czy musiał jednak interpretować to jako prowokację? Znał przecież Conę - może ona po prostu stara się nie komplikować dodatkowo całej sprawy?

Byłbym szalony, gdybym odciął się od tego wszystkiego, ważył w myślach decyzję.

Wstał i pomachał Conie, która właśnie opuściła aparat i obróciła się, szukając go wzrokiem. Ona też pomachała mu ręką i ruszyła ku niemu. Jej sylwetka sunęła zakosami wśród skupień szerokich kapeluszy, jakie nosili tu prawie wszyscy dla ochrony przed pionowymi promieniami słońca. Uśmiechnął się; usiłował sobie wyobrazić, jak Cona zareaguje na jego doniosłą decyzję.

Mógł albo od razu ją wyjawić, licząc na wielki, teatralny efekt, albo wybrać okreśną drogę i zaproponować, żeby wieczorem wybrali się na uroczystą kolację.

Cona wyprzedziła właśnie grupę wycieczkowiczów, gdy dwóch chłopców, może dziesięcioletnich, wpadło na nią. Stała i po krótkiej wymianie słów dała im trochę pieniędzy. Chłopcy natychmiast odbiegli, śmiejąc się i popychając nawzajem.

- Małe brzdące - powiedziała Cona podchodząc do Dallen. - Powiedzieli, że potrzebują na bilet do domu, ale widziałam, że natychmiast pobiegli do automatów z lemoniadą.

Jakiś wewnętrzny głos mówił Dallenowi, że trzeba zignorować to wydarzenie, ale nie mógł się powstrzymać:

- Dlaczego więc dałaś im pieniądze?

- To tylko dzieciaki.

- O to właśnie chodzi. To tylko dzieciaki, a ty je uczysz, że opłaca się prosić obcych o jałmużną.

- Na litość boską, Garry, nie przejmuj się - głos Cony był z lekka pogardliwy. - To było tylko pięćdziesiąt centów.

- Suma nie ma tu nic do rzeczy.

Dallen popatrzył twardo na żonę. Był wściekły, że nieświadomie zniszczyła coś, co mogło być najwspanialszą chwilą w ich życiu.

- Myślisz, że nie potępiłbym tego bez względu na to, czy chodzi o pięćdziesiąt centów czy o pięćdziesiąt monetów?

- Nie sądziłam, że dobro dzieci leży ci aż tak na sercu.

Cona stała w słupie cienia, utworzonym przez jej kapełusz, jakby ukryta w innym świecie.

- Co masz na myśli? - spytał, choć doskonale wiedział, o co chodzi i tylko prowokował ją, by go zaatakowała, wykorzystując Mikela. Oboje stali na granicy przepaści, a grunt usuwał się im spod nóg. Ciągle jeszcze dałoby się uniknąć upadku, gdyby Cona powstrzymała się przed wykorzystaniem Mikela.

- Ta wzruszająca troska o obce dzieci - powiedziała Cona. - Chyba nie jest na miejscu u człowieka, który ma właśnie zamiar zafundować sobie wycieczkę na Ziemię i opuścić własnego syna.

- Ja...

Nie jadę, podpowiadał sobie Dallen. Powiedz to teraz... Nie jadę na Ziemię.

Usiłował przywołać te przełomowe słowa, ale w duszy nie miał już czułości. Odwrócił się od żony zniechęcony, walcząc ze swą wrodzoną, oziębłą wyniosłością, z góry jednak wiedział, że tej walki nigdy nie wygra.

Trzy godziny później Dallen stał na pomoście statku pasażerskiego „Runcorn”, który uwalniał się z rusztowań doku i wyzwalał z niewyobrażalnej, bezmiernej powłoki Orbitsville.

W początkowym stadium lotu statek poruszał się bardzo wolno. Jego pułapki magnetyczne nie mogły zgarnąć dostatecznej ilości masy reakcyjnej w tym rejonie przestrzeni, gdyż został on już mocno przeczesany przez inne statki. Skutkiem tego kilometrowy otwór, wokół którego zbudowano miasto Beachhead, widoczny był przez prawie trzydzieści minut. Miał on bardzo powoli, aż stał się jasną elipsą, potem świetlną kreską, coraz krótszą, wreszcie znikł. Ale nawet gdy „Runcorn” oddalił się w Kosmos na kilka tysięcy kilometrów, niedoświadczony podróżny mógł sobie pomyśleć, że statek zawisnął w niewielkiej odległości „nad” powłoką. Z tej odległości Orbitsville stanowiło połowę widocznego świata, było pozornie płaską powierzchnią, która zajmowała praktycznie całe pole widzenia - doskonałe, realne przybliżenie nieskończonej płaszczyzny, jaką wyobrażają sobie topologowie.

A ponadto była ona *czarna*.

Kiedy spojrzano się w kierunku Orbitsville, niczego nie można było dostrzec z wyjątkiem obwódki portalu. Nie było żadnych błędzących, świetlnych błysków, żadnych refleksów. Jeśli można było wierzyć oczom, Kosmos, tak obficie usiany gwiazdami, galaktykami i warkoczami świecącego gazu, został rozcięty na pół, na hemisferę światła i hemisferę ciemności - ogromne, niewidzialne Orbitsville. Nawet z dystansu miliarda kilometrów - odległości, którą światło przebywało prawie w godzinę - sfera budziła grozę. Wyglądała jak olbrzymia, czarna dziura wygryziona w centrum nieba.

Co musiała myśleć załoga *Bissendorfa*, kiedy zbliżała się

po raz pierwszy w te okolice? - zastanawiał się Dallen. - Co sobie wyobrażali, widząc zarys ciemnego, okrągłego balonu, który cały czas przesłaniał połowę Kosmosu?

Wyobrażał sobie, że ci pierwsi odkrywcy skłonni byli sądzić, iż mają do czynienia ze sferą Dysona. W dwudziestym wieku powstała teoria, że wysoko rozwinięta cywilizacja, by zaspokoić własne potrzeby terytorialne i energetyczne, będzie musiała w końcu otoczyć sferą swoje macierzyste słońce i rozprzestrzenić się wewnątrz utworzonej sfery. Jednakże sfera Dysona, przez wiele tysięcy lat pracowicie sklejana z rozmontowanych planet, asteroidów i okruchów kosmicznych, musiałaby być tworem niejednolitym. Musiałaby więc przepuszczać różne rodzaje promieniowania, które dostarczyłoby wielu wskazówek na temat natury tego tworu.

Natomiast Orbitsville pozostało tajemnicze. Powłoka z hilemu nie przepuszczała niczego z wyjątkiem grawitacji i dlatego podróżnicy z *Bissendorfa* wiedzieli jedynie, że zbliżają się do słońca, które w jakiś sposób zostało zamknięte w przepastnej, wydrążonej kuli. Czujniki dalekiego zasięgu wskazały im, że powierzchnia globu nie miała spoin i była tak gładka, jak powierzchnia ze stali obrobionej maszynowo. Inne informacje nie nadchodziły.

Dallen uświadomił sobie, że nawet teraz, dwa wieki później, ludzie nie do końca rozumieli, jak powstała sfera. Przeprowadzono badania, które nie dostarczyły konkretnych faktów, stały się natomiast inspiracją wielu hipotez. Nie był to materiał dla pragmatycznych uczonych - raczej dla poetów i mistyków...

*Jak można wyjaśnić powstanie globu z ultramaterii bez spoin, którego obwód wynosi miliard kilometrów? Może być*



*tylko jedno źródło tak niewyobrażalnych ilości materii powłokowej: samo słońce. Materia jest energią, a energia materią. Każda aktywna gwiazda wyrzuca codziennie w przestrzeń, w postaci światła i innych rodzajów promieniowania, równoważnik milionów ton swej materii. W przypadku słońca Orbitsville, znanego kiedyś jako Gwiazda Pengelly 'ego, Twórca zainstalował granicę, odbijając w ten sposób energię, manipulując nią i przemieniając ją w materię. Sterując precyzyjnie elementarnymi siłami wszechświata, Twórca wykreował nieprzepuszczalną powłokę z takiej dokładnie materii, jakiej chciał: twardszej niż diament, niezmiennej, wiecznej. Gdy sfera była ukończona, nabrała właściwej grubości, Twórca znów zanurzył ręce w źródle energii i wykreował nowe cuda: pokrył wewnątrz sfery glebą, wodą i powietrzem. Kwasy organiczne, nawet całe komórki i nasiona, wszystko zostało stworzone w ten sam sposób, gdyż w rzeczywistości nie ma różnicy między źdźbłem trawy a ostrzem noża...*

- Niezłe widowisko. - Powiedziała to młoda kobieta, która niepostrzeżenie stanęła obok Dallenga przy wygiętej barierce pomostu. - Nie można się napatrzeć.

- Wiem, co pani ma na myśli - odrzekł, obrzucając ją spojrzeniem. Przytłumione oświetlenie pochodziło głównie z poświaty obłoków gwiazdnych, jednak Dallen dostrzegł, że kobieta ma orientalne rysy i jest atrakcyjna.

Doszedł do wniosku, że jest sportsmenką lub aktorką estradową.

- To moja pierwsza podróż na Ziemię - powiedziała. - A pana?

- Również. - Dallen ze zdziwieniem stwierdził, że przez chwilę miał ochotę przedstawić się jako weteran podróży

kosmicznych. - Dla mnie to wszystko nowość.

- Zauważyłam, jak pan wchodził na pokład.

Dallen rozważał ewentualne konsekwencje tej uwagi, w szczególności to, że kobieta wie, iż on podróżuje sam.

- Jest pani bardzo spostrzegawcza.

- Niezbyt. - Kobieta skrzyżowała z nim spojrzenie.

-Dostrzegam tylko to, co chcę.

- W takim razie szczęściara z pani - odrzekł Dallen łagodnie.

Odwrócił się i opuścił pomost. Bez trudności usunął całe wydarzenie za swych myśli. Ciągłe był zły na Conę, ciągle czuł się oszukany, że nie podróżuje z rodziną. Ale flirt z inną kobietą byłby zagrywką tanią i wulgarną. Wielu mężczyzn by na to poszło, ale nie Garry Dallen. Doszedł do wniosku, że najlepsze, co mu pozostaje, to wykorzystać do maksimum salę gimnastyczną na statku i spalić swoje frustracje w prostym, fizycznym wysiłku.

Wszyscy inni pasażerowie wyglądali na turystów: małżeństwa, rodziny, kluby, grupy wycieczkowe jechały w odwiedziny do kolebki swojej kultury korzystając za znacznych dotacji Metarządu. Dallen wyraźnie czuł swą samotność, gdy wymijając ludzi szedł po dres. W sali gimnastycznej był sam. Natychmiast zabrał się do roboty. Mierzył się z „atlasem”; powtarzając to samo ćwiczenie setki razy, starał się osiągnąć stan umysłowego i fizycznego wyczerpania, który zagwarantowałby mu sen w nocy.

I udało mu się to w tym sensie, że zasnął w dziesięć minut po wejściu do łóżka. Jednak w dwie godziny potem obudził się z przygnębiającym poczuciem, że do ranka czekają go długie, uciążliwe zmagania. Leżał bezsennie, wyobrażając sobie

swoją nową pracę w Madison City. W czasie weekendów będzie mógł robić wycieczki do setek bajecznych starych miast i malowniczych, wspaniałych miejsc rozrzuconych na tej małej planetce. Jednak jego mózg odmawiał współpracy. Nie nadchodziły żadne wyraźne obrazy. Kiedy drzemał, balansując na nieprzyjemnej granicy między czuwaniem a snem, gdzie grasują dziwne strachy, Ziemia wydawała się obcym i nieprzyjaznym miejscem.

Drzwi ku przyszłości były nadal uparcie zamknięte, nie otrzymał żadnego znaku na temat tego, co miało nadejść.

## ROZDZIAŁ 2

Gerald Mathieu otworzył szufladę swojego biurka i - choć miał wsparte narkotykami poczucie słuszności z dezaprobatą patrzył na leżący wewnątrz przedmiot.

Ten typ pistoletu, niegdyś zwany Ludysterem, zrobiono na zamówienie w jedynym celu - niszczenia komputerów. Było to jedno z najbardziej nielegalnych urządzeń, jakie mógł posiadać obywatel. Nawet przy swoich rozległych znajomościach Mathieu potrzebował prawie miesiąca, by zdobyć pistolet i zagwarantować sobie, żeby nikt na całym kontynencie nie wiedział, iż broń znalazła się właśnie w jego rękach.

Teraz nadszedł czas, by jej użyć - i Mathieu bał się.

Gdyby tylko wykryto u niego tę broń, dostałby dziesięć lat więzienia. Gdyby zaś stwierdzono, że rzeczywiście ją zastosował, mógł oczekiwać wykluczenia ze społeczeństwa do końca życia. Tak surowe kary miały raczej chronić ludzi, a nie własność materialną, ponieważ broń niszczyła każdego, kto znalazł się w zasięgu jej działania - efekt, którego nie przewidzieli wynalazcy.

„W pewnym sensie jest to gorsze niż bezpośrednie morderstwo, a pod wieloma względami - większe zagrożenie dla porządku społecznego” - orzekła wykładnia prawna.

- Jak ja się, do diabła, w to władowałem? - powiedział Mathieu do siebie.

Odsunął jednak to pytanie, starając się nie myśleć o rzeczach ubocznych. Wziął pistolet i zwolnił zaczep bezpiecznika. Broń była masywna i ciężka, co wskazywało, że wewnątrz ciasno upakowano podzespoły elektroniczne, a toporne wykończenie dowodziło, że przedmiot pochodził z nielegalnego

warsztatu.

Mathieu był świadom, że zbyt długie ociąganie się jest niebezpieczne. Wsunął pistolet do bocznej kieszeni luźnej marynarki, odwrócił się i sprawdził swój wygląd w ściennym lustrze. Atletyczny, o jasnej karnacji - wydawał się młodszym niż był w rzeczywistości i świadomość tego sprawiała mu cichą przyjemność. Miał trzydzieści dwa lata. W tym wyjątkowo młodym wieku osiągnął pozycję zastępcy burmistrza, cieszył się opinią człowieka, którego stylem jest niewymuszona elegancja i teraz przez następne kilka minut wszystko w jego wyglądzie musi być jak zwykle. O tej porze dnia niewielkie było prawdopodobieństwo, że natknie się na kogoś w drodze do Podpoziomu Trzeciego. Jednak pewne ryzyko napotkania jakiejś osoby zawsze istniało i Mathieu nie chciał, żeby takie zdarzenie zapamiętano; powinno być szybko zapomniane, ot, po prostu jedno z wielu banalnych, codziennych zdarzeń w Ratuszu.

Zadowolony, że wszystko przemyślał, wyszedł na korytarz i szybkim krokiem udał się do schodów awaryjnych w północnym skrzydle budynku. Przed sobą miał przezroczystą ścianę, przez którą widać było panoramę miasta

Madison. Z tej odległości przedmieścia wyglądały sielankowo. W wilgotnym powietrzu, napływającym znad zatoki, barwy były stłumione, kontury zamazane. Mathieu po raz ostatni odwrócił się i spojrzął na pusty korytarz, otworzył drzwi do klatki schodowej i ruszył na dół. Dzięki butom na miękkich podeszwach schodził szybko i cicho, jak mewa, która bez wysiłku opuszcza się po spirali w dół.

„Ostrożnie” - pomyślał, tłumiąc podniecenie.

Nie zażył przed śniadaniem felicitynu, gdyż wiedział, że

musi mieć jasną głowę podczas tej porannej, desperackiej eskapady. Narkotyk tkwił jednak w jego organizmie i cały czas podsycił w nim wiarę, że jest niezwyciężony. Gdyby teraz coś mu się nie udało, to porażka - potencjalnie możliwa - stałaby się bolesną rzeczywistością.

Kilka tygodni temu Mathieu odkrył, że na Podpoziomie Trzecim znajduje się komputer Ministerstwa Zaopatrzenia. Wpadł wówczas w panikę, mimo iż jego umysł tkwił wtedy w chemicznej osłonie. Kilkadziesiąt lat temu zainstalowano ten komputer z namowy jakiegoś, zapomnianego już teraz, urzędnika Metarządu. Było to w epoce, gdy na Orbitsville znacznie aktywniej zajmowano się sprawami Ziemi. Od tamtego czasu monitorowano dystrybucję niektórych towarów importowanych, o czym Mathieu nie wiedział.

Komputer był najwyraźniej zaprojektowany przez jakiegoś biurokratycznego super-węszyciela o paranoicznych skłonnościach. Maszyna posiadała wewnętrzne zasilanie, które wystarczało przynajmniej na sto lat. Dane wejściowe uzyskiwała przez bezpośrednie czytanie znaczników na towarach, w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Jedyną cechą systemu działającą na korzyść Mathieu było to, że komputer nie współpracował z ogólną siecią informacyjną w Madison. Tkwił na dolnych, opuszczonych kondygnacjach Ratusza i jak pająk, interpretujący każde drgnienie swojej sieci, zbierał i przechowywał szczegółowe dane na temat przemieszczających się w regionie dostaw od Metarządu. Informacje te były zazdrośnie strzeżone, zamknięte w zabezpieczonych bankach danych, ale mogły zostać udostępnione po wydaniu właściwej komendy.

Wystarczyłoby pobieżne spojrzenie na wydruk, żeby

przekonać się, iż Mathieu wykorzystał do celów prywatnych dobro publiczne o wartości pół miliona monetów. Mathieu wolał nie myśleć, jakie konsekwencje wywołałoby takie odkrycie. Postanowił więc zniszczyć dowody, nie zważając na dodatkowe ryzyko.

Gdy dotarł do Podpoziomu Trzeciego, skręcił na prawo i poszedł przez pomieszczenie wielkie jak sala balowa, w którym kiedyś mieściło się centrum obliczeniowe. Teraz porzastawiane tam parawany i porzucone paczki tworzyły tu labirynt. Mathieu znalazł drzwi, których szukał, a których nigdy by nie zauważył w normalnych okolicznościach. Wszedł do krótkiego korytarza, który po każdej stronie miał po trzy drzwi. Na najdalszych z nich wybite były inicjały: N. R. R. D. Napis ten nic mu nie mówił i Mathieu po raz kolejny zastanawiał się, jak Solly'e-mu Hume'owi od razu udało się trafić na ten kłopotliwy komputer. Hume, młodszy architekt w biurze Naczelnego Geodety Miasta, w chwilach wolnych amatorsko zajmował się archeologią elektroniczną i obecnie zabiegał o to, żeby maszynę uznano za przestarzałą i zbyteczną; wtedy mógłby ją kupić na użytek takich jak on fanatyków. Przez czysty przypadek Ezzati, wyższy urzędnik zajmujący się wtórnym wykorzystaniem sprzętu, wspominał o niej Mathieu podczas jakiejś narady. To zaalarmowało go o nadciągającej katastrofie.

Mathieu otworzył drzwi swoim uniwersalnym kluczem i cicho wkroczył do zatęchłego pokoiku. Lampa pod sufitem zabzykała lekko, rzucając lodowate światło na płaski, metalowy blat, na którym stał komputer Ministerstwa Zaopatrzenia. Przypominał on bardziej sejf niż skomplikowaną aparaturę elektroniczną i tylko tabliczka z wygrawerowanym numerem serii świadczyła o tym, czym jest on naprawdę. W obudowie

nie większej niż pudełko na buty znajdowały się czujniki, które mogły śledzić słabiutkie sygnały emitowane przez znaczniki na towarach. Mieścił się tam również komputer, który przetwarzał te sygnały na współrzędne geograficzne i przechowywał je w pamięci, gromadząc informacje o milionach przesyłek, jeszcze z czasów przed narodzinami Mathieu. Jego jednak niepokoiło wyłącznie to, co dotyczyło ostatnich trzech lat: dowody wielkiej kradzieży.

Przez chwilę z niechęcią i z pełnym urazy respektem wpatrywał się w skrzynkę. Potem, z dziwnym poczuciem winy, wyjął z kieszeni Ludyster. Skierował na maszynę lufę, rozszerzając się na końcu jak kielich, i pociągnął za spust.

Cona Dallen wyłączyła dyktafon. Uznała, że jest jej niewygodnie i za gorąco na to, by mogła na serio zająć się pracą. Wybrała sobie ławkę pod starym dereniem na skwerze przy Ratuszu, ale cień niewiele dawał w dotkliwym, wilgotnym upale. Prawie przed czterema miesiącami przybyła z Mikelem z Orbitsville, lecz ciągle nie mogła przystosować się do klimatu w tym rejonie Ziemi, który niegdyś znany był jako Georgia.

„Gdy ma się siedem czy osiem kilo nadwagi, wszystko jest jeszcze trudniejsze” - pomyślała Cona.

Postanowiła, że do końca dnia będzie jadła tylko sałatę. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że ma jeszcze ponad godzinę do spotkania z Garrym na lunchu. Szkoda, że nie udało się jej naszkicować następnego rozdziału książki, jak zaplanowała. Problemem istotniejszym od złych warunków pracy było to, że temat wydawał się jej coraz bardziej odległy.

Książka pod roboczym tytułem „Druga diaspora” miała być oryginalnym opracowaniem historii judaizmu na Orbitsville. Jednak, ku zdziwieniu Cony, po wyjeździe męża na



Ziemię praca postępowała źle i powoli. Garry, brnąc nieśmiało w domenę akademicką, wysunął przypuszczenie, że dystans do opisywanych miejsc polepszyłyby perspektywę historyczną. Ponadto mogłaby skończyć się ich roczna separacja. Te wszystkie argumenty przemówiły do Cony i postanowiła przyjechać do męża wcześniej, niż uprzednio planowała. Teraz jednak dwóchsetletnia przygoda, jaką było założenie Nowego Izraela, sprawiała wrażenie dziwnie powierzchownej, dziwnie nieważna, gdy obserwowano się ją z odległości setek lat świetlnych.

Czy ta nowa perspektywa miała jakieś znaczenie? Czy rzeczywiście los jednego narodu był nic nie znaczącym epizodem w wielkiej mozaice historii? Czy też może sama podróż od jednej gwiazdy do drugiej potrafiła wyssać energię twórczą z mózgu, jak to już zdarzało się innym pisarzom?

„To był błąd, że przyjechałam do Garry'ego” - pomyślała, i zaraz pożałowała tej myśli.

Chyba po czterech latach małżeństwa jej stosunki z Garrym mogą stać się trwałym rusztowaniem, wokół którego powinna budować dalej swoje życie.

- Mamo! - Mikel podniósł miniaturową ciężarówkę, którą ciągnął przez trawę, i poszedł kilka kroków do tyłu, aż przywarł do kolan matki.

- Co się stało, Mikelu?

Wskazał z lękiem na szaro-białą mewę, która przysiadła w pobliżu.

- Osa!

- To ptak. Nie zrobi ci nic złego.

Cona uśmiechnęła się. Klasnęła w dłonie i mewa obojętnie odeszła kilka metrów dalej. Dla Mikela każde fruwanie

stworzenie było osą, a każdy czworonóg - kotem. Natomiast w jego słowniku znajdowało się przynajmniej tuzin rzeczowników, które precyzyjnie określały różne rodzaje pojazdów. Cona często myślała, czy dziecko może wykazywać zdolności techniczne tak wcześnie.

- Nie lubię - powiedział Mikel.

Nadal przytulał się do niej. Czuła na jego włosach czysty zapach dziecięcego potu.

- Za gorąco tutaj. Chodźmy do biura tatusia i napijmy się czegoś zimnego.

Wstała, lekko wzięła Mikela na ręce i poszła w kierunku Ratusza, do wejścia w północnym skrzydle. Biuro Garry'ego będzie puste do południa i jeśli Mikel zechce się sam pobawić, może to być dobre miejsce do pracy.

Cona dotarła do wejścia i srebrzyste, szklane drzwi rozsunęły się automatycznie, wzbudzając ciekawość Mikela. Weszła do klimatyzowanego, chłodnego westybulu. Zawahała się. Zgodnie z przepisami powinna przejść przez jedną czwartą budynku i zameldować się przy głównym wejściu, zanim pojdą na drugie piętro do biura Garry'ego. Jednak ubranie oblepiało jej ciało, Mikel wydawał się cięższy z każdą chwilą, a w pobliżu nie było żadnego urzędnika, który mógłby wymusić przestrzeganie przepisów. W westybulu panowała poranna cisza.

Cona otworzyła drzwi ewakuacyjnej klatki schodowej. Tę drogę najczęściej wybierał Garry, gdy śpieszył do pracy. Cona zaczęła wchodzić na piętro, odruchowo starając się iść jak najciszej. Ledwie dotarła do kwadratowej platformy na półpiętrze, gdy powietrze wypełniło ostre beczenie sygnału alarmowego.

Przestraszona, z nieracjonalnym poczuciem winy, przycisnęła syna bliżej do siebie i przywarła do ściany nie mogąc się zdecydować: wracać czy iść dalej.

Na dźwięk alarmu Mathieu jęknął głośno z przerażenia.

Odstępował od komputera wiedząc, że strumień promieniowania, który wysłał, wytrze zarówno programy, jak i dane. Przemknęła mu myśl, że maszyna utrzymała zdolność przekazania sygnału o sabotażu. Potem zaświtało mu w głowie, że gdzieś na Podpoziomie Trzecim istnieje ciągle funkcjonujący system alarmowy, pozostałość z czasów, gdy znajdowało się tam centrum obliczeniowe. Tego nie brał nawet pod uwagę - dodatkowy dowód na to, jak ryzykownie jest planować coś ważnego, gdy się jest pod wpływem felicitynu...

„Dlaczego tu sterczysz? Uciekaj! UCIEKAJ! ” - pulsowało mu w skroniach.

Szarpnął drzwi, otworzył je z trudem i wybiegł z pomieszczenia tą samą drogą, którą tu przybył. Pod wpływem zwiększonej dawki adrenaliny poruszał się tak szybko, że aż słyszał świst powietrza w uszach. Miękkie podeszwy nie powodowały żadnego hałasu, gdy Mathieu, z niebezpieczną prędkością, biegł zakosami przez duży pokój. Ciągłe skrzeczenie alarmu przydawało jego nogom nadludzkiej mocy. Dotarł do klatki ewakuacyjnej i ruszył do góry. Pokonywał po cztery - pięć stopni na raz, łapał powietrze rozdziawionymi, wykrzywionymi ustami. Wszystko działo się jak w przyśpieszonym śnie.

„Dam sobie radę” - pomyślał. Numery pięter pojawiały się i zostawały za nim z niewiarygodną szybkością. - „Wydostanę się z tego...”

Kobieta z dzieckiem na ręku wyłoniła się przed nim jak

zjawia. Dla Mathieu czas niemal stanął. W przebłysku świadomości rozpoznał Conę Dallen. Zrozumiał, że ona z pewnością mogłaby go zniszczyć, że nie będzie miała innego wyjścia, jak go zniszczyć. W czasie tej nieznośnie długiej chwili broń, o której już niemal zapomniał, uniosła się wycelowana, a jego palec nacisnął spust. Bezgłośny i niewidzialny stożek promieniowania objął kobietę i dziecko.

Zanim oboje się osunęli, Mathieu przemknął obok nich jak wielki nietoperz i całe zdarzenie odpłynęło dla niego w przeszłość. Dotarł do platformy czwartego piętra, otworzył drzwi i zobaczył, że długi korytarz, który dzielił go od azylu - jego biura - jest pusty. Mathieu ukrył pistolet w fałdach marynarki i usiłując zachować normalną prędkość, poszedł w kierunku swego pokoju. Drzwi rysowały się niebieskim trapezem, za którym mógł znaleźć schronienie. Przekręcił klamkę i wszedł do środka.

- To nie jest morderstwo - wyszeptał do głuchych ścian.

Znowu ukazała mu się Cona Dallen, osuwająca się z synem na ziemię. Wiedział z ponurą pewnością, że tę scenę będzie miał stale przed jego oczami, jak nieskończony film.

- To absolutnie nie jest morderstwo.

### ROZDZIAŁ 3

Nie chciałem cię martwić, Garry, ale zdaje się, że mamy bandytę na 1990. Ulicy - ponaglący, dobitny głos z odbiornika w uchu wyrwał Dallenga z zadumy.

Tam daleko na Orbitsville, projekt odbycia trzyletniej służby na Ziemi wydawał się Dallengowi czymś ważnym nie tylko dlatego, że było to korzystne dla kariery zawodowej. Macierzysta planeta zawsze miała dla niego jakiś romantyczny urok i pracując tu, miał szansę znacznie lepiej ją poznać, niż gdyby odbył nawet wiele wycieczek krajoznawczych. Jednak na miejscu wszystko ułożyło się inaczej: praca była inna, niż przypuszczał, żona nie chciała przedłużyć swojego pobytu, a on sam również pragnął jak najszybciej znaleźć się z powrotem w Garamond City, oddychać znów kryształowym powietrzem napływającym z bezkresnych sawann Orbitsville. Ta tęsknota za domem niepokoiła go i zawstydziała; uważał, że to niedojrzałe uczucie. Towarzyszyło mu ono jednak cały czas, odstępowało tylko wówczas, gdy coś się działo, coś co przerywało codzienną rutynę.

- Jesteś pewien? - spytał.

Wyjął z ust ćmiącą fajkę i zaczął wystukiwać ją o obcas. Stał obok swojego samochodu w parku na Szkockim Wzgórzu, z którego rozciągał się widok na południowe i zachodnie przedmieścia Madison. Niedawno przeszła krótka ulewa i Dallen rozkoszował się czystym powietrzem. Skansen, do którego należała była 1990. Ulica, oddalony był o niecałe cztery kilometry. Dallen widział nieuzbrojonym okiem ruch na niektórych skrzyżowaniach i błyski słońca na kłakach porannej mgły.

- Jestem całkowicie pewien - odpowiedział Jim Mellor, jego pierwszy zastępca, który miał służbę w centrum. - Dwa nowe detektory złapały resztki sygnału ze znacznika na jakimś wyrobie pochodzącym z Arsenału Jeziorańskiego. Ktoś musiał się porządnie natrudzić, żeby ten znacznik usunąć, ale gdy się wzmacni sygnał, to te resztki wskazują, że to zapalnik TL37.

- Czyli mała bomba.

- Na tyle mała, żeby zmieścić się w kieszeni. Na tyle duża, żeby zlikwidować dwudziestu lub trzydziestu ludzi. - Mellor wymieniał te liczby bezbarwnie. - Nie podoba mi się to, Garry. Zawiadomiliśmy wszystkie patrole, ale są daleko na przedmieściach i upłynie ze dwadzieścia minut, zanim się któryś z nich zjawi.

- Poproś ich, żeby nadlecieli nisko i cicho, i żeby wylądowali przynajmniej kilometr od Ulicy. Gdyby nasz gość zobaczył samoloty, mógłby ją zdetonować. - Dal-len wszedł do samochodu. - Czy możesz mi powiedzieć, w którą stronę on się kieruje?

- Został wytropiony na rogu Dziewiątej, a potem na Ósmej. Myślę, że zmierza do Centrum Wystawowego. Chce mieć jak najwięcej ofiar.

- Oczywiście.

Dallen włączył w samochodzie impulsowy silnik magnetyczny i zjechał ze wzgórza w kierunku 1990. Ulicy, zło-rzeczając na skąpe fundusze Metarządu. Miał zbyt szczupłe siły do patrolowania rejonu. Pogłoski o tym, że grozi pokazowy atak terrorystyczny krążyły już od kilku tygodni, od czasu, gdy Dallen przechwycił grupę przybyłą z Cordele, i dwóch jej członków zginęło w pościgu. Nie zważał specjalnie na plotki. Jeszcze mniej przejmował się wersją, która przepowiadała

zamach na jego życie -nie mógł przecież niczego przedsięwziąć. Jego siły operacyjne - szesnastu funkcjonariuszy - były stale przeciążone. Teraz wszystko wskazywało na to, że może trzeba będzie ponieść tego konsekwencje.

Nie poruszając ustami, cicho - tylko dla swojego nadajnika - Dallen zapytał:

- Czy w części muzealnej jest wielu turystów?

- Niezbyt wielu - odrzekł Meller. - Czterystu czy pięciuset. Może jedna czwarta z nich przebywa w Centrum Wystawowym. Czy chcesz ich stopniowo wycofywać?

- Nie! To mogłoby sprowokować tego postrzelonego sukinsyna. Czy możesz ustalić jego nową pozycję?

- Niestety, nie. Ten zapalnik nie daje już praktycznie żadnego sygnału. Przedtem musiały być jakieś szczególne warunki, gdy udało nam się go namierzyć na Ósmej i Dziewiątej. Nie wiem, czy jeszcze się to gdzieś powtórzy.

- Rozumiem. Ale utrzymuj ze mną łączność. Przespace-ruję się do Centrum po 1990. Ulicy i zorientuję, czy gdzieś go nie ma.

Nastąpiła krótka cisza.

- To nie należy do twych zadań, Garry.

- Udzielę sobie nagany potem.

Silnik samochodu jęczał z protestem, gdy Dallen zjeżdżał ze wzgórza szybkimi zakosami; rozpruwał po drodze kałuże, wzbijając srebrne fontanny, jechał całą szerokością ulic i parkował się na krawężniki, gdy było to nie do uniknięcia. Dallen wiedział, że zderzenie z innym pojazdem jest mało prawdopodobne i zupełnie nie ma ryzyka, że mógłby potrącić jakiegoś pieszego. To pozwalało mu prowadzić samochód w sposób, jaki w normalnych warunkach byłby szaleństwem.

Z lotu ptaka Szkockie Wzgórze wyglądało na zwyczajne przedmieście, jednak wszystkie domy i sklepy w tej dzielnicy były opuszczone już od dziesiątków lat, wszystkie pokryte plastikową powłoką, niemal niewidoczną, która chroniła budynki przed zniszczeniem. Większa część Madison była tak samo bezludna, tak samo zakonserwowana. Co pewien czas na ulicach i w domach zapalało się światło na cześć rodzin, które dawno temu wyemigrowały na Wielkie O.

Dallen dojechał do granic dzielnicy muzealnej, skręcił w przecznicę i zwolnił. Od 1990. Ulicy dzieliło go zaledwie kilka domów - wkraczał w „zamieszkały” sektor wystawy. Masywne obrazy samochodów i innych pojazdów - modele z końca dwudziestego wieku - jechały przed nim, a ludzie w ubraniach z tamtego okresu, jak żywi, tłoczyli się na chodnikach, wchodzili do sklepów i wychodzili z nich.

Obrazy ludzi stłoczone blisko siebie miały stwarzać wrażenie ruchliwego miejskiego życia na Ziemi trzy wieki temu, przed odkryciem Orbitsville. Stojące samochody tworzyły zwarty szereg po obu stronach ulicy. Wydawało się, że Dallen nie będzie miał gdzie zaparkować. Wiedział jednak, że pokonanie iluzji jest teraz dla niego jednym z mniejszych problemów. Skręcił, wprost na olśniewająco białego Cadillaca. Skulił się na chwilę - nie mógł opanować tego odruchu - gdy przodem swego samochodu zarył w niezwykle sugestywną karoserię większego pojazdu. Zahamował gwałtownie. Wysiadł i zaczął iść w kierunku następnego skrzyżowania. Otoczyły go natychmiast odgłosy i zapachy Madison z roku 1990, odtworzone pieczołowicie przez ukryte gdzieś urządzenia.

- Garry! Chyba złapaliśmy jeszcze jakiś sygnalnik przy rogu 1990. i Trzeciej. - Głos w uchu Dallena był teraz wyraźnie



nerwowy. - Jest już blisko Centrum Wystawowego.

- Jestem na Pierwszej, skręcam w 1990., dwie przecznice na wschód za nim - odpowiedział Dallen. - Jeśli przyjąć, że obydwaj idziemy z podobną prędkością, to powinniśmy się spotkać w pobliżu skrzyżowania z Drugą. Chyba niezbyt trudno będzie go dopaść.

- Go albo ją.

- Zaimek męski zastępuje oba rodzaje - szczególnie w tego typu sprawach. - Dallen uświadomił sobie, że nazbyt się starał, by to co mówi brzmiało pedantycznie i chłodno. Skupił myśli na czymś konkretniejszym. - Czy TL37 nie jest przypadkiem zapalnikiem o podwójnym działaniu?

- Taa... czasowo-uderzeniowym - potwierdził Mellor.

To znaczy, że jeśli nie unieruchomisz faceta dostatecznie szybko, to on...

- Wiem, co to znaczy, Jim.

Dallen pokonał odległość do skrzyżowania, omijając ruchome obrazy, jakby to byli żywi ludzie. Robił tak instynktownie, ale również dlatego, że w symulowanym tłumie rozproszeni byli prawdziwi turyści. Przeważnie można ich było zidentyfikować po współczesnym ubraniu, jednak niektórzy z nich na wyprawę w 1990 rok przywdziewali stroje z tamtej epoki i wówczas trudno ich było odróżnić od holomorfów.

Dallen przystanął na rogu i rozejrzał się. Po prawej znajdowało się przezroczyste ogrodzenie Centrum Wystawowego. Prosto przed sobą miał skrzyżowania z Ulicami A. D. 2090. i A. D. 2190. - każda z nich oferowała rozrywki stosowne do epoki. Na lewo widział perspektywę ruchliwej arterii, tak jak to wyglądało w Madison trzy wieki temu. I gdzieś w tej dusznej mieszaninie ludzi i holomorfów skrył się gotowy do

czynu terrorysta.

Dallen zawahał się, gdy uświadomił sobie, że nawet nie wie, czy jego zwierzyna jest po lewej czy po prawej stronie ulicy. Obrazy stłoczonych na jezdni autobusów i samochodów dostawczych były nieprzenikalne dla wzroku i dawały intruzowi równie dobre schronienie jak prawdziwe pojazdy. Dallen wsunął prawą rękę do kieszeni marynarki i ujął swój służbowy, płaski rewolwer. Przekręcił regulator promienia, nastawiając go tak, by energia mogła być emitowana szerokim wachlarzem. Najprawdopodobniej nie będzie czasu na precyzyjne celowanie; zamiast całkowicie chybić, lepiej będzie powalić nawet kilku przypadkowych przechodniów i niech go oskarżają, gdy trafią do szpitala.

- Idę po 1990. na wschód - powiedział cicho. - Jeśli dotrę do rogu Drugiej i nie natknę się na tego bandytę, będę przypuszczał, że jest on albo blisko, albo minął mnie już po drodze. Odczekam trzydzieści sekund i powiem „teraz”. Chcę, żebyś natychmiast potem wcisnął przełącznik i wyłączył wszystkie rzutniki obrazów na Ulicy. To powinno zaskoczyć naszego gościa i dać mi parę sekund na złapanie go.

- Dobra, Garry - odrzekł Mellor - ale przypuśćmy, że będzie ich kilku.

- To nie ma znaczenia. Jestem uzbrojony tak, że mogę sparaliżować połowę ulicy.

- Duchem jestem z tobą.

- Ciesz się, że tylko duchem.

Dallen zaczął iść ostrożnie do następnej przecznicy. Pomyślał, że dobrze się składa, iż moda męska niewiele uległa zmianie na przestrzeni wieków. To, co miał na sobie: brązowa marynarka, spodnie i koszula bez kołnierzyka, było praktycz-

nie strojem ponadczasowym, który umożliwiał mu niezauważalne w mieszaniu się w tłum złożony z turystów i holomorów. Szedł przy zewnętrznej krawędzi chodnika, obserwując obie strony ulicy równocześnie. Pamiętał niektórych stałych, aczkolwiek niematerialnych, tutejszych mieszkańców, dzięki czemu jego zadanie było nieco ułatwione. Przy wejściu do hotelu Clarence stał gazeciarz, przed bankiem - sympatyczny, przysadzisty wartownik. Właściciel sklepu tytoniowego uśmiechał się do przechodniów z nienaganną uprzejmością; postaci, które przystawały i zagadywały do niego, posłuszne programowi, można było natychmiast rozpoznać: były to holomorfy. Podobnie jak taksówkarze czy posłańcy.

Prawdziwy problem dla Dallenga stanowili zwiedzający i ci, którzy oglądali wystawy. Mężczyzna i kobieta trzymający się za ręce, z dwójką małych dzieci, byli najprawdopodobniej turystami z krwi i kości, ale inne podobne rodziny to holomorficzni aktorzy, którzy mieli stworzyć przyjemną atmosferę. Zamachowcy mogli przecież zastosować ten sam kamuflaż. Kiedy Dallen pokonał połowę drogi do następnej przecznicy, dłonie miał spocone, a serce biło mu szybciej i szybciej, aż poczuł w piersiach nieprzerwany łomot.

Przystanął, starając się przybrać wygląd człowieka odprężonego, i przesłonił oczy od słońca. Minęli go idący szybko mężczyźni w garniturach, ze skórzanymi teczkami w rękach, listonosz z torbą pełną listów, młodzian w zielonej koszuli, dyskutujący żarliwie z jakąś blondynką w różowej sukience, dwóch podrostków zajadających cukrową watę, starsza pani obciążona torbami z zakupami...

„To beznadziejne” - pomyślał Dallen. - „Dziwne tylko, że niektórzy ludzie zostawiają ślady, a inni nie”.

Zmrużył oczy i rozejrzał się. Jakieś dwadzieścia kroków przed nim, w zagłębieniu chodnika, zebrała się woda z ostatniego deszczu. Beton wokół był już wysuszony przez słońce, tak więc ludzie, którzy wdepnęli w płytką kałużę, zostawiali wilgotne ślady z obu jej stron.

„Oprócz holomorfów, oczywiście - złudzenia nie moczą sobie nóg.”

Dallen nie mógł pojąć, dlaczego jego serce zaczęło rytmicznie walić jak młot. To, co właśnie spostrzegł, nie było ani zaskakujące, ani szczególnie przydatne, a jednak... a jednak... Dallen poruszył bezgłośnie ustami. Odwrócił się i pobiegł parę kroków w kierunku, z którego przyszedł. Spojrzał ponownie na jedną z grup przechodniów. Tłum zdążył się już zmienić, ale Dallen od razu zdołał odszukać parę, o którą mu chodziło. Mężczyzna w zielonej koszuli i blondynka byli nadal zaabsorbowani czymś, co mogło uchodzić za poważną dyskusję, ale - teraz Dallen spojrzał na nich nowymi oczami - tylko mężczyzna się odzywał i tylko mężczyzna zostawiał na chodniku ślady wilgoci, które szybko parowały.

Dallen zwolnił nagle, starając się błyskawicznie obmyśleć dalszą taktykę. Zrobił kilka niezdecydowanych kroków i omal nie wpadł na trzy turystki, ubrane w krótkie spodenki. Kobiety prawie nie zareagowały, jedna z nich lekko westchnęła ze zdziwieniem, ale to wystarczyło. Mężczyzna w zielonej koszuli spojrzał na Dallena i zaczął uciekać, w biegu wyciągając coś z tylnej kieszeni.

Dallen rzucił się w pościg, mając świadomość, że zamachowcowi potrzebna by była jeszcze tylko jedna sekunda. Wystrzelił z rewolweru przez materiał marynarki. Stożek energii objął kilka postaci, ale, jako holomorfom, nic im się nie stało.

Dallen przebiegł przez nie i spostrzegł, jak terrorysta, pochylony sztywno, pada.

„Zapalnik! ” - Głos w mózgu Dallena był histerycznym dyszkantem, jak z przyspieszonej taśmy. - „Jak silny wstrząs może wytrzymać? ”

Podbiegł do upadającego mężczyzny, podtrzymał go ramieniem i powlókł ku wąskim drzwiom sklepu elektronicznego. Za szkłem, na ścianach, po obu stronach wejścia umieszczone były zabytkowe odbiorniki telewizyjne, wyświetlające obrazy z poprzedniej epoki. Małżeństwo w średnim wieku, które oglądało właśnie jakiś odbiornik, cofnęło się przerażone, a kobieta złapała się ręką za gardło.

- Nie ma się czego bać - zapewnił Dallen z uśmiechem. Przesunął prawą ręką wzdłuż bezwładnego ciężaru, który trzymał w ramionach, i uchwycił metalowy walec wystający z kieszeni terrorysty.

- Niech pan powie, co...? - przysadzisty mężczyzna urwał, spoglądając niepewnie na zamachowca, który zaczął gardłowo mlaskać, co oznaczało, że wkrótce wróci mu mowa. - Czy ten facet jest chory?

Dallen rozważał, co powinien zrobić. Standardowo powinien sprawdzić tożsamość, pozwolić odejść mężczyźnie i kobiecie i przywołać pomoc. Ale nieuchronną konsekwencją takiego postępowania, zgodnego z regulaminem, byłoby to, że terroryści prawie osiągnęliby swoje cele. Było niemal pewne, że zegar bomby ustawiony był tak, by eksplodowała ona w ciągu najbliższych kilku minut. Władze miały więc do wyboru: albo ewakuować ulicę, pozwalając, żeby wybuch zniszczył otoczenie, albo zaryzykować życie ludzkie i przetransportować bombę gdzieś na otwarty teren. W obu wypadkach bły-

skawicznie rozeszłaby się wiadomość, że Madison City nie jest już bezpiecznym miejscem dla turystów. Dallen spojrzał w twarz młodego człowieka, którego podtrzymywał z udawaną poufałością, zobaczył w jego oczach niemą nienawiść i uczył, że w nim samym dochodzi do głosu ponura bezkompromisowość. Ponownie uśmiechnął się do obserwujących go ludzi.

- Chory? Wszyscy moglibyśmy być tak chorzy... ten młodzian naćpał się prochów za prawie sto monetów. Ma zwyczaj przesadzać w tych sprawach.

Upudrowana twarz kobiety wyrażała zaniepokojenie i niesmak.

- Czy on z tego wyjdzie?

- Będzie jak nowy, proszę pani. - Dallen spojrzał na kobietę ze szczerością w oczach. - Czy zechciałaby mi pani pożyczyć coś, czym mógłbym go wytrzeć? Chusteczkę, kawałek materiału czy coś takiego.

Zamachowiec wydawał coraz intensywniejsze dźwięki i Dallen poklepywał go po policzku z żartobliwą czułością.

- Przepraszamy... śpieszymy się... nasi znajomi... - mężczyzna wziął żonę za rękę i wyprowadził ją na ulicę, gdzie pośpiesznie zniknęli z pola widzenia.

Dallen z ulgą stwierdził, że zajście nie przyciągnęło już więcej innych gapiów. Przeniósł walcowaną bombę w bezpieczne miejsce - do swojej kieszeni. Powlókł za kark bezwładnego mężczyznę do drzwi w głębi sklepu. Otworzyły się, gdy Dallen przytknął swoją odznakę do zamka. Szybko wpakował ciężar do środka. Regularne treningi sprawiły, że Dallen nie czuł żadnego wysiłku ciągnąc tego potężnego mężczyznę. Zatechłe i ponure wnętrze sklepu było pokryte pajęczynami i pleśnią. W powietrzu czuło się wilgotną woń grzybów. Dallen

podążył do wyjścia w przeciwległej ścianie pomieszczenia. Powiedział stłumionym szeptem, który mógł być usłyszany tylko przez jego ludzi:

- Mam go, Jim. Jesteśmy w sklepie Cagle'a z telewizorami na sto pierwszej przecznicy. Nie było awantury, zrobmy więc wszystko cicho i spokojnie. Wyślij samochód na tył tego budynku, ale powiedz załodze, żeby poczekała na zewnątrz, na ulicy, dopóki ich nie zawołam.

Mellor spytał szybko:

- Co z bombą?

- Będzie rozbrojona.

- Garry, nie zrobisz chyba żadnego głupstwa? Nie ma sposobu, żeby unieszkodliwić TL37.

„Jest jeden sposób” - pomyślał Dallen.

- Odbiór radiowy jest tu niedobry, Jim. Czy mógłbyś złapać moją...?

Dallen poruszył w bok szczęką, wyłączając w ten sposób wszyty chirurgicznie aparat radiowy. Potem, żłobiąc w warstwie kurzu nieregularną ścieżkę, zawlókł swego jeńca do kwadratowego pomieszczenia, które niegdyś było biurem. W jednym z rogów coś się szybko poruszyło i szary kształt zniknął pod listwą podłogową. Dallen opuścił młodzieńca przy ścianie, nadając mu pozycję siedzącą. Wyciągnął mu portfel z kieszeni koszuli i przejrzał jego zawartość.

- Derek H. Beaumont - oznajmił. - Lepiej, żebyś został u siebie w Cordele, Derku.

- A ty... lepiej... - usta Beaumonta wykrzywiły się z wysiłku. - Ty lepiej... idź i...

- Nie mów tak - przerwał mu Dallen. - To zbyt banalne i na pewno nie jest warte utraty przednich zębów.

Przyjrzał się po raz pierwszy uważniej swemu więźniowi i z ulgą stwierdził, że odczuwa do niego instynktowną niechęć. To mu ułatwi zadanie. Czasami ci, na których organizował obławy, byli przystojnymi chłopakami - mógłby sobie życzyć, żeby jego syn tak wyglądał. Osobnik, którego miał teraz przed sobą, sprawiał wrażenie aroganckiego zarozumialca. Na Dallena patrzyły wodniste, szare oczy. Opuszczone wąsy nie przydawały bladej twarzy indywidualności, raczej ją odbierały.

„Typowe wąsy, jak u Zapaty” - pomyślał Dallen. - „A może mają tylko jeden egzemplarz i pożyczają sobie nawzajem?”

- Lepiej mnie nie dotykaj - warknął Beaumont.

- Wiem, chodziłem na wykłady z higieny.

Dallen wyjął walcowaną bombę z kieszeni.

- Ilu ludzi miałeś nadzieję zabić przy pomocy tego?

- To ty jesteś tu zabójcą, Dallen.

- Znasz mnie?

- Znam cię. My wszyscy cię tu znamy. - Słowa wypowiedane przez sparaliżowanego Beaumonta brzmiały bełkotliwie.  
- I kiedyś...

- Więc przyjmij do wiadomości, że to nie jest bluff. Derku, z całą pewnością mi powiesz jaka tu jest kombinacja cyfr.

Dallen przekręcił pierścień z sześcioma cyframi, znajdujący się u nasady walca. Żeby wyciągnąć zapalnik, pierścień musi być właściwie ustawiony.

Beaumont usiłował wydać jakiś dźwięk, coś jakby szyderczy śmiech.

- Dlaczego, do cholery miałbym to zrobić?

- Wydawałoby się, że jest to oczywiste - powiedział

Dallen łagodnie. - Gdy ta bomba wybuchnie, będziesz na



niej siedział. Ile masz jeszcze czasu? Dziesięć minut? Piętnaście?

- Nie nastraszysz mnie, Dallen. Taka rzecz nie uszła -by ci na sucho.

- Naprawdę? - Dallen pomyślał przez chwilę o skutkach eksplozji w zatłoczonym Centrum Wystawowym i poczuł, że opuszczają go wszelkie ludzkie uczucia. - Jeśli roją ci się myśli o reklamie i rozgłosie, wybij to sobie z głowy. Zawlokłem cię aż tutaj, gdyż te ściany i solidna poduszka powietrzna wystarczają, by zamortyzować bombę takich rozmiarów. Wybuch przestraszy oczywiście wielu ludzi, ale uspokoją się, po komunikacie, że to pękł stary przewód gazowy. I nikt nie usłyszy o tobie, przyjacielu. Jutro o tej porze będziesz tylko szczerzym łajnem.

- Jesteś sukinsynem, Dallen. Jesteś wszawym...

Beaumont umilkł. Jego oczy wyrażały skupione na sobie zamyślenie, co oznaczało, że usiłował się poruszyć, przepychając do mięśni polecenia przez sztucznie rozszerzone odstępy między synapsami swego układu nerwowego. Na czoło wystąpiły mu krople potu, ale kończyny nawet nie drgnęły.

- Jestem taki, jak powiedziałeś. A nawet gorszy. -Dallen uklęknął i przytknął bombę do twarzy Beaumonta. - Jaka to kombinacja, Derku?

- Ja... jej nie znam.

- W takim razie jest mi ciebie żal. - Przez chwilę przebiegła Dallenowi myśl, że Beaumont może mówić prawdę, ale postanowił nie brać pod uwagę takiej ewentualności. - Mam zamiar pójść sobie stąd teraz - na wypadek, gdyby to miało wybuchnąć wcześniej, niż się spodziewamy - ale chcę cię zapewnić, że będę o tobie myślał.

Beaumont stał się jeszcze bledszy, jego twarz jakby świeciła jasno.

- Ukrzyżujemy cię, Dallen. I nie tylko ciebie... także twoją żonę i dzieciaka... żebyś zobaczył, jak to jest... obiecuję ci, to już postanowione.

- Masz wielki talent do mówienia rzeczy niepotrzebnych - powiedział Dallen, starając się, by jego głos był opanowany, chociaż w piersiach czuł niepokojące walenie. - Nie jest mi już potrzebna ta kombinacja. Możesz to potrzymać... przez chwilę.

Delikatnie umieścił bombę między nogami Beaumonta, w kroku, tak, że wyglądała jak srebrny falus. Potem wyprostował się i wyszedł z pokoju. Nieoczekiwanie poczuł, że nogi ma jak z gumy.

„Źle wszystko poszło” - oskarżał się. Przywarł plecami do ścianki, o którą po drugiej stronie oparty był Beaumont. Zaczął głęboko oddychać, aby opanować wzbierające mdłości. - „Powinienem był rzucić tę cholerną bombę, wywlec Beaumonta na zewnątrz i ewakuować teren. Ale teraz jest już za późno. Zrobiło się za późno, gdy wmieszał w to wszystko Conę i Mikela...”

Wyjął z kieszeni fajkę, napełnił ją czarnymi i żółtymi włókienkami i włożył do ust, zanim uświadomił sobie, że nie ma ochoty palić. To niewiarygodne, straszne, że w taki sposób trwoni cenne minuty swego życia. Jak do tego doszło, że tkwi w butwiejącym kadłubie sklepu telewizyjnego wraz z niedoszłym mordercą i tykającą bombą? Dlaczego był więźniem tej ograniczonej i małej Ziemi, skoro powinien z rodziną bujać swobodnie na Orbitsville?

W ciągu dwóch wieków, od czasu odkrycia Orbitsville przez Vance'a Garamonda, całkowicie zmieniły się wa-i unki

życia gatunku ludzkiego. Jedną z najczęściej przytaczanych danych statystycznych dotyczących Wiekiego O było to, że dostarczało ono pierwszorzędnej przestrzeni życiowej, pięć miliardów razy większej od powierzchni Ziemi. A jeszcze ważniejsze: było tam dosyć miejsca dla każdej inteligentnej istoty w Galaktyce. Po raz pierwszy w historii nie istniały przeszkody dla ekspansji ludzkości. Migracje zaczęły się natychmiast.

Cały ziemski przemysł i technika zostały zaangażowane w to ostatnie wielkie wyzwanie - przewiezienie wszystkich mieszkańców do ich ostatecznego domu, oddalonego o setki lat świetlnych. To przedsięwzięcie stało się możliwe z dwóch powodów: w starym świecie spadł przyrost naturalny i zewowi Orbitsville nie można było się oprzeć. Każdy naród, każde państewko, każda partia polityczna, grupa nacisku, religia, sekta, kościół, rodzina, jednostka mogły otrzymać dla siebie teren praktycznie równoważny całemu osobnemu, dziewiczemu światu, w którym mogły pielęgnować swoje ideały i marzenia. Rządy przystosowywały się do tej nowej sytuacji wolniej niż ludzie, ale mężowie stanu i politycy, mając w perspektywie występowanie przed pustą widownią, zrozumieli w końcu, że ich powinnością jest działać gdzie indziej.

Zgodnie z ONZ-etowskim porozumieniem rządy emigrujących państw zobowiązane były do utrzymania prawa i porządku na swych historycznych terytoriach, jednak czas i oddalenie robiły swoje. Opłacalność spadała, koszty rosły i w rezultacie wiele państw totalitarnych zdecydowało się na rozwiązanie ostateczne: przymusową emigrację całych społeczeństw. W krajach demokratycznych niemożliwe było wymuszenie migracji, lecz rządy, pragnąc zerwać krępujące więzy przeszłości, stosowały rozmaite zachęty i naciski. Coraz

więcej miejscowości i miast niszczało, coraz większe połacie terenów rolniczych zarastały, gdy zwykli ludzie ulegli złotemu czarowi podróży - bezpłatnemu przejazdowi na Wielkie O.

Byli oczywiście tacy, którzy odmawiali wyjazdu. Najczęściej starcy, którzy pragnęli zakończyć życie na ojczystej planecie, ale również istniały grupki ludzi, którzy po prostu nie chcieli zwijać manatek i wyjeżdżać. Obecnie, w roku 2296, niemal dwieście lat po odkryciu Orbitsville, twardziele nadal walczyli o to, by utrzymać pozory zorganizowanego życia społecznego. Jednak ich sytuacja stawała się z każdą dekadą coraz trudniejsza do zniesienia, jako że urządzenia niszczały, a pomoc i pieniądze z Orbitsville topniały...

- Nie nabierzesz mnie, Dallen. - Głos zza ścianki był pewny siebie. - Wiem, że tam jesteś.

Dallen nie odezwał się, zacisnął tylko usta.

- Jak Boga kocham, nie znam tej kombinacji.

„Nie powinienesz być grozić mojej żonie i synkowi.”

Dallen popatrzył na zegarek, przypominając sobie nagle, że umówił się z Coną na obiad. Nie będzie mógł przyjść na to spotkanie bez względu na to, jak zakończy się ta sprawa z Beaumontem. Nie zdoła przesłać Conie wiadomości - musiałby połączyć się z Jimem Mellorem, a to kolidowałoby z postanowieniem, żeby samemu przejąć odpowiedzialność za bieg wypadków.

„Wszystko źle poszło” - oskarżał się po raz kolejny. - „Dlaczego ten kretyn nie podda się, zanim będzie za późno?”

Nastąpił dłuższy okres niemal całkowitej ciszy. Dźwięki z ulicy były stłumione i dalekie - przejaw innej rzeczywistości. Potem Beaumont odezwał się mniej pewnym głosem niż poprzednio:

- Co cię tu przygnało, Dallen? Dlaczego nie zostałeś na Wielkim O, gdzie jest twoje miejsce?

Dallen zareagował na zmianę w zachowaniu swego jeńca i odpowiedział:

- Mam taką pracę.

- Walić ludzi, którzy jedynie bronią swoich praw? Wspaniała praca, nie ma co.

- Ci ludzie nie mają prawa rozkradać dostaw i sprzętu od Metarządu.

- Muszą to rozkradać, skoro nie mogą sobie pozwolić na dawanie łapówek urzędnikom z Madison. Powiedz szczerze, Dallen, czy myślisz, że to słuszne, iż Metarząd utrzymuje to całe miasto na chodzie... całe miasto odłogiem, puste, jeśli nie liczyć tych cholernych omamów... gdy tymczasem na zewnątrz są ludzie chorzy i głodni?

Dallen potrząsnął głową, choć Beaumont nie mógł tego widzieć. Niecierpliwiły go te zużyte argumenty.

- Nikt nie musi chorować ani głodować.

- Wiem - odrzekł gorzko Beaumont. - Dajmy się utuczyć jak bydło! Dajmy się wysłać na Wielkie O i paśmy się tam... Cóż, niektórzy z nas nie chcą tego, Dallen. Jesteśmy Niezależni.

- Niezależni, którzy chcą być utrzymywani - powiedział Dallen z umyślnym lekceważeniem. - To istotne pomieszanie pojęć, Derku.

- Nie chcemy być utrzymywani. Mamy również swój wkład, ale nikt... Chcemy tylko... My...

Beaumont, nie mogąc sklecić zdania, zamilkł i przez ściankę słychać było jego ciężki oddech.

- A ja chcę tylko znać tę kombinację - rzekł Dallen.

- Twój czas mija.

Mówił głosem twardym i pewnym, świadomie nie dopuszczając do siebie wątpliwości, jakie go zwykle nawiedzały, gdy musiał myśleć o ziemskiej przeszłości. Cona, historyk z zawodu, czuła się pewnie, gdy zajmowała się sprawami złożonymi, skomplikowanymi i pełnymi konfliktów. On natomiast tęsknił do prostoty, która nigdy nie nadchodziła. W początkowych latach migracji, na przykład, nikt właściwie nie miał zamiaru porzucać miast na ojczystej planecie i pozwolić im, by niszczały. Zbyt wiele inwestowano w nie przez całe wieki. W budowlach wielkich metropolii był przecież duch ludzkości. Setki tych miast - od Yorku do Nowego Jorku, od Paryża do Pekinu - przekształcono w świątynie kulturalne miejsca, do których ziemskie dzieci mogłyby od czasu do czasu powracać, by utwierdzić się w swym człowieczeństwie.

Jednak rozumowanie to było błędne, nie uwzględniało nowych przesłanek.

Kilka wieków temu romantycy sądzili, że człowiek stworzony jest do wędrowania, skazany na podróże po drogach wyznaczonych przez gwiazdy, aż do kresu czasu lub przestrzeni. Jednak na niebie Orbitsville w nocy nie widać było gwiazd. Przemijały całe pokolenia ludzi, których spokój ducha nie był zakłócony widokiem odległych słońc. Na Orbitsville mogli znaleźć tyle przestrzeni życiowej, ile tylko sobie życzyli, dla siebie i swoich wnuków. Ziemia była daleko i stawała się coraz mniej istotna.

Pieniądze można było przeznaczyć na rzeczy ważniejsze, niż podtrzymywanie ruin zapomnianych miast. Madison, dawne centrum administracyjne, z którego kierowano ewakuacją siedmiu stanów, było jednym z niewielu miast - muzeów zdolnych do życia. Jednak i dla niego fundusze topniały, a czas

uciekał.

Myśl o uciekającym czasie skłoniła Dallena do spojrzenia na zegarek.

- Nie mogę już dłużej ryzykować i siedzieć tu jako niańka - powiedział głośno. - Do zobaczenia!

- Nie nabierzesz mnie, Dallen.

- Ani mi to w głowie.

Dallen poszedł w kierunku wejścia do sklepu. Omijając zwiewne girlandy pajęczyn, starał się nie kroczyć zbyt głośno po zakurzonych, szarych deskach podłogi. Najmniejszy objaw aktorstwa z jego strony wzmocniłby prawdopodobnie determinację Beaumonta. Dallen był coraz mocniej przekonany, że popełnił błąd i to odbierało mu pewność siebie. Postanowił zaczekać dwie minuty przy wejściu, a potem wyciągnąć więźnia w bezpieczne miejsce. Jednak zaczęły go drażnić nowe wątpliwości. A co, jeśli Beaumont naprawdę nie zna kombinacji ani nawet czasu, na który nastawiona jest bomba? Jakie usprawiedliwienie będzie mógł przedstawić ludziom, i sobie, jeśli bomba wybuchnie i grad szklanych sztyletów spadnie na przechodniów z 1990. Ulicy?

Dotarł do drzwi wejściowych, stanął, oparty się o framugę przycisnął głowę do ramienia, i uruchomił znajomą procedurę: spowiedź nieznanego, jakim się stał sam dla siebie.

„Co ty właściwie tu robisz? Ile ma to trwać, nim własnoręcznie i z premedytacją zabijesz jednego z tych ponurych, prowincjonalnych, ziemsko-głupich durniów? Dlaczego nie skończysz z tą ponurą, prowincjonalną ziemsko-głupią posadką i nie zabierzesz Cony i Mikela z powrotem na Orbitsville, gdzie jest wasze miejsce? ”

To ostatnie pytanie powracało coraz częściej w ostatnich miesiącach. Zawsze wywoływało ono u niego złość, frustrację i bezsilność, które nadchodzą wtedy, gdy umysł lubiący odpowiedzi natyka się na problem nie -rozwiązalny. Teraz nieoczekiwanie, gdy tak stał w zatęchłej ciszy sklepu, uświadomił sobie, że trudność tkwi, i zawsze tkwiła, w nim samym. Pytanie było dziecinnie łatwe, jeśli gotów byłby uznać, że popełnił błąd przyjeżdżając na Ziemię. To takie proste. On - Garry Dallen, człowiek, który miał zawsze rację - popełnił głupi błąd.

Miał świadomość, że popędza procesy psychologiczne, które nie powinny być popędzane, że reakcja przyjdzie potem. Postawił sobie to zasadnicze pytanie jeszcze raz i zobaczył, że było to zbyteczne. Nic pod słońcem - pod tym ani pod żadnym innym - nie mogło go powstrzymać przed zabranie rodziny do domu. Mogliby być w drodze już za tydzień. Dallen czuł ulgę i odprężenie, niemal jak po orgazmie. Spojrzał na swe ręce i zobaczył, że drżą.

- Trzeba się stąd wynosić, do diabła - szepnął odwracając się w kierunku zaplecza sklepu.

- Na litość boską, Dallen, wracaj! - Słowa dobiegające z biura były ledwie rozpoznawalne: jęczące, paniczne zawodzenie. - To jest nastawione na jedenastą dwadzieścia! Która jest teraz?

Dallen spojrział na zegarek. Zostały cztery minuty. W innych okolicznościach poszedłby powoli i cicho na zaplecze i przycisnąłby więźnia, uzmysławiając mu, że lepiej jest żyć zgodnie z prawem. Teraz jednak takie postępowanie byłoby zbyt pedantyczne „Ziemsko-głupi” - właśnie wynalazł to określenie. - „Nie chcę już być ziemsko-głupi. ”



Pobiegł na zaplecze sklepu, otworzył barkiem drzwi i spojrzał na Beaumonta, który nadal nie mógł się poruszać. Z kroku obscenicznie wystawała mu bomba. Dal-len, walcząc z nagłym przypiływem wstydu, wyjął walec i położył palec na pierścieniu z szyfrem.

- Będziesz tego cholernie żałował, ty skurwielu - wyrzucił z siebie Beaumont, patrząc wąskimi, nienawistnymi oczami.

- Mój zegarek może się trochę późnić - powiedział Dallen dobitnie. - Czy chciałbyś stąd sobie pójść, czy raczej zostaniesz i...?

- Sześć-siedem-dziewięć-dwa-siedem-osiem.

- Liczba parzysta. - Dallen ustawiał cyfry na linii. -

0 to chodzi: zapalnik - wybuch - parzyć - parzysty?

- Pośpiesz się, na...

- No, jest! - Dallen wyciągnął zapalnik i poturlał go do kąta. - Dzięki za współpracę, Derku.

Opuścił biuro, przeszedł krótkim korytarzem do tylnego wyjścia i otworzył ciężkie drzwi. Zawiasy głośno skrzypiały, zdzierając warstwy rdzy. W zaułku, na zewnątrz budynku, stał nieoznakowany samochód o gładkich bokach, rozsiewających iskierki odbitego słońca.

Obok stali dwaj młodzi oficerowie w mundurach, Tandy Ibbetson. Dallen uśmiechnął się, widząc ich przestraszone twarze.

- Macie tu bombę - powiedział, wkładając walec w dłoń Ibbetsona. - Jest w porządku, rozbrojona. Razem z nią zabierzcie niejakiego Derka Beaumonta. Znajdziecie go wewnątrz, pierwsze drzwi na prawo. Odpoczywa.

- Wolałbym, żeby pan nie robił takich rzeczy - wymamrotał Ibbetson. Otworzył drzwi, pomagając sobie potężnymi

ramionami, i poszedł korytarzem stąpając ciężko.

Vic Tandy, wymuskany policjant o męskiej twarzy, podszedł bliżej do Dallena.

- Czy będzie pan rozmawiał z Jimem Mellorem? On tam wariuje, usiłując się z panem połączyć.

- Jak zwykle. Za każdym razem, gdy znajdę się w miejscu, gdzie jest zły odbiór, on... - Dallen przerwał, widząc wyraz twarzy Tandy'ego, drętwy i powściągliwy. - Czy coś się stało?

- Słyszałem jedynie, że Jim chce, by pan się z nim skontaktował.

Tandy, unikając wzroku Dallena, starał się prześliznąć obok niego i wejść do budynku.

- Nie próbuj ze mną tych sztuczek - warknął Dallen, chwytając mężczyznę za ramię. - O co chodzi?

Tandy wyglądał teraz niepewnie.

- Chyba... coś się chyba stało pana żonie i dzieciakowi.

Dallen cofnął się. Oszołomiony kręcił głową. Wydawało mu się, że całe otoczenie, i błękitna kopuła atmosfery, i cały wszechświat wałą się na niego.

## ROZDZIAŁ 4

Na kolbie pistoletu znajdował się bolec, który należało nacisnąć i przesunąć wzdłuż otworu w kształcie litery U, z jednego końca, na drugi. Uniemożliwiało to przypadkowe odbezpieczenie tej drogiej i skomplikowanej broni. Mathieu przejechał bolcem przez cały otwór. W ten sposób miriady obwodów zmieniły na stałe swą konfigurację.

Potem Mathieu rozebrał pistolet na cztery części i każdą z nich schował do osobnej szuflady swego biurka.

Poczuł się trochę bezpieczniej. Jego pierwotny plan, który teraz na nieszczęście okazał się nieadekwatny do sytuacji, nie uwzględniał tego, że na Podpoziomie Trzecim nadal będzie funkcjonował system alarmowy. Możliwe było, że plan miał również inne wady - Mathieu mógł jedynie snuć na ich temat jałowe rozważania. Pistolet stał się teraz niewidzialny dla wszelkich detektorów, ale nie było gwarancji, że istniejące systemy ostrzegawcze nie wytropiły go już gdzieś w budynku lub w biurze. Jeśli to nastąpiło, to Mathieu wkrótce się o tym dowie.

„Póki co, zachowuj się normalnie” - mówił sobie. Natychmiast jednak wyniknęło zagadnienie, które dla człowieka, będącego w takim stanie psychicznym jak on, wydawało się nierozwiązalne. - „Co robią normalni ludzie, gdy słyszą alarm?”

Przez chwilę dumiał nad tym jak człowiek, postawiony przed problemem z obcego sobie systemu logicznego, potem z wahaniem sięgnął do panelu komunikacyjnego. W powietrzu zawisnął wyraźny obraz Vika Costaina, osobistego asystenta Majora Brycelanda. Sześćdziesięcioletni prawie Costain wie-

dział wszystko, co można było wiedzieć o Ratuszu i o ludziach w nim pracujących.

- O co chodzi? - spytał Mathieu. - Co to za wrzawa?

- Chwileczkę, dobrze? Ciągłe próbuję...

Costain nachylił swą niemal całkowicie łysą głowę, wyraźnie słuchając jakiegoś ważnego komunikatu, i potakiwał stanowczo - znak, że nie miał zielonego pojęcia, co robić dalej.

- Zadzwoń do mnie później, Geraldzie.

- Nie omieszkaj mnie zawiadomić, gdy budynek będzie się palił - odpowiedział Mathieu, przerywając połączenie.

Oddychał głęboko i równomiernie przez minutę, zadowolony, że to co zrobił, było właściwe i przyczyniło się nieco do zatarcia śladów. Potem przymknął oczy i zobaczył Conę Dallen i jej syna... osuwają się, osuwają, osuwają... wzrok ich jest jasny, obojętny... wzrok idioty...

Mathieu poderwał się na nogi i przespacerował po przekątnej biura, nie mogąc wyłowić dostatecznej ilości tlenu z powietrza. Ponownie zrobił okrążenie, tym razem szybciej, ale uświadomił sobie, że stara się wyprzedzić jakąś część samego siebie, tę część, która przyznawała, że on, Gerald Mathieu, jest mordercą. Żadne uniki, żadne wykrętne definicje nie zmienią tego faktu. Ciągłość osobowości to jedyne kryterium, jedyne, jakie miało znaczenie. Osobowości znane jako Cona Dallen i Mikel Dallen przestały istnieć. Zniszczył je nawałnicą skomplikowanego promieniowania, które spowodowało, że ludzkie mózgi stały się czystymi tablicami, jak u nowonarodzonego dziecka. Te osobowości już nigdy nie zaistnieją, bez względu na to, jaką terapię się zastosuje.

„Garry Dallen zabije mnie! ”

Mathieu stanął nagle. Ścisnął nos palcami i usiłował po-

godzić się z tą nową myślą. Nie było w niej nic dziwacznego ani melodramatycznego. Dallen był wielkim, silnie zbudowanym, przystojnym mężczyzną. Starał się, może trochę zbyt usilnie, sprawiać wrażenie człowieka na luzie, zawsze zbyt szybko występował z dowcipem czy żartem, chcąc by osoby wokół niego czuły się swobodnie. Mathieu, wnikliwy obserwator ludzi, uważał go prywatnie za człowieka mało giętkiego i nietolerancyjnego, który zdolny był bezwzględnie realizować to, co uważał za słuszne. Mathieu zawsze bał się Dallenga, nawet wtedy, gdy na sumieniu miał jedynie dobrze zamaskowaną malwersację. Teraz opanowało go mroźące przekonanie, że Dallen zajrzy mu prosto w duszę, domyśli się wszystkiego i będzie za nim podążał jak bezwzględna maszyna.

- Dokładnie tak, jak na to zasługujesz - powiedział Mathieu, zwracając się do swojego odbicia w ściennym lustrze, zamontowanym kiedyś na jego specjalne polecenie. Człowiek, którego zobaczył, wyglądał zadziwiająco swobodnie i pewnie, niczym nordycki tenisista. Nie widać było po nim, że ma jakieś skłonności kryminalne, ani że z minuty na minutę narasta w nim głód. Myśl o felicitynie spowodowała, że Mathieu sięgnął pod marynarkę i dotknął złotego pióra wpiętego w wewnętrznej kieszeni. Był to działający przyrząd do pisania, ale dzięki drobnemu ulepszeniu mógł wydzielać magiczny atrament. Jednocentymetrowa linia narysowana na języku wystarczała, by wyprostować w życiu Mathieu wszystko to, co było w nim skrzywione. Nie tylko w teraźniejszości, ale również penetrując przeszłość aż do czasu, gdy Mathieu wyruszył z Orbitsville w wieku ośmiu lat.

Jego ojciec, Arthur Mathieu, był drobnym urzędnikiem Metarządu, którego kariera zawodowa przywiodła na Ziemię,

gdzie zaplątał się w slalomie między butelkami ginu i zgubnymi urzędniczymi przetasowaniami. Społeczność rządowych urzędników w Madison była niewielka i zwarta. Gerald jako chłopiec, upokorzony porażkami ojca, brnął przez szkołę samotnie, ledwo przechodząc z klasy do klasy, marząc o dniu, gdy wróci na Wielkie O, pod delikatnie prążkowane niebo i zakrzywiający się ku górze horyzont. Potem, gdy Gerald miał szesnaście lat, ojciec zginął w absurdalnym wypadku przy maszynie do strzyżenia żywopłotów i wtedy nagle droga powrotna stanęła otworem. Matka wracała, młodsza siostra wracała, jednak Mathieu stwierdził, że boi się podróży, a jeszcze bardziej przerażało go samo Orbitsville. Powołał się na swoje prawo do nieprzerwanej edukacji i jedynie dzięki podjętemu dopiero teraz wysiłkowi zrobił karierę w Madison, osiągając pozycję taką, że nikt rozsądny nie porzuciłby jej tylko po to, by powrócić do kraju dzieciństwa.

Mathieu rozumiał swój sposób postępowania. Choć jedną częścią swojego umysłu przekonywał się, że jego nieśmiałość nie ma żadnego znaczenia, drugą częścią, tą posępną i nieracjonalną, postrzegał to jako poważny defekt charakteru, dowód na to, że w miejscu, gdzie powinno znajdować się jądro osobowości, była pustka. Próbował psychologicznego dzudo, przedstawiając swoje wady jako miłą słabostkę.

„Nigdy nie wykazywałem nawet odrobiny siły woli, każdy kto mnie zna, powie to. Jest tylko jeden sposób na pozbycie się pokus - natychmiast im ulec. Zawsze możesz liczyć na to, że cię zawiodę...”

Potem pojawił się felicityn, dostarczyciel wspaniałego nastroju. Felicityn specjalnie wykonany przez mistrza farmacji, w celu zbawienia właśnie Mathieu. Ten, kto go używał nie

tylko czuł się bardzo dobrze, ale również był przekonany, że jego postępowanie jest jedynie słuszne. Felicityn po pięć tysięcy monetów, a nawet więcej, za ilość wielkości jednej łyży.

To przez niego został złodziejem.

To przez niego został mordercą.

Mathieu wyciągnął złote pióro z kieszeni, zacisnął wokół niego obie dłonie i zrobił taki ruch, jakby chciał przełamać je na pół. Stał tak przez całą minutę, kilkakrotnie zmieniając uchwyt na walcu, drżąc jak snajper, który boi się strzelić. Potem wynalazł jedną ze swych racjonalizacji i odprężył się fizycznie. Nie musiał zarzucać swego nałogu. Dallen z pewnością szybko ustali wypadki prowadzące do unicestwienia swojej rodziny, skojarzy motywy i okoliczności i intuicyjnie zidentyfikuje sprawcę. Natychmiast potem Mathieu trafi do kolonii karnej o ile Dallen mu na to pozwoli - a w więzieniu nie trzeba walczyć z uzależnieniem. Kurację głodem narkotycznym będzie miał za darmo, razem z ubiorem i taśmami rehabilitacyjnymi.

Z korytarza dobiegł odgłos trzaskania drzwiami, pod-ekscytowane głosy, pośpieszne kroki. Jedyne, co nie zmieniło się przez stulecia, to zasadnicza monotonia większości prac biurowych. Tego parnego, letniego poranka, gdy wszystko na zewnątrz lśniło jak wielobarwny sen, nuda snująca się po korytarzach była niemal dotykalna. Teraz jednak coś niezwykle wydarzyło się w budynku i wiadomość o tym krążyła. To będzie dzień, który wszyscy zapamiętają.

Mathieu wsunął pióro z powrotem do kieszeni, usiadł przy biurku i usiłował zrobić plany na następną godzinę. Skoro już zapytał kogoś o przyczynę niepokoju, postanowił poczekać tu, gdzie jest teraz, dopóki ktoś nie zażąda jego obec-

ności na dole. Franka Brycelanda, burmistrza, nie było od dwóch dni w mieście, więc najprawdopodobniej zawezwą Mathieu, gdy tylko Costain zorientuje się, co zaszło. Minuty kapały z przyszłości ku przeszłości i Mathieu dziwił się nieco, dlaczego Costainowi potrzeba aż tyle czasu. Potem zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że istnieje zasadnicza różnica między tym, co on sam wie, a tym, co wiedzą inni ludzie przebywający w budynku. Gdy zabrzmiał sygnał alarmowy, nie widać było żadnej wyraźnej przyczyny; systemy zabezpieczające będą sprawdzane powolnie i bez przekonania. Sporo czasu minie, zanim zdołają określić, co się stało kobiecie i dziecku leżącym na schodach ewakuacyjnych, zwłaszcza że ludyster był czymś bardzo rzadkim pod koniec XXIII wieku.

Mathieu odruchowo podszedł do okna i spojrzała dół, na północną stronę parkingu. Samochód policyjny, nadjeżdżający z Alei Burlington, właśnie zwalniał. Zatrzymał się, wysiadło trzech mężczyzn, którzy natychmiast pobiegli do północnego wejścia. Mathieu poczuł w żołądku lodowatą falę. Rozpoznał ciemnowłosą posać Gariy'ego Dallena, który biegł susami z nieświadomioną siłą i miało się wrażenie, że mógłby przejść przez ścianę budynku. Mathieu był zmrożony i samotny. Usiadł przy biurku i zaczął gapić się na swoje dłonie. Czekał.

Po jakichś pięciu minutach zadźwięczał dzwonek i przed Mathieu ukazała się głowa Costaina. Błyski światła, które jak robaczki świętojańskie krążyły wokół obrazu mężczyzny, wskazywały na to, że projektor jest źle wyregulowany.

- Czy mógłbyś zejść do północnego westybulu? -w głosie Costaina pobrzmiwała nerwowość i ostrożność. - Natychmiast?



- Co się stało?

- Wygląda, jakby ktoś zmasał Conę Dallen i jej syna.

- Zmasał ich! - Mathieu okazał zdziwienie. - Masz na myśli...?

- Tak. Całkowite wytarcie mózgu. Nie wiedziałeś o tym?

- Nie, ja... - Mathieu przerwał. Pytanie rozdrażniło go. - Skąd, do diabła, miałbym wiedzieć? Siedzę cały czas w moim...

Costain potrząsnął głową.

- Wszyscy w budynku o tym mówią. Będziesz musiał złożyć oświadczenie.

- Już schodzę.

Gdy obraz Costaina rozplynął się, Mathieu wstał. Podszedł do drzwi, przyczesując włosy i poprawiając marynarkę. Chciał wyglądać jak najlepiej w tej trudnej sytuacji, a stanie oko w oko z Dallenem mogło być najgorszą z możliwych, najstraszniejszą sceną. Winda czekała na niego. Prawie natychmiast zjechał do westybulu. Zgromadzeni tam ludzie patrzyli na drzwi pokoju, który niegdyś, w czasach świetności Madison, zajmowała komisja rządowa. Mathieu przepychał się przez tłum i gdy tylko dotarł do drzwi, Vik Costain, jakby wiedziony przeczuciem, otworzył je, wciągnął go do środka i zatrzęsął zamek.

- Wszyscy się na tym kiedyś przejeździemy - powiedział Costain. Skóra na jego twarzy przypominała pomarszczoną lawę. - Frank od miesiący narzekał na systemy zabezpieczające.

- Wiem - wymamrotał Mathieu, przesuwając się w głąb pokoju ku centrum wydarzeń. Cona Dallen leżała na podłodze na plecach. Rękami wykonywała drobne, niezborne ruchy w powietrzu, jakby coś chwyciała. Jej lekka, szafranowa sukienka

była w nieładzie, odslaniając trójkątne majteczki. Jednak był to widok całkowicie aseksualny, gdyż Cona miała twarz obojętną i radosną, pozbawioną indywidualności, oczy zaś dziecinne: jasne, rozkapryszone, nierozumiejące. Pienista stróżka śliny ściekała z rogu jej ust. Obok Cony klęczał Garry Dallen, kołysząc syna w ramionach. Twarz skrył we włosach chłopca. Mathieu wiedział, że odtąd w swym życiu nie zazna radości.

Costain położył Mathieu rękę na ramieniu.

- Kto mógł coś takiego zrobić?

- Ja wiem, kto to zrobił - rzekł Dallen ołowianym, dziwnym głosem. Podniósł głowę i powoli patrzył po ludziach stojących w pokoju. Serce Mathieu zamarło, gdy szare, powiększone łzami oczy spotkały się z jego spojrzeniem. Ale jakimś cudem wzrok Dallena powędrował dalej. To było tak, jakby stali się obcymi ludźmi.

- Ja to zrobiłem - ciągnął Dallen.

Jeden z policjantów poruszył się niespokojnie.

- Garry, wydaje mi się, że nie powinienes...

Dallen uciszył go wzrokiem.

- Sprowadziłem tutaj swoją rodzinę... Źle wykonywałem swoją pracę... zbyt ostro... zignorowałem pogróżki...

Skurcz mięśni wykrzywił mu usta w podkówkę, upodabniając go do małego urwisa, który właśnie dostał klapsa. Mówił dalej i słowa brzmiały jak trzask pękającego szklanego pręta:

- Dlaczego mnie przy nich nie było? Nie zasługuję, by w ogóle mieć mózg...

- Zobaczę, dlaczego ambulans się spóźnia - powiedział Costain i pomaszerował do drzwi.

- Dobry pomysł. - Mathieu poszedł tuż za starszym męż-

czyzną, chcąc jak najszybciej opuścić to naładowane emocjami pomieszczenie. Jednak nie skierował się tam gdzie Costain, do drzwi wyjściowych, lecz skręcił w korytarz i wszedł do łazienki. Było tam chłodno, pusto, silnie pachniało mydłem. Mathieu w zaciszu kabiny wyjął z kieszeni złote pióro, przestawił końcówkę i przeciągnął nią po języku, rysując linię dwukrotnie dłuższą niż zwykle.

„Może mi się uda” - pomyślał. - „Może ujdzie mi to na sucho.”

Przymknął oczy, wycofał się w swoje wnętrze, czekając na chemiczne rozgrzeszenie.

## ROZDZIAŁ 5

Wypadek zdarzył się po osiemdziesięciu minutach lotu.

Jean Antony zrozumiała, że coś poważnego się dzieje, gdy urządzenia na tablicy rozdzielczej zaczęły zamierać bez wcześniejszego sygnału ostrzegawczego. Frachtowiec Typu 83 miał ponad sto lat i niektóre jego układy dotknęła elektro-niczna gangrena, ale instrumenty ostrzegawcze chyba jeszcze były dobre. To, że coś zawiodło, mogło oznaczać albo zupełną błąhostkę, albo katastrofę. Jean wiedziała, że może to za sobą pociągnąć jedynie dodatkową, uciążliwą naprawę, ale też może...

„O Boże! Boże najśłodszy, nie dopuść do tego, żebym w tym statku zginęła.”

Modlitwa była instynktowna i nie miała związku z religijnymi przekonaniem Jean.

Przestarzałe silniki jonowe statku wytwarzały tylko jedną piątą normalnej grawitacji. Jean mogła więc przejść przez sterownię jednym susem. Spojrzała na główną tablicę kontrolną - ciąg schematów blokowych, większość z nich przedstawiająca przekroje podłużne kadłuba statku - i zobaczyła roztaczającą się ciemność. Mogło to jedynie oznaczać, że w ładowni pękł kontener zawierający Bessemon D. Przez moment Jean pozwoliła sobie na odrobinę przerażenia: to co się stało, było po prostu nie fair; kilka urządzeń, wydawałoby się niezawodnych, popsuło się w tak niebezpieczny sposób. Potem jednak uświadomiła sobie, że tkwi w statku, który być może dosłownie rozpuszcza się wokół niej.

Bessemon D był gazem, rozpuszczalnikiem, który stosowano zamiast większości tradycyjnych urządzeń hutni-

czych. Był niebezpieczny dla życia nawet w specjalnych kontenerach, a krążąc swobodnie wewnątrz statku mógł na kilkanaście sposobów uśmiercić Jean Antony. Oczywiście groziło również zniszczenie kadłuba. Jean zdawała sobie jednak sprawę z tego, że w kanałach wentylacyjnych już mogą krążyć pierwsze śmiertelne smużki, przyspieszane przez plastikowe wirniki. Nie było czasu do stracenia.

- Kod zero-zero-jeden - krzyknęła, przeciskając się do pomieszczenia, w którym umieszczono kapsułę ewakuacyjną.

Z komputera pokładowego nie nadszedł żaden sygnał. Gdy otworzyła drzwi do pomieszczenia, większość świateł na tablicy rozdzielczej zaczynała mrugać. Jean opanowały nagłe mdłości i było to dla niej sygnałem, że sterownik siły ciągu zaczyna kaprysić. Weszła do kapsuły. Drzwi zatrzasnęły się za nią i zaryglowały. Kapsuła dziwacznie drgnęła. Jean, w czasie swojego dwudziestoletniego stażu jako pilot międzyplanetarnej, nie przeżyła czegoś takiego. Wiedziała teraz, że zbyt późno jest już na ucieczkę, bez względu na to, jaki los spotka jej macierzysty statek. Przycisk uruchamiający kapsułę zapalił się na czerwono, rozszechniając klaustrofobiczną ciemność.

Jean nacisnęła guzik prawą dłonią. Poczowała eksplozję, szarpnięcie i po sekundzie szybowwała w przestrzeni, oddalona o pięćdziesiąt kilometrów od niepojętej, przeogromnej skorupy Orbitsville.

Jea Jean odruchowo sprawdziła, czy radiolatarnia kapsuły funkcjonuje prawidłowo. Odnalazła pulsujący, zielony trójkącik na małej tablicy rozdzielczej, dotknęła go c go dla pewności, a potem spojrzała w górę i zobaczyła, jak skazany na zagładę frachtowiec oddala się. Kapsuła, wielkości trumny, była przezroczysta ze wszystkich stron, a oglądany z

niej świat dzielił się na dwie części. „Powyżej” -półkula gwiazd, z których pewne jaśniały na tle słabszych skupisk, i mroźnie świecące obłoki Drogi Mlecznej; „poniżej” - wydawało się, że nie ma zupełnie niczego.

Jean spędziła wiele lat kursując między dwustoma portalami równikowymi, a mimo to skłonna była interpretować ten widok tak, jakby znajdowała się w nisko lecącym samolocie tuż nad powierzchnią ciemnego oceanu. Obserwowała przestrzeń bezpośrednio pod kapsułą, spodziewając się, że zaraz dostrzeże światła frachtowca. Dziwiło ją i trochę zaniepokoiło to, że widziała tylko jednolite ciemności. Czyżby wszystkie źródła energii na statku popsuły się i nawet światła nawigacyjne zgasły?

„To nie może być, nie tak szybko” - powiedziała do siebie, marszcząc czoło, bardziej zaciekawiona niż zaniepokojona. przekręcała się z jednej strony na drugą, by objąć wzrokiem większe obszary ciemności pod sobą. Potem kątem oka dostrzegła coś olbrzymiego, co przesłaniało gwiazdne pole ponad głową. Wykonała obrót w zamkniętej przestrzeni kapsuły i przekonała się, że, jak już wcześniej podpowiadała jej intuicja, ten nieprzezroczysty przedmiot to był jej własny frachtowiec, sunący swoim kursem.

Nie ulegając panice, Jean przyglądała się dużemu statkowi i usiłowała pojąć, dlaczego jej ucieczka nie udała się. Odpowiedź nadeszła natychmiast. Nawigacyjne i sygnalizacyjne światła statku ślizgały się po jego podłużnej sylwetce z coraz większą prędkością. Oznaczało to, że awaria urządzenia sterującego ciągiem spowodowała rotację statku. I kapsuła, zamiast wylecieć do przodu i szybować w kosmosie z dala od równikowych dróg handlowych, została wystrzelona w kie-

runku Orbitsville. Zderzenie z niewidoczną powierzchnią oddaloną jedynie o pięćdziesiąt kilometrów było nie do uniknięcia.

Do tej chwili główną troską Jean była strata *Atkinsona Gímshawa*, starego statku, nazwanego tak na cześć jej ulubionego artysty z epoki wiktoriańskiej. Frachtowiec miał właśnie unicestwić się razem z większością jej majątku. Statek nie był ubezpieczony, więc ten wypadek oznaczał prawdopodobnie koniec jednoosobowego przedsiębiorstwa transportowego, które funkcjonowało osiem lat, od śmierci matki Jean. Teraz jednak takie rozważania nie miały znaczenia. Kapsuła poruszała się w dół z szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę, a składowa pozioma wynosiła około trzydzieści tysięcy z taką prędkością opuściła statek. Te wielkości, mierzone w stosunku do powłoki Orbitsville, były niewielkie w porównaniu ze zwykłymi operacyjnymi szybkościami, były jednak wystarczająco duże, by cienkościenna kapsuła rozbiła się przy zderzeniu, co miało nastąpić za około siedemdziesiąt pięć minut.

Życie czy śmierć - zależało to od tego, jak szybko zareagują służby ratownicze.

Jean miała czterdzieści lat i instynktownie wierzyła w swą nieśmiertelność, gdyż była zdrowa, inteligentna i zadowolona ze swego trybu życia. Teraz jednak, gdy tak płynęła w ciszy ponad niewidoczną powierzchnią ogromnego Wielkiego O, musiała rozważyć, jakie jest prawdopodobieństwo, że przeżyje ten dzień i wiedziała z góry: los nie jest po jej stronie.

Orbitsville posiadało trzy strefy owalnych portali: jedną na równiku i po jednej na północnej i na południowej półkuli. Portale na równiku, umieszczone w odstępach około pięciu

milionów kilometrów, miały numery od 1 do 207, licząc na wschód od portalu, który jako pierwszy odkryty został przez Vance'a Garamonda i załogę jego skrzydłomigacza. Kwitnące porty i miasta rozwinęły się później wokół wielu portali w okresie wielkich migracji z Ziemi. W tamtym czasie trasy handlowe wokół równika były ożywione i dobrze uporządkowane. Jednak miasta te, budowane siłą przyzwyczajenia, stanowiły jedynie manifestację zanikającej ludzkiej potrzeby posiadania bezpiecznego, zatłoczonego miejsca. Gdy do dyspozycji było nieograniczone terytorium, nie miały racji bytu konflikty, współzawodnictwo czy systemy obronne. Miliony ludzi z Ziemi zostały bez wysiłku wchłonięte, zwabione bezkresnymi sawannami Orbitsville. Potem wiele miast opuszczono, podobnie jak miasta na Ziemi.

Już w czasie działalności zawodowej Jean, komunikacja między portalami znacznie się zmniejszyła. Z tego właśnie powodu jej życie było teraz zagrożone. Jean leciała na wschód od portalu 156 do 183, który był nadal ożywionym centrum przemysłowym. Po osiemdziesięciu minutach lotu znajdowała się tylko dwadzieścia tysięcy kilometrów od miejsca startu, gdyż jej frachtowiec miał niewielkie przyspieszenie. W dawnych czasach jej kapsuła ewakuacyjna byłaby prędko przechwycona przez szybkie statki patrolowe, które monitorowały ruch w otoczeniu każdego portalu. Cóż, kiedy w ostatniej dekadzie XXIII wieku zredukowano do minimum służby ratownicze, a obecne wyprawy ratunkowe leniwie prowadziły swoje akcje: mogłyby one przynieść efekt, jeśli Jean wystrzelona została ze statku do góry. Teraz była przekonana, że nikt nawet nie zauważy niczego szczególnego w jej sygnale SOS, aż zrobi się za późno.



Patrzyła w dół, w jednolitą ciemność, i wyobrażała sobie, że to niewiarygodnie twardy mur, który zbliża się do niej ze śmiertelną prędkością. W powietrzu krążącym wokół siebie czuła silny zapach gumy i plastiku, świadectwo tego, że kapsuła była nowa, zainstalowana przed rokiem zgodnie z przepisami bezpieczeństwa. Jean prawie zaśmiała się na tę ironię losu. Stara kapsuła wyposażona była w komplet urządzeń radiokomunikacyjnych i w jednostkę napędową Covella. Każda z tych rzeczy wystarczyłaby w obecnej sytuacji, by zagwarantować jej przeżycie.

„Nowy wspaniały świat! Dodatkowy dowód na to, że ludzie odwrócili się plecami do podróży kosmicznych. Rozproszone cywilizacje można teraz śledzić wycelowanymi w niebo teleskopami, z wnętrza Wielkiego O, tropiąc świetliki karawann i obozowisk...”

Minuty mijały i Jean bała się coraz bardziej. Normalnie powinna by była obserwować pas nieba nad horyzontem Orbitsville w nadziei, że dostrzeże nadciągające światła sygnałowe. Nie była jednak w stanie ode -rwać wzroku od rzekomej głębi w dole. Jak daleko była teraz ta powłoka? Czy wysokościomierz też zwariował, jak wszystko inne na *Atkinsonie Grimshaw*, i wskazywał nieprawdziwe dane? Czy światła kapsuły zajaśnieją choćby słabiutką smugą zanim nastąpi kolizja? Jean jak sparaliżowana wpatrywała się w pełzającą ciemność, usiłując przeniknąć obrazy i dotrzeć do strasznej rzeczywistości, jaka była za nimi ukryta.

Tkwiła tak przez pewien czas, z ustami wykrzywionymi w nieświadomym grymasie, gdy zdarzył się cud.

Najpierw z lewej strony ukazała się cienka, zielona, świecąca linia przesuwająca się przez przestwór Orbitsville.

Wędrowała tak szybko ze wschodu na zachód, że pokonała całe pole widzenia w niecałą sekundę.

Jean zawyła, przygotowana na to, że jakakolwiek zmiana w niezmiennej czerni zapowiadała ostateczne zderzenie. Potem, gdy życie trwało nadal i powrócił spokój i cisza, Jean doznała olśnienia. Była świadkiem rzeczy nie do pomyślenia. Sunący zielony południk był zjawiskiem autentycznym, czymś, co istniało naprawdę.

W tajemniczym materiale powłoki Orbitsville nastąpiły zmiany.

Chociaż Jean była o krok od nieuniknionej śmierci, czuła niemal świętokradcze podniecenie. Sferologia - tak nazwano naukę, która narodziła się dwa wieki temu, gdy grupy uczonych zaczynały badać powłokę. Ta dyscyplina wiedzy nie miała żadnych wyników. Substancja powłoki, oglądana nawet pod mikroskopem kwarkowym, wydawała się ciągłą, jakby była wcieleniem pre-Demokrytowej koncepcji materii. W ciągu dwóch wieków usilnych prób, żadnemu badaczowi nie udało się zrobić na niej najmniejszej rysy ani zmienić jej w jakikolwiek sposób. Po milionach godzin badań sferolodzy znali grubość materiału, parametry odbicia, współczynnik tarcia, a poza tym niewiele więcej.

Podstawowy dogmat tej wiedzy głosił, że powłoka jest niezmienna. A jednak Jean Antony, zbliżając się do niej w samotnej ciemności, widziała dziwny, krótkotrwały przejaw życia, jakby pierwszy puls serca embrionu.

I ta pełna oczekiwania, nabożna trwoga u kogoś, kto spędził połowę życia, latając po tym iluzorycznym, czarnym oceanie, stała się niemal silniejsza niż strach przed śmiercią.

## ROZDZIAŁ 6

Po pięciu tygodniach, z pomocą lekarzy, Cona Dallem potrafiła samodzielnie spacerować i jeść, i niemal nauczyła się korzystać z toalety. Roy Picciano, przełożony lekarzy w osiedlu, twierdził, że postępy są znakomite, nie gorsze niż można by osiągnąć, gdyby Cona przebywała przez cały czas w klinice w Madison. Mała obciążenie fizyczne, związane z opieką nad niemowlakiem o rozmiarach dorosłej osoby, ale psychicznie Garry Dallen czuł się coraz bardziej zużyty.

Początkowo był zbyt wyczerpany i wstrząśnięty, by brać pod uwagę prognozy i rady Picciana. Na przykład nie dopuszczał myśli, że być może Cona nigdy już nie będzie w stanie mówić. Połączenia nerwowe w jej mózgu były nietknięte i on, Garry Dallen, człowiek, który zawsze ma rację, wiedział, że wytrwałością i siłą woli zmusi ten delikatny aparat do ponownego funkcjonowania. Wszyscy lekarze nie zwracali chyba uwagi na to, że ich nauka oparta jest na badaniu uogólnionej ludzkości, na obserwacji, co dzieje się z anonimową masą zwykłych ludzi. A przecież w tym wypadku chodziło o osobę jedyną i wyjątkową, która w unikalnym życiu Dallena grała najważniejszą rolę. Zwykłe zasady nie miały tu zastosowania. Tym razem - nie.

Pierwszym zniechęcającym faktem było odkrycie, że Cona nie może przebywać razem z Mikelem, gdyż stanowiła dla niego zagrożenie. Piccino wywodził, że Cona jest znowu niemowlakiem. Tkwi w prawdziwej psychozie typowej dla pierwszych tygodni dzieciństwa. Nie jest w stanie odróżnić siebie od świata zewnętrznego. Jej uczucia to wyłącznie złość, przyjemność, ból i strach. Wszystkie niemowlaki reagują

gwałtowną złością, jak im się coś nie podoba, szczególnie gdy chodzi o jedzenie. Każde dziecko, gdyby było dostatecznie duże i silne, zabiłoby matkę, która zbyt szybko schowała pierś lub nie zaspokoila innej dziecięcej zachcianki. Cona jest duża i silna, zwłaszcza w porównaniu z Mikelem, i wystarczyłaby jedna chwilka wściekłości.

Dallen za każdym razem był skonsternowany, gdy spotykał się z gwałtowną złością Cony. Na ogół chodziło o jedzenie. Cona zawsze miała dobry apetyt i kiedy była dorosłą, myślącą osobą trudno jej było utrzymać wagę i zrezygnować ze słodyczy i potraw mącznych. Ta nowa Cona, nawet jak już nauczyła się żuć, jadła najchętniej wyłącznie czekoladę i lody, i dochodziło do starć, ilekroć

Dallen próbował nakłonić ją do czegoś innego. Początkowo okazywała złość, turlając się po podłodze i piszcząc. Czuł wtedy przerażenie, gdyż robiła to bardzo głośno i bezładnie. Potem, gdy rozwinęła się u niej koordynacja ruchowa i przestrzenna, udało jej się pewnego razu uderzyć go w twarz. Policzek go szczypał, ale prawdziwy ból pojawił się wówczas, gdy przekonał się, z jaką łatwością Cona przeszła od wściekłości do szczerotliwego zadowolenia, skoro tylko puścił z ręki cukierek, o który toczył się spór.

Sytuacja była jasna - „Cony Dallen już nie ma” - i Dallen zaczął się wycofywać, z lękiem, pełen wątpliwości...

Dallen usłyszał dzwonek i otworzył drzwi. Ze zdziwieniem zobaczył Roya Picciano zamiast, jak się spodziewał, pielęgniarki. Było przedpołudnie, wtorek, i miał zamiar zrobić podstawowe zakupy zanim pójdzie do kliniki, do Mikela.

- Coś zatrzymało Betti na chwilę, więc zaproponowałem jej, że ją zastąpię - rzekł Picciano i uśmiechnął się, pokazując

złote plomby, które znowu ostatnio weszły w modę.

Picciano był kudłatym, opalonym mężczyzną, około pięćdziesiątki. Ubierał się w lekkie, sportowe ubrania i sprawiał wrażenie, że wszystkie swoje zawodowe spotkania upycha między kolejne partie golfa.

- Dzięki, Roy. - Dallen cofnął się, wpuszczając doktora do środka. - Wiesz, że mogłem poczekać.

- To nic takiego. Poza tym chciałem rzucić okiem na swoich pacjentów.

Dallen zauważył tę liczbę mnogą.

- Ja się czuję dobrze.

- Wyglądasz na zmęczonego, Garry. - Picciano przyjrzał mu się otwarcie. - Jak długo masz jeszcze zamiar tak ciągnąć?

- Tak długo, jak będzie: rzeba. Chyba już rozpatrzyliśmy całą tę sprawę?

- Nie! Ja, owszem, rozpatrzyłem ją - ty nawet nie zacząłeś uświadamiać sobie całego problemu.

- To mój problem. Jestem odpowiedzialny za Conę taką, jaka jest.

- To doskonały przykład ilustrujący to, o czym mówię - stwierdził Picciano, nie kryjąc rozdrażnienia. - Nie masz żadnych zobowiązań v stosunku do Cony, ponieważ Cona już nie istnieje. Twoja żona jest martwa, Garry. Jediną osobą, za którą jesteś odpowiedzialny, jesteś ty sam. Postęp w leczeniu łądzi, którym starto pamięć, *wiąże* się z pewnymi nieprzewidywalnymi czynnikami, ale jedno mogę ci powiedzieć z całą pewnością: ta otępiąta półosobowość, jaka rozwinie się w tamtej ludzkiej powłoce, nie będzie miała nic, ale to nic wspólnego z twoją poprzednią żoną. Musisz się z tym pogodzić dla własnego dobra.

- Dla mego własnego dobra. - Zabrzmiało to tak, jakby Dallen wypowiedział te słowa w jakimś obcym języku. - Jak długo będziemy stać tak tu, w holu?

- Zaraz ją obejrzę.

Picciano otworzył najbliższe drzwi i wszedł do długiego salonu, stukając obcasami po wypolerowanej podłodze z plastyku. Kiedyś Dallen próbował walczyć z tym, że Cona zanieczyszczała wszystko i zakładał jej pieluchy, ale ona bardzo ich nie lubiła, a Dallenowi wygląd Cony w pieluchach wydawał się groteskowy i poniżający. Usunął więc wszystkie dywany i od-tąd sprzątał po niej. Było to bardzo uciążliwe, ale obecnie Cona używała już łazienki i problem prawie zniknął. W tej chwili Cona leżała na niebieskim materacu. Podbródek oparła na dłoniach. Obserwowała wiry kształtów i kolorów nad image-rem dziecięcym. Nogi zgięła; bosc stopy krążyły bez celu, od czasu do czasu zderzając się. Mimo luźnej koszuli, w którą ubrał ją Dallen, wyglądała znacznie pulchniej niż miesiąc temu.

- Zobacz, kto do ciebie przyszedł - rzekł Dallen, klękając obok Cony i otaczając ją ramieniem.

Podniosła na niego oczy, w których odbijało się światło padające od okien, a potem znowu skierowała uwagę na powstające w powietrzu kształty. Dallen wyjął z kieszeni ligninę i próbował zetrzeć jej z podbródka czekoladową plamę, ale Cona zakwiliła z irytacją i odsunęła się od niego.

- Imager dostaliśmy dopiero wczoraj - wyjaśnił Dallen. - To dla niej ciągle nowość.

Picciano potrząsnął głową.

- Czy wiesz, co robisz w tej chwili, Garry? Usprawiedli-wiasz się, ponieważ pacjentka - odmawiam nazywania jej Coną

i ty też powinienesz to zrobić - nie przywitała mnie uprzejmościami i nie zaproponowała kawy i sherry. Właśnie o tym ci...

- Roy, na miłość Boską!

- Ja tylko... - Picciano westchnął i przez chwilę gapił się przez okno. - Czy podałeś jej wszystkie lekarstwa i znaczniki przewidziane na piąty tydzień?

- Tak. Nie było problemów.

- W takim razie przeprowadzę parę testów i zrobię notatki. - Picciano otworzył swą płaską teczkę i zaczął uruchamiać przyrządy wbudowane w wieko. - To będą sprawy rutynowe i dam sobie radę sam - dodał znacząco.

- Dzięki.

Dallen przyciskał przez chwilę swą twarz do twarzy Cony bez żadnej widocznej reakcji z jej strony. Potem wstał i wyszedł z pokoju. Po minucie był na ulicy. Zaczął głęboko oddychać, aby oczyścić płuca z zapachu czekolady i moczu. Wciąż wydawało mu się, że zapach ten cały czas utrzymuje się w domu.

Mieszkanie Dallena znajdowało się niedaleko krańca zasiedlonego obszaru Madison, terenu, który od śródmieścia ku północy ciągnął się przez jakieś pięć kilometrów i gdzie kwaterowało kilka tysięcy pracowników

Metarządu i lokalnej administracji. Budynki były przeważnie duże, kamienne i dobrze osłonięte drzewami - dowód, wcześniejszego bogactwa dzielnicy. Dalekie brzęczenie kosiarki tylko podkreślało ciszę tych wczesnych godzin zwykłego roboczego dnia. Dallen miał wrażenie, że zawędrował do jednego z tysięcy wyludnionych przedmieść, opuszczonych przez emigrujące rodziny, zapadłych w sen, w ruinę.

„Zimny kominek, wymarły salon”, pomyślał Dallen,

wspominając jedną z najpopularniejszych piosenek ostatnich dwustu lat. „Wszyscy uciekli na Wielki Balon...”.

Dallen usunął z myśli kliwe słowa piosenki. Postanowił pójść na piechotę do centrum i pomyśleć w tym czasie o sprawie Derka Beaumonta. Tragedia, która dotknęła Conę, przesłoniła wszystko w życiu Dallenga. Jedynej rozrywki dostarczał mu - o ironio! - ten właśnie człowiek, odpowiedzialny, jak mu się zdawało, za całą tragedię. Kiedy Dallen nie był pogrążony w rozpacz nad losem swej żony, ani nie wykonywał przy niej wszystkich uciążliwych czynności, wówczas pogrążał się w marzeniach. Widział siebie sam na sam z młodym terrorystą, widział jak zmusza go do wyjawienia nazwisk wszystkich ludzi związanych z zamachem na Conę, jak tropi ich, łapie i zabija. Z jednej strony, nawet w krwiożerczych wizjach, wzdrygał się na myśl o egzekucji wykonywanej z zimną krwią, ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że w czasie konfrontacji istnieje możliwość manipulowania podejrzanym. Tę technikę znają już nawet chłopcy: lekko pchnij wroga, zachęć go, by on pchnął cię mocniej, odpowiedz silniejszym szturchnięciem, stopniowo wzmacniaj gwałt i bądź w tym konsekwentny, aż będzie można odrzucić wszelkie wyrzuty sumienia, uwolnić się od wszystkich ograniczeń i przyjąć twardy kurs. Dallen wiedział, że kiedy w grę wchodzi emocje, to pokrewieństwo zobowiązuje. I mężczyzna albo kobieta - ten kto wymierzył w Conę i Mikela i pociągnął za cyngiel - też się o tym przekona... w końcowym gwałtownym, triumfalnym momencie ta osoba dowie się... i ta osoba pożałuje... w końcu...

Kiedy tak maszerował na południe, przecinając padające z ukosa smugi słoneczne i zielonkawe cienie, słyszał, jak zmienia się odgłos jego kroków, gdyż mięśnie twardniały mu pod



wpływem wewnętrznego napięcia. Praca Dallena wymagała czasami, by myślał i działał jak policjant, ale wymuszanie przestrzegania prawa w rejonie nie wchodziło w zakres jego oficjalnych obowiązków. Był funkcjonariuszem Czwartej Grupy w Wydziale Derejestracji; jego główne zadanie polegało na doglądaniu obszarów, które uznano za wyludnione i dbanie o to, by nie zostały zaludnione przez pełny rok. Po tym okresie Metarząd przestawał ponosić odpowiedzialność prawną za te obszary. Samo Madison, dzięki sztuczemu doborowi mieszkańców, praktycznie biorąc nie znało przestępstw. Departament policji składał się z kierownika i garstki funkcjonariuszy, których główną troską było zapewnienie kwater turystom. Dallen zawsze utrzymywał koleżeńskie stosunki z Szefem Policji, Lashbrookiem, mimo że zakresy ich obowiązków zachodziły na siebie. Dlatego był zdziwiony, że nie tylko odmówiono mu dostępu do terrorysty, ale wyraźnie dano mu do zrozumienia, że nie jest pożądanym gościem w śródmiejskim gmachu policji.

- To, co zdarzyło się z twoją żoną i chłopakiem, jest okropne - rzekł Cole Lashbrook, patrząc poważnie znad okularów, które nadawały mu wygląd pedanta. - Ogromnie mi przykro, ale zrobiłem już wszystkie ustępstwa, jakie mogłem. Jeśli będziesz uparcie próbował zobaczyć się z Beaumontem, będę zmuszony podjąć przeciw tobie odpowiednie kroki.

Dallen poczuł się znów skrzywdzony. Ze złości i gniewu zacisnął pięści.

- Przeciwno mnie! - prawie krzyknął. - Zwariowałaś?

- Ja nie, ale czasami mi się wydaje, że ty - owszem.

Beaumont złożył na ciebie formalną skargę za to, co mu zrobiłeś na zapleczu tamtego sklepu, Garry. Jeszcze nie

osiadł kurz na tej sprawie związanej ze śmiertelnymi wypadkami przy pościgu, dwa miesiące temu, a teraz to... I, szczyt wszystkiego, kręcisz się tutaj i spodziewasz się, że damy ci wolną rękę w postępowaniu z moim więźniem!

- Twoim więźniem?

Z trudnością powstrzymał się, by nie wypomnieć, jak ochoczo w przeszłości wydział policji zgadzał się, by siły Dallen wypełniały uciążliwe zadania.

- Tak jest. Miał przy sobie urządzenie wybuchowe i w związku z tym jest to sprawa karna. I chcę żeby Beaumont stanął przed sądem zdrowy i cały, a mógłby nie być w tym stanie, jeślibyś spotkał się z tobą twarzą w twarz.

- Ja? O co ci dokładnie chodzi?

- Garry, wiadomo, że czasami posuwasz się za daleko, nawet jeśli nie jesteś osobiście zaangażowany w sprawę, a ja nie mam zamiaru pomagać ci w dostaniu się za kratki.

„Stokrotne dzięki” - powtarzał do siebie Dallen, nie zwracając uwagi na umizgi łagodnego słonecznego ciepła.

W ciągu dwustu lat od odkrycia Optima Thule - oficjalna nazwa Orbitsville - wszędzie systematycznie spadała tradycyjna przestępczość. Większość przestępstw w ten czy inny sposób związana była z własnością, a ponieważ rasa ludzka została wchłonięta przez ład równy obszarem pięciu miliardom Ziemi - wystarczający, by utrzymać wszystkie istoty inteligentne w całej Galaktyce - odpadła główna motywacja przestępstw. Wraz z tym rozbudowane i skomplikowane struktury prawne stały się równie przestarzałe jak drut kolczasty i stopniowo przestawały działać.

Nawet na Ziemi, gdzie istniały pewne komplikacje historyczne, społeczność tej wielkości co ludność Madison funk-

cjonowała na dość nieformalnych zasadach, przynajmniej jeśli chodzi o przestrzeganie prawa i metody przymusu. W ciągu dni, które bezpośrednio nastąpiły po wymazaniu pamięci Conny i Mikela, Dallen był pewien, że jakoś uzyska zgodę na prywatne przesłuchanie Beaumonta. Ani przez chwilę nie wątpił, że zdoła zmusić więźnia do mówienia. Przez te dni i noce żył przekonaniem, że Beaumont powie mu nazwisko, właśnie *to* nazwisko, a następnie wszystko potoczy się wyznaczoną przez Niebiosą koleiną. Teraz prześladowało go podejrzenie, że młody terrorysta będzie sądzony podczas najbliższej sesji sądu rejonowego i zostanie rutynowo skazany na - o ironio ironii! - deportację na Orbitsville. I gdy tylko Beaumont osiągnie Zatokę Botaniczną, jak potocznie nazywano obszar otaczający Portal N5, ani Dallen, ani nikt inny nie zdoła go już osiągnąć. Gospodarka i mechanika ciał niebieskich zmówiły się razem, żeby załatwić to właśnie w ten sposób. Statek przycumowany przy którymś z portali równikowych wchodził na orbitę wokół centralnego słońca Optima Thule, ale jedynie kilka statków - wszystkie należały do Metarządu - było wyposażonych w skomplikowane zaczepy, dzięki którym mogły, jak pijawki, pszyssać się do portali w południowym lub północnym paśmie...

- Co się stało z twoim samochodem, staruszku?

Głos, dochodzący z odległości kilku kroków zaskoczył Dallena. Obejrzał się i zobaczył złoty kabriolet „Rollac”, który już od pewnego czasu musiał wolno jechać obok niego. Przez opuszczony dach widać było przy kierownicy pulchną sylwetkę uśmiechniętego Ricka Renarda, człowieka, który ostatnio zaczął się pokazywać w sali gimnastycznej, gdzie ćwiczył Dallen. Renard miał rude kędzierzawe włosy i jasną skórę rów-

nomiernie upstrzoną piegami. Miał również nadzwyczajny talent: przy niemal każdej wypowiedzianej uwadze wbijał szpileczki Dallenowi i zmuszał go do obrony.

- Dlaczego miałyby się dziać coś złego z moim samochodem? - rzekł Dallen, z rozmysłem udzielając takiej odpowiedzi, jakiej chciał tamten, tak jakby wystrzeżenie się pułapek, zastawionych przez Renarda, było kurtuazyjnym gestem w stosunku do niego.

Lekko wystające zęby Renarda błysnęły przez moment.

- Nikt nie spaceruje w taki upał.

- Ja, owszem.

- Próbujesz pozbyć się paru kilogramów?

- Taa... właśnie w tej chwili staram się pozbyć około ret-nara.

- Nie jestem aż tak ciężki, staruszk - rzekł Renard. Oczy promieniały mu z satysfakcji, że sprowokował obelgę wyrażoną wprost. - Posłuchaj, Dallen, dlaczego nie miałbyś wsiąść do mego samochodu, pojechać ze mną wygodnie do śródmieścia, a czas, który w ten sposób zaoszczędzisz, spożytkować delektując się chłodnym piwem?

- Cóż, jeśli tak stawiasz sprawę...

Dallen, zniechęcony nagle do marszu, wskazał krawężnik przed sobą, czyniąc tym gestem jakby instrukcję, gdzie zatrzymać samochód. Renard rozmyślnie minął trochę wskazane miejsce i odegrał się pozwalając pojazdowi mszyć, zanim Dallen wsiadł zmuszając go do szybkiego przebierania nogami przed umknięciem drzwiczek.

- Świetna zabawa, no nie? - Renard aż trząsał się z radości, ze swego małego osobistego triumfu. - Jak ci się podoba samochód?

- Ładny - odrzekł niedbale Dallen opadając na przytulne siedzenie.

- Ta dama ma sześćdziesiąt lat, wiesz. Niezniszczalna. Sam ją przywiozłem z Wielkiego O. Nie dla mnie są te wasze nowoczesne, gówniane Unimoty.

- Jesteś szczęściarzem, Rick.

Dallen czuł, jak fotel przystosowuje się do jego ciała, zachęcając je przymilnie, by się odprężyło. Podziwiał to bezszelstnie sunące uosobienie luksusu. Przyszło mu na myśl, że właściciel takiego pojazdu musi być bogaczem. Mętnie przypominał sobie, że kiedyś słyszał, iż Renard jest botanikiem, który przybył na Ziemię prowadzić jakieś badania. Sugerowałby to, że jest pracownikiem Metarządu, ale ludzie żyjąc z pensji nie wlekli ze sobą własnych samochodów przez setki lat świetlnych.

- Szczęściarzem? - zęby Renarda znów zabłysnęły wypukłym wąskim łukiem. - Według mnie wszechświat daje mi tylko to, na co zasługuję.

- Naprawdę? Czy przyjmujesz również dary z innego źródła?

Renard zaśmiał się z zadowoleniem.

- Tak naprawdę, to moja matka była z domu Lindstrom.

- W takim razie, czy to nie wszechświat powinien otrzymywać od ciebie zapomogi?

Dallen przymknął na chwilę oczy, ciesząc się, że coś odrywa go od jego spraw. Myślał o tym, co powiedział mu Renard o swoim pokrewieństwie z legendarną rodziną, która kiedyś zmonopolizowała przemysł kosmiczny. Przez krótki czas po odkryciu Wielkiego O oficjalnie zwano je Lindstromland. Skandynawskie konotacje w jego obecnej nazwie wska-

zywały na ciche wprawdzie, lecz nadal trwające wpływy tego klanu. W czasie swego największego rozkwitu Lindstromowie zgromadzili taki majątek, że chyba jego umniejszenie nie leżało w granicach ludzkich możliwości. Jeśli Renard był z nimi powiązany, bez względu na to jak luźne było to pokrewieństwo, nie mógł on być zwyczajnym botanikiem.

„Wszechświat daje mi tylko to, na co zasługuję”. Dallen wyobraził sobie swą żonę, jak chodzi bez celu po zacienionych pokojach, z koszulą podwiniętą do pasa, mrużąc do siebie, kiedy onanizuje się w marszu - i jego wewnętrzne napięcie stało się nie do wytrzymania. „Cona zasłużyła na lepszy los...”

- Słyszałem, że jesteś botanikiem - rzekł szybko.  
-Zbierasz kwiaty?

Renard potrząsnął głową.

- Trawę.

- Zwykłą trawę?

- Co zwykłego może być w trawie? - odrzekł Renard uśmiechając się w taki sposób, by dać do zrozumienia, że wykształcenie Dallenga nie jest pełne. - Jak dotychczas znaleźliśmy na Orbitsville tylko około trzydziestu gatunków. To niewiarygodnie mało, jeśli weźmie się pod uwagę wielkość tamtejszych obszarów i fakt, że na Ziemi mamy ponad dziesięć tysięcy gatunków. Wydział Rolnictwa pracował trochę nad mieszkankami ziemskich nasion, które przyjęłyby się w glebie Orbitsville i mogłyby współistnieć z tamtejszymi gatunkami; robili to w zeszłym wieku i w każdym razie był to wysiłek na pół gwizdka. Ja tę pracę wykonuję porządnie. Wracam tam wkrótce z nasionami ponad tysiąca odmian i z jakimiś dwoma tysiącami metrów kwadratowych tac z próbkami.

- Więc pracujesz dla Metarządu.

- Nie bądź naiwny, staruszk; wszystko czego Metarząd chce od Ziemi, to rozwód warunkowy. - Renard leniwym ruchem obrócił kierownicę, skręcając w aleję wiodącą na zachód.

- Pracuję tylko dla siebie.

- Ale... - Dallen próbował pojąć tę niespotykaną sytuację.

- Koszty transportu muszą być...

- Astronomiczne? Owszem, ale sprawa nie wygląda tak źle, kiedy ma się własny statek. Przez jakiś czas myślałem, żeby wynająć czarter, ale potem zdałem sobie sprawę, że sensowniejsze będzie wyreklamowanie starego skrzydłomigacza ze złomowiska; koszty zamortyzują się po trzech czy czterech przelotach.

- Też tak bym zrobił - rzekł Dallen, skrywając swoją zazdrość i podziw dla indywiduum, które tak niedbale rozprawiło o tym, że posiada własny sztuczny mikrokosmos: statek międzygwiazdny. - Co takiego masz?

- Typ 96B. Był przeznaczony do przewozu dużych ładunków, więc nie ma w nim pokładów przedzielających. Wobec tego zupełnie nie nadawał się dla moich celów. Ale poradziłem sobie i zbudowałem bardzo wysokie stelaże na tace z trawą. Czy chcesz za darmo przejechać się na Orbitsville?

- Nie, nie w tej... Dlaczego pytasz?

- Potrzebuję ludzi, którzy zajmowałiby się moją trawą. Instalacja automatyki jest zbyt kosztowna. Płacę darmowym przejazdem. W ten sposób jest to korzystne dla obu stron.

- Może powinienem stać się przedsiębiorcą.

- Nie nadajesz się do tego, staruszk. Oduczyłeś się myśleć z rozmachem. - Uśmiech Renarda zawierał pełną czułości pogardę. - Gdyby tak nie było, nie pracowałbyś w policji.

- Nie jestem policjantem. Pracuję dla... - Dallen otworzył

szerzej oczy z opóźnieniem uświadamiając sobie, że samochód zmienił kierunek jazdy. - Dokąd, do diabła, jedziemy?

Renard zaśmiał się, zadowolony, że ponownie odniósł triumf w tej ich jakby nie kończącej się osobistej rozgrywce. - To zajmie tylko parę minut. Obiecałem Sylwii, że podrzucę jej karton szkła.

- Jakiej Sylwii?

- Sylwii London. Ach, przypuszczam, że nigdy nie byłeś u Londonów?

- Przynajmniej od czasu, kiedy korniki pożarły mój kij do polo.

- Lubię cię, Dallen - rzekł z uznaniem Renard. - Jesteś osobą odświeżająco naturalną.

„A ty jesteś odświeżająco naturalnym workiem rzygowin” - pomyślał Dallen, zastanawiając się, dlaczego tak głupio i niewybaczalnie marnotrawi część dnia. Poprzednio jedynie przelotnie spotykał Renarda w sali gimnastycznej, ale to powinno było wystarczyć, by się na nim poznał i strzegł tej skarłajej osobowości. Życie Renarda wydawało się być nieustanną grą o dominację, grą, w której nigdy nie rezygnował z zastosowania wszystkich swoich atutów, grą, w której ani żaden przeciwnik nie był zbyt słaby, ani żadne pole bitwy zbyt mało ważne.

Obecnie Renard siedział za kierownicą samochodu i miał czasowo kontrolę nad mchami swego pasażera. Była to nieprzyjemność zgoła mikroskopijna, ale ponieważ wyraźnie delektował się tym, co robi, cała sytuacja przemieniała się w coś zupełnie innego. Dallen był wściekły na siebie, że bierze udział w tym spektaklu. Wyprostowany, czekał na okazję, by opuścić samochód. Musiałoby to być zrobione jednym lekkim



mchem - w przeciwnym wypadku Renard zainkasowałby dodatkowe punkty - więc samochód musiałby praktycznie stanąć. Renard spojrział z ukosa na Dallena i natychmiast przyspieszył, zwiększając częstotliwość migania plam słonecznych i cieni na opływowej, złotej masce wozu.

- Będziesz zadowolony, gdy poznasz Sylwię - rzekł.  
-Musisz zobaczyć jej misy.

- A jeśli nie interesuję się ceramiką?

- A jeśli to nie ceramikę miałem na myśli, staruszk?

Dallen utkwiał wzrok w jezdni przed nimi.

- Wiem, co miałeś na myśli, staruszk.

- Słowo daje, jest zły! - Renard wykręcił szyję, by spojrzeć w twarz Dallena. - Udało mi się sprowokować purytańskiego pana Dallena, słowo daje. No, no!

Potrząsając z rozbawieniem głową i prawie nie zmniejszając szybkości, Renard skręcił w szeroki podjazd. Pociemniało nagle, gdy znaleźli się między ścianami z krzewów.

- Te czasy reakcji, w których żyjemy, muszą ci bardzo odpowiadać. - Renard mówił spokojnie tonem refleksyjnym, zadziwiając Dallena zmianą sposobu bycia. - Ja osobiście byłbym szczęśliwszy trzydzieści lat temu, w latach sześćdziesiątych. Przypuszczam, że zauważyłeś prawidłowość w czasie ostatnich kilku stuleci? Stałe narastanie swobody obyczajów... szczyt po dwóch trzecich stulecia... a potem gwałtowne odwrócenie tendencji pod koniec wieku i na początku następnego. Jak sądzisz, dlaczego tak się dzieje? Dlaczego tak jest, że koncepcje Mary Poppins: moralność, monogamia, rodzina nie chcą ułożyć się w grobie i umrzeć?

„Chyba muszę założyć, że on nie wie, co się stało z Coną i Mikelem” - powiedział sobie Dallen. - „Kiedy samochód za-

trzyma się, odejdę, a jeśli będzie miał dość rozsądku, żeby mnie puścić, nasza znajomość na tym się zakończy...”

Zbudowany na szczycie niskiego wzgórza dom, który pojawił się przed nimi, był inny niż Dallen oczekiwał. O Londonach Dallen wiedział jedynie to, że są podobno bogaci i skupiają wokół siebie jakieś nieortodoksyjne stowarzyszenie filozoficzne - typ ludzi lubiących otaczać się rzeczami, które noszą zewnętrzne oznaki społecznego szacunku i długiej tradycji. Dom powinien mieć mansardy, szyby w ołowianych ramach i podobne detale. Tymczasem rezydencja Londonów okazała się trzykondygnacyjnym budynkiem z czerwonej cegły, zbyt małym, jak na swoje imponujące położenie. Do głównej konstrukcji raczej nieporządnie doklejono przybudówki z pruskiego muru. Przybudówki dodawano do przybudówek w tak niezdyscyplinowany sposób, że nie tolerowano by tego w czasach, kiedy plany urbanistyczne traktowano poważnie. Obok głównego wejścia ułożony był stos omszałego drewna.

- Następczyni Rebeki nie rozmyślałaby o tym budynku podczas bezsennych nocy - rzekł Renard. Samochód zatrzymał się gwałtownie na placyku przed domem, kołami rozgniatając z chrzęstem żwir.

Dallen skinął głową i nie odpowiedział, zgadując, że była to aluzja literacka. Wsiadł z samochodu i już odwracał się, chcąc odejść, kiedy na frontowe schody domu wyszła wysoka brunetka, by przywitać się z Renardem. Miała na sobie przylegającą do ciała białą koszulę i białe spodnie. Strój podkreślał jej pełne piersi i wąskie biodra. Mięśnie rysujące się lekko na ramionach świadczyły o tym, jak sądził Dallen, że oto ma przed sobą kobietę, która utrzymuje właściwą figurę dzięki

ruchliwemu trybowi życia. Twarz miała małą i prawie kwadratową. Lekko wysunięty podbródek sprawiał, że jej dolna warga miała w sobie coś z zadziorności. Ta twarz, jakkolwiek pełna życia i inteligencji, wielu ludziom nie spodobałaby się. Dallen jednak uświadomił sobie, że jej widok dziwnie go pobudził i zaniepokoił. Poczł się jak człowiek, który właśnie przypomina sobie o ważnym spotkaniu, na które nie stawił się przez zapomnienie.

- ... a ma na imię Garry - mówił Renard do kobiety. - Nigdy wcześniej nie widziałem go w takim transie. Może jeśli skierujesz swoje piersi w innym kierunku...

- Zamknij się, Rick. Cześć, Garry. - Obdarzyła Dallenga przelotnym uśmiechem, gdyż jej wzrok był już skierowany na dwa kartony, spoczywające na tylnym siedzeniu samochodu. - Czy to moje szkło?

- Tak jest. Z ukłonami od Agencji Dostaw Domowych Renarda. Zniosę je na miejsce.

- Dziękuję, ale jestem jeszcze w stanie przenieść jedno pudło czy dwa.

Kobieta sięgnęła do samochodu, wzięła karton i zabrała go do budynku.

- Na pewno jesteś w stanie - rzekł Renard z podziwem. Jego wzrok zatrzymał się przez dłuższą chwilę na biało odzianej sylwetce, a potem przeniósł się na Dallenga.

- A co, nie mówiłem?

Dallen uczył dokuczliwe ukłucie, a potem uświadomił sobie, że to pytanie nie spodobało mu się nie tyle z powodu dźwięczącej w nim nutki seksizmu, co z powodu dumy posiadacza, jaką Renard w nim zawarł.

„To nie ma sensu” - pomyślał zaniepokojony tym, że tak

szybko coś się w nim dzieje, a on nie ma nad tym kontroli. - „Jeśli *taka* kobieta ma coś wspólnego z Renardem, to nie może być taką kobietą, jak się wydaje. ”

Nie chciał zastanawiać się dłużej nad swoimi pobudkami, wziął drugi karton i zaniósł go do budynku. Karton był ciężki, co potwierdziło jego domysł, że Sylvia London jest silna fizycznie. Stała w przejściu po lewej stronie holu. Uśmiechnęła się znów i gestem zachęciła go do przejścia.

- Dzięki - powiedziała. - Bądź łaskaw pójść z tym do studia na wprost.

- Dobrze, panie bohrze.

„Rzeczywiście, doskonale rozpocząłem konwersację” - pomyślał przerażony. - „Skąd wystraszałem takie powiedzenie? ”

Przez typowo umeblowany wysoki pokój przeszedł do następnego pomieszczenia. Było przestronne i miało okna w suficie, co wskazywało, że znajduje się w jednym z dobudowanych fragmentów domu. Dallen stanął jak wryty, kiedy ujrzał wielobarwny błysk, gdy ostre światło padające z zewnętrznego pokoju przesiało się przez sięgającą prawie do sufitu mozaikę z kolorowego szkła.

Z początku Dallenowi zdawało się, że jest to wielki kwiat koniczyny. Wszystkie krawędzie trzech ogromnych płatków leżały w tej samej płaszczyźnie i ta konstrukcja mogłaby służyć jako niezwykle ozdobne okno, ale wewnętrzne powierzchnie ustawione były w przedziwne szeregi trójwymiarowych krzywizn, wyrzeźbionych w szkłe. Geometryczne wzory oparte na okręgach i elipsach wychodziły promieniście ze środka, zawracały i przeplatały się, tworząc w jednych miejscach obszary o ogromnym stopniu komplikacji, a w in-

nych wygładzając się do spokojnej prostoty. Technika, z pomocą której uzyskano ten efekt, była zbliżona do pointylizmu: efekt osiągnięto dzięki wielu tysiącom kolorowych kawałków szkła, przeważnie nie większych od monety. Dallen czuł nabożny podziw. Po plecach przechodziły mu ciarki, kiedy uświadomił sobie, że iskrzące się kostki mozaiki, które z początku uważał za pomalowane przezroczystą farbą, były w rzeczywistości kawałkami szkła witrażowego oprawionego w metal.

- Mój Boże - powiedział ze szczerym szacunkiem. - To jest po prostu... Nigdy bym...

Sylwia London zaśmiała się. Wzięła od niego karton i ustawiła na warsztacie.

- Podoba ci się?

- To prawdopodobnie najpiękniejsza rzecz, jaką widziałem w życiu. - Dallen napełniał oczy wirującymi promieniami, wprawiając się niemal w hipnozę. - Ale...

- Ponad trzysta tysięcy.

- Proszę?

- Wszyscy pytają przede wszystkim, jak dużo tu jest oddzielnych kawałków szkła. Odpowiedź brzmi: ponad trzysta tysięcy. Pracowałam nad tym stale przez cztery lata.

- Po co? Na miłość Boską, po co? - Renard wszedł niezauważony do studia i teraz odezwał się zza Dallena.

- Przy pomocy imagera mogłabyś osiągnąć ten sam efekt w kilka dni. Kazałabyś komputerowi zmieniać w sposób ciągły kolory i efekt byłby nawet lepszy. Co o tym sądzisz, Garry?

- Nie jestem artystą.

- Możesz mimo to spróbować wygłosić swoją opinię

- powiedziała lekko Sylwia, ale wzrok miała utkwiony w

Dallenie. - Dlaczego miałabym oddać cztery lata życia jednej niepotrzebnej konstrukcji?

Odpowiedź Dallena była instynktowna:

- Coś, co wygląda jak mozaika, powinno naprawdę być mozaiką - inaczej nie ma to sensu.

- Dość dobra odpowiedź - rzekła. - Możesz tu przychodzić kiedy chcesz.

- Lizus - zadrwił Renard. - Sylwio, kiedy przestaniesz składać fałszywe hołdy temu staremu... jak mu tam... Tiffany'emu i jego metodom? Doskonale zdajesz sobie sprawę, że oszukujesz.

Potrząsnęła głową patrząc na Dallena, chcąc by był aktywnym słuchaczem tego, co mówi.

- Tnę szkło nożem walencyjnym, ponieważ jest to szybkie i dokładne. I zamiast oprawiać każdy kawałek w folię miedzianą, żeby można je było zespawać, przemieniam kilka milimetrów szkła w miedź, aby było szybciej, a produkt bardziej trwały. Sam Tiffany używałby tych metod, gdyby były dla niego dostępne. Wobec tego, zgodnie z moimi zasadami, to nie jest oszukiwanie.

- A co z zimnym lutowaniem?

- Stosuję to samo kryterium.

- Powinienem mieć na tyle rozsądku, by nie kłócić się z kobietą - powiedział Renard, pogodnie, choć bez przekonania.

- Kiedy ty i ja pójdziemy gdzieś na wspólną kolację?

- Już omawialiśmy tę sprawę.

Renard wziął do ręki kawałek nierównomiernie błyszczącego szkła w kształcie ryby i spojrział przez niego.

- Jak się ostatnio miewa Karal?

- Jego stan jest stabilny, dziękuję.

Renard zbliżył szkło do twarzy, tak że wyglądało, jakby miał maskę na oczach.

- Bardzo się cieszę.

- Tak, Rick. - Sylwia zwróciła się do Dallena z przeproszącym uśmiechem. - Przykro mi, że rozmowa stała się taka hermetyczna. Widzisz, choć mój mąż jest stary i bardzo chory, zdrada małżeńska nie interesuje mnie. Kiedy przed chwilą odmówiłam Rickowi randki, on całkiem naturalnie - biorąc pod uwagę jego charakter - spytał mnie, czy Karal wkrótce umrze, a kiedy powiedziałam mu, że się na to nie zanoszą, nawet nie spróbował udawać, że jest z tego zadowolony.

- Sylwio! - Renard wyglądał na zgorzzonego. - Mówisz tak, jakbym był jakimś ordynusem!

- Kusi mnie by odpowiedzieć w oczywisty sposób na tę uwagę, lecz...

- Mną się nie przejmujcie - wtrącił Dallen. - Lubię odgłos kuksańców na czyimś ciele.

Odruchowo skrył się za taką tarczą. Chciał zyskać na czasie, by przywrócić kontrolę nad tym, co działo się w jego czaszce. Informacje napływały zbyt szybko. Fantastyczna konstrukcja ze szkła, wypełniająca studio, miała swój własny przemożny wpływ, ale ponadto coś w samej Sylwii London niepokoiło go. Właśnie dowiedział się, że Renard nie ma do niej żadnych praw, że jest ona osobą, do której Renard nie zdołał nabyć żadnych praw. W rezultacie w mózgu Dallena eksplodowały obrazy i wrażenia zmysłowe: Sylwia widziana przez stół w czasie późnej kolacji; Sylwia w zamyśleniu oglądająca uszkodzony paznokciec; Sylwia za kierownicą szybkiego pojazdu hiper-G; Sylwia unoszona na wodzie ozłoczonego słońcem basenu; Cona podnosząca z chwilowym zakłopotaniem

niem wzrok znad tekstu historycznego; Sylwia leżąca z głową na jego zgiętym ramieniu; Cona zostawiająca ślady własnego moczu na drodze z pokoju do ustępu...

Sylwia spojrzała na Dallenga z zamyśleniem.

- Ciągłe myślę... Czy my się gdzieś już nie spotkaliśmy?

- To mało prawdopodobne. - Renard wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jego kij do polo zjadły korniki.

Dallen odsunął się od Sylwii, podchodząc do zadziwiającej szklanej mozaiki.

- Z początku myślałem, że to kwiat, ale to ma coś wspólnego z astronomią, prawda?

- Tak jest. To reprezentacja kosmosu Gotta McPhersona.

Dallen nachmurzył się, wciąż walcząc z wizjami.

- Myślałem, że McPherson jest sferologiem. Jest członkiem Komisji Naukowej Optima Thule, prawda?

- Tak, ale mnie jako artystę inspirują jego prace z kosmogonii - rzekła Sylwia, gładząc szkło końcem palca. - Tak naprawdę, to co tu widać, pokazuje czysty Kosmos Gotta. Scenariusz, który on opisał w dwudziestym wieku, zakładał, że w czasie Wielkiego Wybuchu powstały trzy oddzielne wszechświaty. Wszechświat, w którym żyjemy, nazwał Rejonem I. Składa się z normalnej materii i, oczywiście, w naszym wszechświecie czas płynie naprzód. To jest ten fragment po lewej, gdzie wszystkie kolory i formy są naturalne według naszych norm.

Sylwia przeszła na drugą stronę mozaiki, krocząc ostrożnie po drewnianym postumencie, wybierając wąskie przejście między Dallengiem a szkłem. Jej włosy musnęły Dallenga wargę.

- W panelu naprzeciw jest wszechświat Rejonu II, stwo-



rzony w tym samym momencie co nasz, ale idący wstecz, w naszą przeszłość, i złożony z antimaterii. Przedstawiłam jego naturę używając odwróconych kształtów i kolorów będących dopełnieniem kolorów z Rejonu I. Gott zakładał również istnienie wszechświata Rejonu III - wszechświata tachjonowego - który pędzi daleko przed nami w czasie i pozostanie w naszej przyszłości, aż wszystkie wszechświaty spotkają się w następnym Wybuchu. To właśnie wszechświat tachjonowy w sekcji centralnej: wydłużone, abstrakcyjne formy, spłukane, opalizujące kolory.

- Czy nie cieszysz się, że zapytałeś o to? - Łuk wypukłych zębów Renarda zajaśniał. - Jeśli chcesz okazać inteligencję i zainteresowanie, spytaj, gdzie w tej historii pojawia się McPherson.

- Przepraszam - rzekła Sylwia, znowu krzyżując wzrok z Dallenem. - Jestem skłonna zakładać, że wszyscy dzielą moje prywatne manie.

- Nic nie szkodzi - odrzekł szybko Dallen. - To jest naprawdę... cóż, fascynujące... i rzeczywiście miałem zamiar zapytać o wkład McPhersona.

Renard zaśmiał się na całe gardło, klepnął się po udzie, kiepsko odgrywając scenę pogardy, po czym odszedł do starszej części domu, potrząsając głową.

- Może przynajmniej kocha zwierzęta - powiedziała Sylwia, czekając, aż Renard wyjdzie z zasięgu głosu. - McPherson dopracował idee Gotta i dodał wszechświat

Rejonu IV - wszechświat anty-tachjonowy, który wyprzedza Rejon II na jego drodze ku przeszłości. Zostało to wprowadzone do projektu jako czwarty panel, uzupełniający Rejon III, ale pomieszczenie jest zbyt niskie, żeby zebrać całą

kompozycję. Będzie to musiało poczekać.

- Na co?

- Na ukończenie szkoły Karala, oczywiście.

- Rozumiem - brnął Dallen. - Obawiam się, że niewiele wiem o pracy twojego męża.

- Naprawdę nie ma powodu, dlaczego miałbyś o niej wiedzieć; on nie jest typem reklamiarza.

- Nie miałem na myśli...

Sylwia zaśmiała się ukazując zęby, jak można było przewidzieć - doskonale.

- Jesteś zbyt normalny, aby dotrzymywać towarzystwa Czerwonemu Rickowi, wiesz. Dlaczego więc to robisz?

- Obiecał, że zabierze mnie do kina - rzekł Dallen, zastanawiając się, dlaczego z taką przykrością słyszy, że jest normalny.

„Co się dzieje? ” - myślał. - „To ja zawsze utrzymuję konwersację na poziomie. ”

-Jestem przekonana, że zainteresuje cię, co Karal ma do powiedzenia. - W spojrzeniu Sylwii była jakaś zniewalająca miękkość. - Jutro wieczorem będzie u nas trochę ludzi. Czy nie zechciałbyś też przyjść?

- Ja...

Dallen spojrział na kobietę i poczuł, że ogarnia go panika, kiedy uświadomił sobie że omal nie wziął Sylwii w ramiona. Nie było żadnego powodu, żadnej zachęty z jej strony, nawet nie czuł szczególnego naporu pożądania. To tak, jak gdyby jego ramiona chciały się ruszać niezależnie od jego woli, z własnej inicjatywy.

„A Cona jest wciąż zamknięta, wciąż jest tam, gdzie ją zostawiłem. ”

- Jutro jestem zajęty - rzekł. Jego głos zabrzmiał niespodziewanie głośno.

- Może któregoś z następnych wieczorów...

- Moja żona i ja nie bierzemy udziału w życiu towarzyskim.

Dallen wymaszerował ze studia do sąsiedniego pokoju, gdzie znalazł Renarda oglądającego jakieś ryciny botaniczne rozwieszane na ścianie. Pomieszczenie z wysokim sufitem wydawało się chłodne i miłe, jakby z innej epoki.

- Jesteś gotów do drogi? - spytał Renard z domyślnym wyrazem twarzy. - Myślałem, że taki miłośnik sztuki jak ty pozostanie tam przez wieki. Co zrobiłaś temu młodemu człowiekowi, Sylwio?

- Dziękuję za pomoc ze szkłem - powiedziała Sylwia do Dallena, wchodząc za nim do pokoju. Jej sposób bycia wydawał się teraz Dallenowi nazbyt poprawny. - Kartony są dosyć ciężkie.

- To drobiazg. Wybacz mi, mam spotkanie na mieście.

Dallen wyszedł przed dom, przygotowany, że opuści ten teren piechotą, ale Renard dogonił go i za minutę - po wymienieniu grzeczności z Sylwią - jechali razem samochodem między zielonymi ścianami z listowia. Prądy ciepłego powietrza owiewały czoło Dallena. Świat wydawał mu się nieznacznie zmieniony, tak jak w pierwszych chwilach po wyjściu z baru na światło dzienne. Czuł, że zaszło coś ważnego, ale rozstrajał go fakt, że nie było żadnych dowodów, iż w ogóle coś się wydarzyło. Była to kwestia interpretacji. Nigdy przedtem nie spotkał takiej kobiety jak Sylwia London i albo z tego powodu, albo ze zwykłego męskiego egotyzmu mógł źle odczytać sygnały. A może po prostu z powodu długiej absty-

nencji seksualnej. Kiedy wspomniał Royowi Piccino o częstych masturbacjach Cony, lekarz zasugerował, że objaw ten może zniknąć, jeśli wznowią kontakty fizyczne, ale Dallen uważał ten pomysł za niewymownie odpychający...

- Było to miłe, małe divertimento dla wszystkich zainteresowanych - rzekł Renard. - Co się tam zdarzyło?

- Co masz na myśli?

- Obydwoje wychodząc z tego studia wyglądaliście jak roboty - Renard miał rozbawioną minę. - Czy próbowałeś jej dotknąć?

Dallen chrząknął rozjątrzony.

- Zatrzymaj samochód i wypuść mnie.

- Nie musisz się dąsać, staruszkule - rzekł Renard, zwiększając prędkość i wyjeżdżając na ulicę. Mija już dwa lata, jak jej stary poleciał na Wielkie O, by tam umrzeć, i nikt nie zdołał zakręcić się koło naszej Sylwii w ciągu tego czasu. To naprawdę karygodne marnotrawstwo, ale ona skompensowała je wynajdując tę grę, zwaną Nowo - Moralne Łóżka Muzyczne. Niezgrabny tytuł, ale właśnie go wymyśliłem. Kiedy przestanie grać muzyka - mam na myśli płucny grzechot Karala - nastąpi ogólna przepychanka, a Sylwia chce, żeby brało w niej udział możliwie wiele osób. Oczywiście ja wygram. To jest już z góry ustalone, ale Sylwia nie chce tego przyznać nawet sama przed sobą. Myślę, że iluzja posiadania wolnego wyboru podnieca ją.

Ton i treść tego, co właśnie usłyszał, rozgniewały Dallen. Poczł się obrażony w imieniu Sylwii, ale zainteresowała go nowa informacja.

- Nie wiedziałem, że Karal London mieszka na Orbitsville.

Renard skinął głową.

- Niedaleko Port Napier. Na małych przyjęciach Sylwii pojawia się tylko jako holomorf. Osobiście uważam to za trochę niesmaczne.

- Każda osoba, równie wrażliwa jak ty, też by tak uważała.

- To niegrzecznie z twojej strony, Garry, niegrzecznie.

- Co z tą rozedmą płuc?

- Właśnie na to umiera. Powiedziano mi, że trudność sprawia mu przejście z jednego kąta pokoju do drugiego.

- Ale... - Dallen czuł, że coś go przytłacza. - Dlaczego?

- Dlaczego pozwala sobie na umieranie na uleczalną chorobę? Dlaczego nie został tutaj, albo nie zabrał ze sobą Sylwii na Wielkie O? - Renard rzucił Dallenowi spojrzenie, błyskając łukiem zębów. - Widocznie nie miała dosyć czasu, by wsiąść na swojego konika numer dwa, bo byś się wszystkiego dowiedział. To dostarczyłoby ci następnej... uhm... fascynacji.

- Zapomnij o tym pytaniu - rzekł Dallen, czując, jak traci cierpliwość.

- To wszystko jest elementem Wielkiego Eksperymentu, człowieku! - Renard zaśmiał się głośno, alarmując tę część umysłu Dallena, która była wyczulona na kpiny. - Czyś nie słyszał, że będziesz żyć wiecznie?

- Sądzę, że ktoś z Nazaretu wspominał coś podobnego.

- To nie ma nic wspólnego z religią, staruszkule - rzekł Renard, który widocznie postanowił tym razem podzielić się po prostu informacją. - Stary Karal jest antyreligijny i antymistyczny. Założył swoją Fundację Anima Mundi kilka lat temu w wyraźnie określonym celu, by...

- Garry? Czy zabrałeś ze sobą uszy? - Głos dobiegał z implantowanego radia Dallena. - Mówi Jim Mellor.

- Słucham - powiedział Dallen, werbalizując tylko strunami głosowymi. Był zaszokowany nieoczekiwaną wiadomością od swego zastępcy, otrzymaną po wielu tygodniach radiowej ciszy. - Czy coś nie gra?

- Mam dla ciebie złą wiadomość - rzekł Mellor. - Beaumont uciekł.

- Uciekł! - Dallen czuł, że ogarniają go znów dawne sprawy. - Złapcie go ponownie.

- Jest już na to za późno - odrzekł Mellor gniewnie, a jednocześnie z zakłopotaniem. - To zdarzyło się już trzy dni temu, ale Lashbroock powiedział mi o tym dopiero przed kilkoma minutami. W tej chwili Beaumont na pewno znajduje się znów w Cordele.

Dallen przymknął oczy.

- Więc jadę do Cordele.

- Co się z tobą dzieje? - odezwał się głośno Renard z siedzenia obok, niby intruz z innego wymiaru. - Mówisz do siebie?

Dallen przestał go słuchać, koncentrując się na wymianie zdań ze swym zastępcą.

- Przygotuj dla mnie statek, Jim. Będę tam za kilka minut.

- Ale...

- Za kilka minut, Jim.

Dallen wykonał wypraktykowany boczny ruch szczęką, który wyłączał radio, a potem próbował się odprężyć w głębokich poduszkach siedzenia. Czuł chłodne, miłe napięcie, które - jakkolwiek przypominało nudności - zwracało mu jego stracone złudzenia, że ma jeszcze przed sobą jakiś cel.

## ROZDZIAŁ 7

To nie była prawdziwa dolina: raczej wąski pas długości prawie kilometra, z którego odsunięto glebę i kamienne podłoże Orbitsville, odsłaniając materiał skorupy na znacznym obszarze. Hilem był czarny i nie odbijał światła, dlatego w nocy pas wyglądał jak zimne, czarne jezioro. Obok niego, na przyssawkach, zakotwiczono laboratoria badawcze. Stałe oświetlone, wyglądały jak flotylla łódek połączona kablami telekomunikacyjnymi i energetycznymi.

Dan Cavendish pracował w Dolinie ponad czterdzieści lat, ale spacer po jej dnie wciąż dostarczał mu przyjemności i pobudzał do refleksji. Wiedział, że tylko kilka centymetrów - grubość skorupy - pod podszwami butów dzieli go od przestrzeni międzygwiazdnej. Od trzech lat, od śmierci żony, trudno mu było przespać całą noc. Miał więc zwyczaj spacerować w ciemności po pasie hilemu od końca do końca, medytując i rozpamiętując. Choć na nocnym niebie Orbitsville nie było gwiazd, miało ono w sobie jakieś szczególne piękno, które prowokowało starego człowieka do sporządzania bilansu swego życia.

Powszechnie uważano, że Wielkie O to cienka sfera z hilemu, o średnicy 320 milionów kilometrów, otaczająca całkowicie małe słońce. Jednak uczeni zdawali sobie cały czas sprawę z istnienia drugiej wewnętrznej, koncentrycznej sfery, bez której funkcjonowanie całego systemu byłoby niemożliwe. Była ona znacznie mniejsza od Orbitsville i niematerialna - kulista koronka pól siłowych, zdolnych do zablokowania produkowanego przez słońce światła i ciepła. Składała się z cienkich pasków, praktycznie nieprzezroczystych, których zadaniem

było rzucanie ogromnych pręgów cienia na sawannę Orbitsville. Dawało to naprzemienne okresy jasności i ciemności, dnie i noce, konieczne do wzrostu roślin. Tej wewnętrznej sfery nie można było badać bezpośrednio. Dało się jednak wyciągnąć pewne wnioski o jej strukturze na podstawie analizy pasów światła i ciemności, przesuwających się po powierzchni Orbitsville, jeśli punkt obserwacyjny znajdował się po przeciwnej stronie sfery, w odległości dwóch jednostek astronomicznych. W ciągu dnia pasma dawały efekt ledwo widocznego, delikatnego prążkowania, ale o zmierzchu występujące na przemian pasy bledszego i głębszego błękitu zaznaczały się wyraźnie. W nocy zaś na niebie dominowały setki cienkich, zakrzywionych żeber. Wychodziły z dwóch przeciwległych punktów na horyzoncie, wirowały po nieboskłonie i roztopiały w pryzmatyczną mgiełkę w miejscu, gdzie zanurzały się w gęstsze warstwy powietrza.

Całe życie Cavendisha - dziewięćdziesiąt dwa lata - upłynęło na Orbitsville. Nigdy jednak nie przestało go zachwycać to piękno i ta fascynująca tajemnica. Z tym nieprawdopodobnym tworem związanych było wiele pytań; Cavendisha nie zniechęcał fakt, że nie otrzymano na nie żadnej odpowiedzi mimo wysiłków Komisji Naukowej

Optima Thule. Jeden z dogmatów jego wiary głosił, że w końcu musi nastąpić przełom; Cavendish chciał być na miejscu, gdy przełom wreszcie nastąpi. Dlatego właśnie trzymał się pracy i odpierał wszelkie próby posłania go na emeryturę. Teraz, kiedy nie było Ruth, praca stanowiła dla niego wszystko i nie miał zamiaru nikomu jej ustąpić. W szczególności, nie miał zamiaru dać się wypchnąć Philowi Vigusowi, dyrektorowi technicznemu, z którym prowadził od kilku lat prywatną woj-



nę. Natrętna myśl o Vigusie sprawiła, że parsknął z gniewem.

- Myśli, że już jestem z drugiej strony wzgórza, tak? - rzekł Cavendish do otaczającej ciemności, patrząc ku wschodowi. - Jeszcze pokażę frajerowi, kto jest po drugiej stronie wzgórza.

Rozstawił swój przenośny stołek i usiadł, by odpocząć. Wyrzucił z głowy błąkającą się myśl, że mówienie do siebie stanowiłoby dowód, iż stwierdzenia Vigusa nie są pozbawione podstaw. Była piękna noc, z kilkoma tylko zabłąkanymi chmurkami na prążkowanym szafirowym niebie; Cavendish mógł się w samotności rozkoszować tym widokiem. Pozostali członkowie zespołu poszli do swoich domków. Na zboczach otaczających Dolinę nie widać było świateł, co oznaczało, że wszyscy są już w łózkach i śpią. Cavendish stłumił ukłucie zazdrości i żalu, kiedy przypomniał sobie, jak miło było obudzić się w nocy na chwilę, dotknąć ramienia Ruth i zażywać poczucia bezpieczeństwa. Było im razem dobrze ze sobą. Teraz, na tym etapie swego życia, Cavendish nie miał zamiaru zdradzać Ruth przez wylewanie łez nad sobą. Wziął głęboki oddech, wyprostował ramiona i poddał się magii tego, co go otaczało, tej boskiej tajemnicy, jaką było skrzące się niebo Optima Thule.

Tak wiele pytań bez odpowiedzi...

Kto zbudował Orbitsville? I po co? Czy był to rzeczywiście artefakt, w ograniczonym, ludzkim sensie tego słowa, czy - jak utrzymywali niektórzy religijni myśliciele - dowód istnienia Stwórcy, które przejawiało się między innymi w ten sposób? Czy mógłby to być fenomen Przyrody, który ludziom wydaje się dziwny jedynie dlatego, że ich doświadczenie jest tak ograniczone?

Cavendish, urodzony na Orbitsville, instynktownie był skłonny mniemać, że jest to obiekt naturalny, jednak pewne uderzające cechy tego tworu niezmiennie wprawiały go w zdumienie. Na przykład zagadnienie grawitacji. W jakiś niepojęty sposób, cienka skorupa z hilemu wytwarzała grawitację na wewnętrznej powierzchni sfery, ale nie generowała jej na powierzchni zewnętrznej - co sugerowało, że Orbitville została zaprojektowana jako miejsce do życia. Był również problem z portalami. Logicznie myśląc, istnienie trzech rzędów okrągłych otworów mogło mieć tylko jedno wyjaśnienie: musiały to być wejścia; ale to prowadziło do pokrętnej koncepcji, że Bóg był inżynierem.

Niektórzy bez trudu przyjmowali tę ideę; inni sprzeciwiali się jej argumentując, że boska inżynieria powinna być bosko doskonała, podczas gdy system portali wejściowych wykazywał niezrozumiałe nieregularności. Samo Orbitsville była dokładnie kuliste. Taka symetria usatysfakcjonowałaby każdego teologa. Dlaczego jednak na równiku istniało 207 portali zamiast jakiejś liczby bardziej sugerującej niebiańską harmonię? Dlaczego pasma północne i południowe nie leżały dokładnie na tej samej szerokości geograficznej i dlaczego w pierwszym paśmie było 173, a w drugim tylko 168 portali? Co więcej, dlaczego odległości między portalami i same portale różniły się trochę rozmiarami?

Ożywione dyskusje trwały od dwóch stuleci. Zwłaszcza dla numerologów była to najbogatsza żyła złota od czasów, gdy zagadki Wielkiej Piramidy cieszyły się powszechnym zainteresowaniem. Nikt nie doszedł jednak do jakichś przekonujących konkluzji. Sferologia miała na swoim koncie same porażki. Nikt nie rozumiał, dlaczego wewnątrz Wielkiego O

niemożliwa była komunikacja radiowa. Nikt nie zanalizował mechanizmów, które trzymały wielką skorupę w stabilnym układzie z zamkniętym wewnątrz niej słońcem i planetą krążącą po orbicie na zewnątrz Orbitsville. Cavendish był specjalistą od chemii nieorganicznej i dlatego zawodowo parął się problemami makrosferologii. W głębi duszy marzył o postępie, o tym, żeby jeszcze za jego życia zrobiono choć mały krok naprzód. Byłaby to nagroda za te czterdzieści kilka lat rozczarowań, jakich doświadczył od czasu, gdy osiedlił się w Dolinie.

Obracając niezręcznie swoje chude ciało na stołku, Cavendish powiódł wzrokiem wzdłuż linii budynków, pływających po owym jeziorze atramentu. Niektóre rozbierano i odbudowywano kilka razy, kiedy kończono jedną serię doświadczeń i zaczynało inną. Niektóre budynki i urządzenia posiadały swoje odwrócone odpowiedniki, jak obrazy lustrzane, przyłączone na zewnątrz skorupy Orbitsville; ich położenie obliczono biorąc za punkt odniesienia krawędź najbliższego portalu. Chociaż urządzenia były rozdzielone zaledwie ośmioma centymetrami hilemu, żadne z nich nie zdołało się nigdy skomunikować ze swoim odpowiednikiem. Cavendish na ogół patrzył na sprawy optymistycznie, ale były momenty, kiedy podejrzewał, że jego własne pole badawcze - struktura skorupy - jest najmniej obiecującą dziedziną w programie Komisji.

W taką noc jak ta, kiedy wiała chłodna bryza i trudno było przypomnieć sobie głos żony, miał skłonność przypuszczać, że upłyną jeszcze wieki, zanim hilem odśloni któryś ze swych sekretów, a wtedy może być za późno. Ludzkość rozproszy się i zostanie wchłonięta przez bezkresne łąki Orbitsville. Tysiące i tysiące rolniczych plemion będzie zajętych

ponownym wynajdywaniem maszyn parowych i silników spalinowych i nic im nie przyjdzie z rysunków technicznych ostatecznej maszyny.

Cavendish westchnął cicho i postanowił pójść spać. Podniósł się i schylił, by zabrać stołek, kiedy powierzchnia, na której stał, zamrugała zieloną poświatą. Świetlna linia, jaśniejąca na całej szerokości dna Doliny, minęła go, przebyła całą długość obnażonego pasa hilemu i zniknęła w ułamku sekundy na zachodnim krańcu Doliny.

- Co za...! - Cavendish patrzył na znajome nocne tło i nagle przestał czuć się bezpiecznie.

Mieszkał całe życie na skorupie Orbitsville i wiedział, że jej materiał jest absolutnie obojętny chemicznie, niezmienny, znacznie stabilniejszy niż powłoka jakiejkolwiek planety. Nie spodziewano się po niej, że będzie pulsowała zielonym światłem... bo jeśli mogą zdarzać się takie rzeczy, mogą również zajść inne zmiany... i Cavendish prawie czuł, jak hilem rozpущa się pod jego stopami... jak jego nieprzygotowane i niczym nie-chronione ciało leci w dół i na zewnątrz... w przestrzeń międzygwiazdną...

Mark Denmark był wyraźnie nieszczęśliwy. Uporządkował stosy papierów na biurku, chmurząc się cały czas. Potem podszedł do okna i wyglądał na dwór, kołyszając się na piętach. Dolina i stojące na jej zboczach budynki z szerokimi okapami odbijały pionowe promienie słoneczne. Wszystko to wyglądało tak jak zawsze, skąpane w jasności, która miała w sobie jakiś staroegipski blask. Denmark potrząsnął głową, tak jakby widok na zewnątrz nie uzyskał jego aprobaty, wrócił na swoje krzesło i zaczął uderzać piórem po zębach.

- Dan, sprawdziliśmy wszystkie zapisy wskazań wszyst-

kich przyrządów pomiarowych - rzekł w końcu. - Nie ma tam żadnych pików. Nie ma żadnych kleksów ani rozbłysków. W gruncie rzeczy po prostu nie ma żadnego śladu, że wydarzyło się coś niezwykłego.

- To nic dziwnego, jeśli się pomyśli, że żaden z fotometrów nie jest nastawiony na skorupę.

Cavendish mówił tonem rzeczowym, ukrywając swoje rozczarowanie, że nie ma odczytów popierających jego obserwację. Nie spał przez całą noc, pogrążony w domysłach. Ekscytowała go całkowita pewność, że sferologia za chwilę wykona ten od dawna oczekiwany krok naprzód. Teraz wyglądało na to, że sam zrobił krok do tyłu, że stracił pole w walce o odroczenie swojego przejścia na emeryturę.

Denmark nachylił się garbiąc ramiona.

- Dan, nie potrzebuję ci wyjaśniać, że światło nie może powstać samo z siebie. To, co opisałeś, wygląda na zjawisko pobudzenia, ale nic nie zostało pobudzone - może z wyjątkiem twych nerwów wzrokowych.

- Jestem zupełnie zdrowy - warknął Cavendish. - Nie próbuj ze mną tych sztuczek.

- Staram się tylko cię powstrzymać, byś nie zrobił z siebie dupy wołowej. Jeśli będziesz nastawał, żeby twoja obserwacja została oficjalnie zarejestrowana, zwrócisz na siebie uwagę wielu osób, a potem przekonasz się, co znaczy podlegać naciskom. Na Boga, Dan, jeśli wszyscy inni mogą iść na emeryturę, kiedy mają osiemdziesiątkę, dlaczego ty nie możesz?

- Ponieważ nie jestem jeszcze do tego gotów.

- Gotów czy nie, w najbliższych dniach... Komisja może być uparta, wiesz o tym.

Cavendish z udanym zdziwieniem powiódł wzrokiem po

biurze.

- Czyżbym trafił nie tam, gdzie trzeba? Jesteś dyrektorem naukowym czy kierownikiem działu kadr?

Szare oczy Denmarka pociemniały, a jego usta z wyrazem irytacji ściągnęły się w cienką linię. Patrząc na tę zmianę Cavendish rozważał, czy nie posunął się za daleko. Denmark był z powołania naukowcem. Jego usposobienie zatruły ciągłe walki o to, by możliwe było prowadzenie wszystkich badań, mimo coraz mniejszych funduszy. W ciągu ostatnich miesięcy stał się kapryśny i nieprzewidywalny.

„Wystarczy tylko jedno jego słowo” - myślał Cavendish z nagłym niepokojem. - „Wystarczy jedno pisemko i jestem na bruku z niczym...”

- Dzień dobry, panowie!

Nieoczekiwany głos dobiegający od drzwi zapowiadał coś, co, jak mniemał Cavendish, korzystnie zmieni temat rozmowy. Odwrócił się i poczuł, jak uchodzi z niego cała nadzieja. W drzwiach ujrzał postać swego starego przeciwnika, kierownika technicznego, Phila Vigusa, krępego faceta o byczym karku. Vigus, odpowiedzialny za niezawodność całego sprzętu, traktował każdą skargę jak zniewagę osobistą. Stąd częste konflikty z Cavendishem. Od dawna uważał Cavendisha za kłótniowego starucha i w tym właśnie momencie był on ostatnią osobą, którą Cavendish chciałby widzieć.

- Siadaj, Phil - rzekł Denmark. - Cieszę się, że wpadłeś.

- Naprawdę? - Vigus opuścił swoje cielsko na siedzenie. - Cóż takiego chcesz ode mnie?

Denmark obdarzył go przelotnym, zimnym uśmiechem.

- Po całej Dolinie masz porozstawiany sprzęt wartości milionów monetów, a właśnie zostałem poinformowany przez

obecnego tu pana Cavendisha - kogóż by innego? - że to wszystko, to kupa złomu. Myślałem zawsze, że materiał skrupy jest zupełnie obojętny, a ty? No cóż, widocznie hilem może wzbudzić się tak, że zaczyna świecić jak światła sygnalizacyjne na skrzyżowaniach i żaden z twoich diabła wartych instrumentów nawet nie drgnie. Co o tym sądzisz?

- Ja tego nie mówiłem - zaprotestował Cavendish, wstrząśnięty gwałtownością ataku Denmarka.

To tak jakby sam z własnej woli wpakował się w położenie bez wyjścia. Okazja jakby umysł nie stworzona dla Vigusa, który mógł go teraz brutalnie zaatakować, wspierając autorytet Denmarka swoim autorytetem kierownika technicznego. Oni obaj, idąc ręka w rękę, mogą w ciągu kilku godzin zaopatrzyć go w obiegówkę.

- Przypuszczam, na podstawie pogłoski, którą słyszałem dziś rano, że mówisz o tym cudownym zielonym błysku Dana. - Wargi Vigusa skrzywiły się z rozbawieniem. - Nazywają to już „nocną emisją Cavendisha”.

- Właśnie o tym - powiedział złośliwie Denmark i, kiedy dostarczono mu już żartu, robił z tego nudną piłę jak wielu ludzi bez poczucia humoru: niektórzy ludzie miewają w nocy polucje - Dan ma swoją emisję; co pan o tym sądzi, doktorze? Czy to poważna dolegliwość?

- Jedno mogę o tym powiedzieć - Vigus przez sekundę zatrzymał wzrok na Cavendishu. Oczy miał nieprzeniknione, wyraz twarzy dziwnie łaskawy.

„Współczucie kata” - pomyślał Cavendish. - „Za chwilę wyjmie topór.”

- Powiedz mi bez ogródek - przynaglał Denmark.

- T o jest zaraźliwe - rzekł Vigus.

Mówił spokojnie, obojętnym tonem, ale Cavendish miał przeczucie czegoś nieprzyjemnego.

Denmark patrzył rozczarowany.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czytuję mnóstwo sprawozdań na temat niezawodności, z wielu miejsc. Nie tylko o sprzeczce badawczej, ale prawie o wszystkim. Około trzech tygodni temu pilotka, Jean Antony, w czasie lotu dokoła równika, wyskoczyła ze starego frachtowca obok portalu 156. Zdaje się, że statek był latającą trumną, dosłownie nic nie funkcjonowało jak należy, więc wystrzeliło ją w dół. Jej kapsuła otarła się o skorupę, zanim ją złowiono, więc to niemal cud, że wyszła z tego żywa.

Vigus zrobił niepotrzebnie długą przerwę, patrząc wciąż na Cavendisha.

- Wstrząsająca historia - rzekł sucho Denmark - ale wciąż...

- Na moment przed zderzeniem Jean Antony zobaczyła zielony błysk. Tak samo jak Dan. Opisała to w sprawozdaniu z wypadku, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Stwierdzono, że mógł to być skutek zdenerwowania lub też jakieś zabłąkane odbicie na przezroczystych fragmentach kapsuły.

Denmark skinął głową.

- Ja bym przypisał to nerwom. Wiesz, jakie są kobiety.

- Ta zobaczyła cienką linię zielonej poświaty przesuwającą się szybko przez skorupę ze wschodu na zachód - upewnił go Vigus. - Coś się dzieje, Mark, coś bardzo niezwykłego, i im wcześniej przekażesz obserwację Dana do Kwatery Głównej Komisji, tym większą zasługę będziesz mógł przypisać sobie.

- Chciałbym ci podziękować - rzekł Cavendish do Vigusa, kiedy wychodzili z budynku administracyjnego. - Gdybyś nie



wtrącił się we właściwym momencie... Mark był zdecydowany mnie wyrzucić, wiesz.

- Zmuszono by go tylko, by cię ponownie przyjął, po tym jak zrobiłbyś się sławny. - Vigus uśmiechnął się pod okapem swojego chińskiego kapelusza. - Będziesz dostatecznie nieznośny w sytuacji jaka teraz powstała.

- Tysiączne dzięki - rzekł Cavendish udając obrażonego, ale psychicznie czuł się świetnie, jak nigdy od trzech lat, od straty żony. Wyglądało na to, że życie wciąż ma mu coś do ofiarowania.

## ROZDZIAŁ 8

Dallen podniósł mały statek patrolowy na wysokość ośmiu tysięcy metrów - na tyle, żeby był niewidzialny z ziemi - i wpłynął nad Cordele od północy. Pożary dawno zniszczyły około jednej trzeciej zabudowy, ale z lotu ptaka wielkie drogi wyglądały tak jak czterdzieści lat temu, kiedy oficjalnie zderejestrowano miasto. Tylko duża ilość zieleni, której plamy w niektórych miejscach przysłaniały bieg ulic, wskazywała na postępujące zniszczenie, które w końcu zatrze wszelkie ślady świadczące o tym, że kiedyś był to teren zamieszkały. Tam w dole działały armie żywiących się drewnem owadów, przygotowując pole dla następnych wojsk.

Mapa na ekranie nawigacyjnym statku Dallena była od dziesiątków lat nieaktualna - dla kartografów Metarządu Cordele już nie istniało - ale wystarczała dla celów Dallena. Naciśnął guzik i uruchomił system przeszukiwania. W środku zachodniego przedmieścia pojawiła się jasna czerwona kropka. Policja z Madison rutynowo wstawiała znaczniki radiowe w

jakieś osobiste rzeczy aresztantów, na przykład w sprzączkę paska; teraz zakodowany sygnał wskazywał Dallenowi dokładne miejsce, gdzie znajdzie człowieka, na którego polował.

Długo obserwował żarzącą się plamkę i upewnił się, że jest nieruchoma, a potem wprowadził statek na zakrzywioną trajektorię, która przeniosła go na drugi brzeg niewyraźnie odcinającego się od tła paska cyny - Rzeki Krzemiennej. Dwadzieścia kilometrów na zachód od miasta Dallen szybko zszedł w dół przez ciężkie, nasycone wilgocią powietrze, a terytorium pod nim przestało być stronicą w atlasie, a stało się zalaną słońcem rzeczywistością, terenem pokrytym roślinami, które wyraźnie poruszały się w porywach wiatru. Na wysokości jedynie kilku metrów skierował statek na wschód, wykorzystując każdą nierówność terenu, by ukryć swój przylot do miasta. Przed nim wyłonił się zewnętrzny pierścień porzuconych restauracji, moteli i supermarketów. Wiele z nich było całkowicie obrosniętych pnączami. Dallen w ciszy manewrował statkiem, starając się dolecieć do celu tak blisko, jak tylko się dało. Wylądował przy stromym stoku pagórka.

Studiował przez chwilę mapę na ekranie i stwierdził, że jest jakieś trzy kilometry od celu. Potem zrobił wydruk, złożył go i schował do kieszeni. Był przekonany, że dostanie się prosto do Beaumonta bez dodatkowej pomocy, ale powrót do statku nie był już taki prosty i Dallen chciał zminimalizować ryzyko zgubienia się. Sprawdził poszczególne części ekwipunku, łącznie z bronią i automatycznym tropicielem, potem rozsunął drzwi w kabinie pilota i zszedł na dół, na gruby dywan mchu i płożących się roślin. Pozostawiał statek bez dozoru, więc zgodnie z regulaminem powinien wciągnąć do środka wąskie rury generatorów pola skrzydłowego. Przewidywał

jednak, że będzie musiał szybko opuścić to miejsce, dlatego postanowił tego nie robić. Mało prawdopodobne, żeby ktoś natknął się na statek, a poza tym rury - jedyna część statku dająca się łatwo uszkodzić - zostały świeżo pokryte farbą raziącą.

Było wczesne popołudnie. Panował dokuczliwy upał pełen pomrukujących odgłosów. W okolicy widać było głównie przerośnięte krzaki i zrujnowane domy. W pobliżu stał mikrobus o plastikowej karoserii. Gdyby nie drzewo, które wyrastało spod maski, wyglądałoby, jakby po tych czterdziestu latach nadawał się do jazdy.

Dallen ruszył w kierunku centrum miasta. Szedł szybko, sprawdzał, czy dobrze idzie, odcyfrowując niektóre, czytelne jeszcze, oznaczenia ulic. Narastało w nim napięcie, dające o sobie znać coraz większą nerwowością. Walczył z nią, starał się nie myśleć o tym, co się zdarzy za chwilę. Wchłaniał obrazy otoczenia, niczym aparat fotograficzny. Tu i ówdzie sterczały przełamane na pół betonowe słupy latarni, wystawiając żelazne brązowe żyły. Niektóre domy, wyglądające z daleka na zupełnie nietknięte, z bliska okazywały się jedynie glinianymi nakładkami wzniesionymi przez termity. Drewniane elementy wewnętrzne dawno zostały strawione. Na oknie sklepu, który cudem pozostał nietknięty, jakiś dawno nieobecny dowcipniś napisał sprayem słowa: WYSZEDŁEM NA ODLÓT.

Dallen patrzył na to z coraz większym niedowierzaniem. Dlaczego ludzie uparcie trzymają się takich miejsc? Wiedział, że w pewnych rejonach niewykwalifikowana praca ludzka znów stała się cenna. Drobnymi watażkowie nowej epoki, którzy czuli, jak rośnie ich władza w miarę, jak Orbitsville przestało interesować się Ziemią, nie dopuszczali, by ich niewolni-

czy poddani podjęli wielką podróż. Ale takie zjawiska nie występowały w Ameryce Północnej. Dlaczego więc niektórzy woleli pozostać w podobnych warunkach? Co ich opętało? Dallen zaklął, kiedy przypomniały mu się słowa starej pieśni, pieśni, której nigdy nie lubił...

*Puste ulice pokrył kurz,*

*Tory i mosty rdza zżera już.*

*Na Gwiazdkę świeczki się nie zapalą,*

*Wszyscy uciekli na Wielki Balon.*

Nagle dobiegły Dallenga głosy bawiących się dzieci i wzbudziły jego czujność. Przystanął i słuchał tych słabych, ale nie dających się pomylić z niczym innym, szczęśliwych okrzyków, które jakby po krzywej czasowej przeniesione zostały z innego stulecia. Od celu dzieliło Dallenga siedem przecznic, ale doszedł do wniosku, że osiągnął chyba właśnie skraj enklawy, która przecież mogła być strzeżona. Posuwał się naprzód z większą ostrożnością, trzymając rękę na ukrytej w kieszeni broni. Doszedł do skrzyżowania, gdzie drzewa korzenie drzew wyrzuszyły i pokruszyły płyty chodnika. Kępa wyniosłych krzaków i traw dawała osłonę, zza której mógł rozejrzeć się po biegnącej przed nim ulicy.

Wszystko pokrywała bujna roślinność, teren wydawał się więc niezamieszkały, ale Dallen od razu dostrzegł, że niektóre domy umyślnie wyburzono i na pustych miejscach posadzono rośliny uprawne. Chociaż nikogo w pobliżu nie było widać, w oddali poruszał się jakiś pojazd, a gdzieś z sąsiedztwa dochodziło beczenie owcy. Dallen czuł, że nie uda mu się poruszać niepostrzeżenie w takim terenie, opuścił więc cień drzew i poszedł otwarcie ulicą, wyciągniętym, acz niedbałym krokiem. Jakby znikąd wybiegły grupą małe dzieci. Były ob-

darte, lecz wyglądały na zdrowe. Skandowały wyliczankę, a potem szybko skryły się za żywołotami.

Obecność dzieci zaniepokoiła Dallenga. Po chwili doszedł do wniosku, że zawsze podświadomie wyobrażał sobie społeczności Niezależnych jako grupy złożone wyłącznie z niezadowolonych, upartych dorosłych.

„Zbytnie uproszczenie” - pomyślał. - „Choroba zawodowa pracowników Biura Derejestracyjnego.”

Cordele zostało opróżnione w 2251 roku. Utrzymywano je niezasiedlone przez pełny rok, jak wymagała ustawa. Oznaczało to, że z punktu widzenia Metarządu ludzie, którzy teraz tam mieszkali, nie istnieli. Administracji wygodnie było utrzymywać fikcję, że grupki dysydentów, wędrujące przez dzikie obszary kraju, nie będą ściągać do opuszczonych miast. A przecież były tam mieszkania i inne udogodnienia, które można by było objąć, i miasta zaczynały pełnić swą najbardziej podstawową rolę - miejsc, gdzie ci, którzy tego potrzebują mogą się razem skupiać, by sobie wzajemnie pomagać. W tych warunkach dzieci po prostu musiały się pojawić. Dzieci oficjalnie nieistniejące, bez praw obywatelskich, nie uprawnione ani do wykształcenia, ani do najbardziej nawet elementarnej opieki zdrowotnej.

„Odejdę z Biura” - powtórzył sobie Dalleng. - „Natychmiast jak odbiorę swoje... natychmiast jak dostanę to, co mi są winni za Conę i Mikela”.

W miarę jak szedł w głąb enklawy, ku swemu celowi, napotykał coraz więcej ludzi. Niektórzy dorośli przyglądali mu się z zaciekawieniem, gdy ich mijał, ale nie usiłowali go zaczepić. Albo miejscowa ludność była na tyle liczna, że obcy nie rzucał się w oczy, albo ta społeczność była znacznie mniej za-

mknięta, niż sądził. Na rogu którejś z przecznic zobaczył targ. Najwyraźniej prowadzono handel wymienny, a obecność kilku zabłoconych ciężarówek świadczyła o tym, że ktoś zajmuje się rolnictwem na stosunkowo dużą skalę.

Kiedy Dallen przeciął szóstą przecznicę, przekonał się, że domy, które mijał, nie są budynkami mieszkalnymi. Po jednej stronie ulicy stał ceglany kościół, bank i dwupiętrowy hotel. Hotel był jedyną budowlą, która sprawiała wrażenie używanej. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, Dallen wyjął automatycznego tropiciela - nastawionego na sygnał ze sprzączki Beaumonta - i spojrział na okrągły ekranik. Żarzyła się na nim purpurowa strzałka - wskazywała na hotel. Dallenowi zaczęło głucho walić serce. Ruszył skośnie przez ulicę, do wejścia budynku. Przekraczał właśnie zatokę na jezdni przed hotelem, kiedy w cieniu pod daszkiem nad drzwiami zmaterializował się masywny mężczyzna. Był dość młody, choć przedwcześnie posiwiały. Przez ramię miał przewieszony karabinek myśliwski.

- Dokąd to, koleś? - w głosie dźwięczało raczej zaciekawienie niż wrogość.

Dallen zorientował się, że hotel służył jako swego rodzaju kwatera główna.

- Muszę zobaczyć się z szefem.

Mężczyzna wyciągnął rękę, pocierając kciukiem o palce.

- Dokumenty.

- Jasne.

Dallen uśmiechnął się, wsunął rękę do kieszeni marynarki i wystrzelił z broni, nie uchwyciwszy nawet za kolbę. Szerokokątny stożek promieniowania przeszył strażnika, zamieniając go w organiczny posąg. Dallen podtrzymał ciało nie

pozwalając mu upaść i licząc na to, że w małym holu nie będzie nikogo, przetoczył zesztywniałą postać z powrotem do hotelu. Obok recepcji znajdowały się drzwi. Sprawiały wrażenie, że prowadzą do umywalni dla personelu. Trzeba było znów ryzykować, ale w Dallenie rosła pewność siebie, jakby był naćpany felicitynem. Nie zatrzymując się wniósł mężczyznę do pomieszczenia. Było puste. W parę sekund wepchnął bezwładną figurę do kabiny. Potem wyskoczył do holu i pobiegł ku schodom.

Na podeście drugiego piętra sprawdził automatycznego tropiciela. Odczyt skierował go na lewo. Dallen pośpieszył cicho korytarzem, wyciągając broń z kieszeni. Zatrzymał się przy drzwiach, przy których jaskrawa strzałka gwałtownie skręciła. Nie zastanawiając się, pełen szaleńczej pewności, obrócił klamkę i szybko przeszedł przez drzwi. W pokoju zobaczył łóżko, a na nim czarnowłosą kobietę, mniej więcej dwudziestoletnią. Miała na sobie jedynie krótką, pogniecioną halkę. Patrzyła bez ruchu na Dallena. Na krześle walały się części ubrania, a wśród nich spódnica z durokordu i męski pasek z metalową sprzączką.

- Szukam Beaumonta - powiedział Dallen wściekłym szeptem, nie mogąc pogodzić się z tym, że coś poszło zupełnie nie tak jak trzeba. - Nic ci nie zrobię, jeśli będziesz się cicho zachowywała. Zrozumiałaś?

Kobieta skinęła głową, otworzyła usta i wrzasnęła.

- Ty idiotko...

Dallen już miał uciszyć ją paralizatorem, kiedy uświadomił sobie, że to nie ma sensu. Ścianki działowe raczej wzmocniły niż stłumiły wrzask i Dallen słyszał już zaskoczone męskie głosy w sąsiednim pokoju. Odwrócił się do drzwi i

bezradnie rozważał, którą z dwu równie nieefektywnych strategii wybrać: uciekać na ulicę czy zamknąć się w pomieszczeniu. I wtedy kobieta pociągnęła za spust.

\*

Mimo parnej pogody, Harry Sanko, „burmistrz” Zachodniego Cordele ubrany był w garnitur, tradycyjną koszulę i krawat. Miał nieco ponad czterdzistkę, regularne rysy i w wyglądzie coś z latynosa. Tę ostatnią cechę podkreślał cienki, jakby narysowany ołówkiem wąsik. Facet był dobrze odżywiony, mówił wyraźnie, nosił się pewnie i wiele się uśmiechał, choć miał tylko jeden przedni ząb.

- To było głupie z twojej strony - oświadczył Dallenowi. - Jedynym słowem na to jest... cóż... głupota.

Dallen zdołał kiwnąć potwierdzająco głową. Zawleczono go korytarzem do sali konferencyjnej, gdzie wciśnięto go w jeden z wysokich foteli, otaczających okrągły stół. Sanko siedział naprzeciw niego, a dwaj barczyści młodzi ludzie ze strzelbami pilnowali drzwi. Fakt, że Dallen mógł ruszać głową, świadczył o tym, że potraktowano go bronią osobistą o małej mocy. Wiedza o tym dawała mu jednak słabe pocieszenie. Był świadom, że jest całkowicie bezradny.

- Marion jest moją bliską przyjaciółką - ciągnął San-ko. - Moją protegowaną, że tak się wyrażę... i gdybyś jej dotknął... albo potraktował ją tym... - poklepał leżącą przed nim na stole broń Dallenga i potrząsnął głową, najwidoczniej przerażony wizją swojej własnej zemsty.

- Mówiłem wam, że interesuje mnie tylko Beaumont - odrzekł Dallen. - Nie wiedziałem, że twoja tak zwana prote-



gowana ma jego pas.

Sanko pochylił się do przodu i pokazał swój jedyny ząb.

- Jesteś bardzo zasadniczy, prawda Dallen? Siedzisz tutaj sparaliżowany, bezradny, nie wiesz, czy nie każę cię powiesić lub wykastrować tęym nożem, a jednak nie możesz się powstrzymać od nazwania Marion moją „tak zwaną protegowaną”. Człowiek w twoim położeniu powinien wykazać więcej dyplomacji. Skąd możesz wiedzieć, czy nie mam wrażliwej duszy?

- Ci, którzy podkładają bomby, na ogół jej nie mają.

- A więc to tak! - Sanko powstał, okrążył szybko stół i znowu usiadł tak ciężko, że aż krzesło zaskrzypiało. - Mam dla pana nowinę, panie Metarząd: tu w Zachodnim Cordele ludzie są cywilizowani. Ustanowiliśmy prawa i egzekwujemy je. Nie mamy elektryczności ani czystej wody, czy innych podobnych wygód, ale nie jesteśmy dzikusami. Nie bawimy się w terroryzm.

- Beaumont się bawi.

- Beaumont był bezmózgim lumpem.

- Był? - Dallen poruszył palcami: wracała mu władza w członkach. - Czy to znaczy...?

- To znaczy, że nie żyje. Osądzono go i stracono wczoraj, razem z dwoma kumplami, za kradzież społecznego mienia. Czy wydają ci się to trochę za surowe?

- Nie... po prostu barbarzyńskie.

Sanko ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

- Musisz zrozumieć, że w każdej społeczności Niezależnych zbrodnia marnotrawstwa jest zbrodnią niemal najcięższą. Mamy małą rezerwę gotówki, na tyle by móc kupić lekarstwa na czarnym rynku, a Beaumont i podobni mu kretyni zu-

żyli jej część na sprzęt do produkcji bomb. Kilka miesięcy temu dwóch z nich zniszczyło jeden z naszych ostatnich działających samochodów i jeśli by się przy tym nie pozabijali, musielibyśmy...

Sanko przerwał i popatrzył ciężko na Dallena, przygryzając zębem dolną wargę.

- Zupełnie nie pojmuję - rzekł w końcu. - Co cię tutaj przyniosło? Czym był Beaumont w twym maleńkim, wygodnym życiu?

- W dniu, kiedy złapałem go w Madison, powiedział, że jego przyjaciele zajmą się moją rodziną. - Dallen mówił wolno i z namysłem. Jego umysł pracował, przyswajając sobie wiadomości o śmierci Beaumonta i dalsze implikacje tego, co usłyszał. - Mniej więcej w tym samym czasie kiedy to mówił, ktoś wszedł do Ratusza i strzelił z Ludystera do mojej żony i syna, ale...

- Ale co, panie Metarząd? Zaczynamy poruszać mózgiem? Ile potrzeba gotówki, by kupić jedną z tych wymyślnych zabawek?

Żrący kwas przesączał się przez umysł Dallena, spalając jeden obraz świata i odsłaniając inny.

- Ktoś w Madison... Prawdopodobnie nawet w samym ratuszu...

- Coś mówiłeś o barbarzyństwie, minutę temu?

- Ale nie rozumiem dlaczego - ciągnął Dallen. - Kto mógł mieć motyw.

- Może kieliszek tego pomoże ci w myśleniu. - Sanko wyjął z kieszeni srebrzystą flaszkę, obszedł stół i wlał część zawartości w usta Dallena. - Ludyster jest sam w sobie przychylny. Służy tylko dla jednego celu.

- Nie moż...

Dallen zakrztusił się, gdy ciepława, nierozcieńczona wódka dotarła do gardła, ale skurcze jakby przyśpieszały powrót władzy w członkach. Uświadomił sobie, że drgają mu mięśnie łydek.

- Twoja żona i mały musieli o czymś wiedzieć. Musieli coś widzieć. - Sanko dopił wódkę i rzucił pustą butelkę jednemu z uzbrojonych mężczyzn, który ją złapał i bez słowa wyszedł z pokoju. - Nie jesteś Sherlockiem Holmesem, prawda?

Dallen nie tracił czasu na spekulacje, kim był Sherlock Holmes. Przerazało go, że pewnych rzeczy nie dostrzegł wcześniej, że stracił całe tygodnie, że z arogancją, acz nieświadomie, założył, iż jego jałowe, mało ważne, ziemsko-głupie czynności mogły być przyczyną tego, co przydarzyło się Conie i Mikelowi. Jako alternatywną teorię można było przyjąć, że w Madison jakiś potwór wciąż chodzi na wolności, korzystając z immunitetu, którego sam Dallen mu dostarczył. Ale jakie było oryginalne przestępstwo? Co mogło być aż tak poważną zbrodnią, by usprawiedliwić wytarcie dwóch osobowości? Morderstwo? Coś tu się nie zgadzało: nie znaleziono denata, nikt również nie zaginął.

- To jest jednak bez sensu - rzekł Dallen. - Nie mamy poważnych przestępstw w Madison.

- A to dobre! - zaśmiał się głośno Sanko, a jego usta i jedyny ząb ułożyły się w szczerbaty, ciemny krąg. -W Madison nikt nie zwraca uwagi na łapówkarstwo, tak więc to nic poważnego.

- Mogą być jakieś drobne...

- Posłuchaj mnie: miasto Madison to rodzaj wielkiego domu towarowego dla wszystkich większych Niezależnych

społeczności w tej części świata. Przyjeżdżają aż z Savannah i Jacksonville, ze wszystkich miejsc, gdzie mogą wyskrobać większe pieniądze i właśnie w Madison kupują sobie generatory, filtry do wody, silniki do ciężarówek, wszystko. Nie wiedziałeś o tym?

- Wiem, że moja żona i syn nie byli w to wplątani.

- Zaczynasz mnie nudzić, Dallen. Jak dostałeś się do Cordele? Samochodem?

- Przyleciałem.

- Ogromna szkoda: jeśli byś przyjechał samochodem, zarekwirowalibyśmy go i wracałbyś na piechotę. Latacz jest dla nas bez wartości, więc chyba będziesz mógł go zabrać, natchmiast jak odtajesz.

Dopiero wtedy Dallen zdał sobie sprawę, że oczekiwał uwięzienia czy nawet czegoś gorszego.

- Wypuszczacie mnie?

Sanko był zirytowany.

- Może oczekiwałeś, że ugotujemy cię i zjemy?

- Nie, ale skoro dowiedziałem się o Beaumencie...

Dallen przerwał, nie chcąc dostarczać argumentów na rzecz swego zatrzymania.

- Zrób mały eksperyment - rzekł Sanko, biorąc broń Dallenga i wkładając ją do własnej kieszeni. - Kiedy wrócisz do Madison, złóż raport o tym, że słyszałeś, jak kilku nieistniejących ludzi utrzymywało, że wykończyło kilku innych nieistniejących ludzi. Chciałbym usłyszeć, co ci na to powiedzą.

Dallen dotarł do miasta późnym popołudniem. Na małej wysokości zrobił pętlę nad Szkockim Wzgórzem i nad nieskazitelnymi, zamkniętymi hermetycznie przedmieściami, które wkrótce rozjarzą się symulowanym ożywieniem, gdy na ty-

siącach pustych ulic włączone zostaną światła. Słońce omywało teraz wysokie budynki śródmieścia, które wznosiły się ponad żywą zielenią, jakby wziętą z dziecięcego modelu miasteczka. Przedmieście wyglądało nieprawdopodobnie czysto, sielankowo. Gość z Kosmosu, patrząc ze statku schodzącego do lądowania, mógłby dojść do wniosku, że żyła tu społeczność prowadzących uregulowane życie istot, rozsądnych i zadowolonych, ale Dallen był w bardzo złym nastroju, kiedy kierował się ku pastelowym, regularnym bryłom Ratusza.

Jego beztroski wypad do Cordele nie tylko dostarczył mu istotnych informacji, ale również dodał mu bodźca do zmiany postępowania, które dotychczas zdominowane było przez żal. Uwolnił go od emocjonalnego przekonania, że jeśli gorąco i mocno pragnie się sprawiedliwości i zemsty, dokonają się one automatycznie. Uzmysłowiono mu, że nie istnieje żaden bezstronny sędzia i że najskuteczniejsi myślicy to ci, którzy tropią ofiarę z chłodną kalkulacją.

Statek Dallenga zawisnął na moment w powietrzu, a potem zaczął bezpośrednio schodzić do lądowania. Jego cień tworzył wielokątną wędrującą plamę, która poruszała się naprzód lub w tył, w zależności od konfiguracji terenu poniżej.

## ROZDZIAŁ 9

Gerald Mathieu stał przy oknie swego gabinetu i patrzył, jak należący do Biura statek patrolowy sunie ukośnie w dół po niebie, by wylądować na śródmiejskim lotnisku Madison. Mathieu pomyślał przez ułamek sekundy, że za sterami może siedzieć Garry Dallen, ale odrzucił to przypuszczenie i wrócił do biurka. Dallen był nieobecny w Ratuszu już dość długo i Mathieu mógł trochę odetchnąć, ale równocześnie jego podświadomością zawładnął obraz nadludzkiej Nemezis.

Przeżył jakoś spotkanie z Dallenem natychmiast po zajęciu... *kobieta z dzieckiem, osuwa się bezwładnie,*

*przewraca, jej oczy, oczy idioty błyszczą...*, ale okoliczności były wtedy wyjątkowe i Mathieu nadal wierzył w silną intuicję Dallena. Od tamtego czasu strach rósł dzień po dniu i obecnie perspektywa stanięcia twarzą w twarz z Dallenem prześladowała Mathieu równie silnie, jak inne jego życiowe fobie. Mathieu bał się podróży w nieskończoną czarną przestrzeń kosmiczną, bał się życia na cienkiej skorupce z dziwnego metalu, bał się ujawnienia swej kryminalnej działalności, bał się, że choć jeden, jedyny raz musiałby spędzić dzień bez felicitynu. A teraz dochodził strach przed następnym spotkaniem z Garry Dallenem...

Mathieu usiadł przy biurku i usiłował skoncentrować się na zaległej pracy. Działalność zastępcy burmistrza w sztucznym mieście mało przypominała to, co tradycyjnie kojarzy się z tym stanowiskiem. Było to bardziej podobne do funkcji szefa bardzo dużego parku edukacyjnego i obowiązki Mathieu rozciągały się od zagadnień reklamy i informacji turystycznej aż do werbowania kadry i zakupu urządzeń. Mimo pomocy

komputerów, praca wymagała wiele wysiłku, zwłaszcza że roczny dochód miasta stale się zmniejszał. Mathieu odroczył na kilka dni swoją decyzję o redukcji budżetu na cele techniczne, ale idąc do pracy tego ranka obiecał sobie, że to nadrobi. Będzie to znak, że wciąż sprawnie działa, że pojedynczy nieszczęśliwy wypadek... *kobieta z dzieckiem, osuwa się bezładnie na ziemię, przewraca się przed nim, wymordżona...* nie zrujnuje jego całej kariery.

Wywołał zestaw wykresów kosztowych na głównym ekranie biurka i starał się powiązać różnobarwne prostokąty i linie z sytuacją istniejącą w rzeczywistości. Cicho mijały minuty. Mathieu patrzył wprawdzie na wykresy, ale ich sens do niego nie docierał. Poczł lekki strach, gdy zadźwięczał sygnał wewnętrznego komunikatora i w ognisku projekcji pojawiła się twarz Burmistrza Brycelanda, błędzącego niewidzącymi oczami. Mathieu w ciągu sekundy wygładził marynarkę i odebrał połączenie, stając się widzialnym przy terminalu rozmówcy.

- Porozmawiajmy o konferencji - powiedział bez wstępów Bryceland. - Co przygotowałeś dotychczas, jeśli chodzi o program?

Mathieu przez moment czuł zakłopotanie, ale szybko pojął, że Bryceland mówi o konferencji szefów miast -muzeów, która w listopadzie miała się odbyć w Madison.

- Nie miałem okazji jeszcze do tego usiąść, Frank -rzekł. - Może w przyszłym tygodniu...

- W przyszłym tygodniu! - Na pulchnej twarzy Brycelanda pojawił się wyraz trwogi. - Chyba zdajesz sobie sprawę, jak ważna jest ta konferencja?

- Tak. Zdaję sobie również sprawę, że jest jeszcze do niej

pięć miesięcy.

- Pięć miesięcy to tyle co nic - narzekał Bryceland.  
-Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, jak ostatnio pracujesz.

- To znaczy?

- Spróbuj sam się domyślić.

Obraz Brycelanda roztopił się w przelotnych błyskach światła. Rozmowa skończona.

- Jezus Maria!

Mathieu zerwał się z krzesła. Pięści miał zaciśnięte, czuł jednocześnie gniew i strach. Obszedł dokoła gabinet i dla dodania sobie pewności przystanął przed wielkim lustrem. Blondyn patrzący na niego z bezpiecznego wnętrza tamtego biura, tego w lustrzanym świetle, wyglądał dokładnie tak jak powinien: wysoki, atletycznie zbudowany, promieniejący sukcesem, nienaganny. Czy jednak oczy nie wykazywały pierwszych oznak przemęczenia? Czy ramiona nie były lekko przygarbione, co mogłoby świadczyć o obecności szkodliwych napięć?

Mathieu podniósł rękę, by dotknąć doskonałego jak płatek róży, białego kołnierzyka, ale postać w lustrze zdradziła go. Zaprowadziła jego rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Mathieu uświadomił sobie, że trzyma złote pióro. To, które dawkowało magiczny atrament. Zatrzymał się drżąc nerwowo. Uwolnienie się bez niczyjej pomocy od głodu felicytynowego uważane było przez lekarzy za niemożliwe, ale od dnia zajścia... *kobieta z dzieckiem, osuwa się bezładnie, niepowtarzalne płomienie ludzkie przygasają...* nie brał w godzinach pracy. Motywem była samoobrona: chciał uniknąć nie

bezpiecznej pewności siebie; upłynęło już jednak pięć tygodni i jego sytuacja z pewnością stawała się stabilniejsza i



bezpieczniejsza z każdą mijającą godziną. I chyba większym ryzykiem byłoby, gdyby ujawniły się zmiany w jego osobowości zauważalne od dnia tamtej zbrodni... *kobieta z dzieckiem, osuwa się, pada...*

Szczęknął mechanizmem przestawiającym zasilanie pióra i szybko przejechał kulką po języku.

Kiedy chował złoty walec do kieszeni, poczuł ciekawość, ile dokładnie felicitynu zostało w zbiorniczku. Ciekawość ta nie została podyktowana niepokojem, nie było pilnej potrzeby, tylko po prostu łagodne pragnienie potwierdzenia, że wszystko jest w porządku. Podniósł pióro do oka i obracał je, aż światło padło na wmontowaną w pióro szklaną rurkę. I wtedy Mathieu poczuł przerażenie, które jak ból wykrzywiło mu usta i spowodowało, że cofnął się o krok: porcja wystarczała na mniej niż tydzień, a przecież powinna wystarczyć jeszcze na miesiąc.

Równocześnie z potwierdzeniem, że brał ostatnio za duże dawki narkotyku, przyszła pierwsza fala sztucznej pewności siebie, błogosławionej pewności, że poradzi sobie z każdą trudną sytuacją, jaka się wyłoni. Felicityn, jak to już zdążył zauważyć wcześniej, działał szybko.

Głównym problemem było to, że dostawca z zachodniego wybrzeża zjawi się dopiero za dwa tygodnie. Rozwiązanie przyszło natychmiast: musi wykombinować

przekonujący powód i zaaranżować specjalny lot do Los Angeles. C. B. D. O. Wszystko będzie w porządku. W istocie teraz, kiedy spojrzął na to konstruktywnie, odkrycie, że zapas narkotyku jest niewielki, było jedną z najszcześniejszych rzeczy, jakie mu się przytrafiły. Dozownik w piórze to zabawka dla bogaczy: za łatwo wziąć zbyt szczodłą dozę. Zatem od na-

stępnego tygodnia przerzuca się mikrokapsułki. Taka metoda jest znacznie lepsza. Będzie mógł niezawodnie monitorować swe spożycie; zaoszczędzi mnóstwo pieniędzy; a ponadto można to potraktować również jako zasadniczy krok ku tej chwili, kiedy uda mu się zupełnie porzucić narkotyki.

W jego świecie wszystko szło doskonale i świadomość, że w przyszłości sprawy mogły pójść jedynie jeszcze lepiej, cudownie podnosiła na duchu...

Mathieu poprawił marynarkę, by leżała bez zarzutu, uśmiechnął się do swego odbicia w lustrze i wolnym krokiem wrócił do swego biurka.

## ROZDZIAŁ 10

Dallen znosił przez pewien czas pustkę i ciszę w swym domu, ale trudno mu było to dłużej wytrzymać. Teraz zaczynał czuć się trochę jak ostatni żyjący człowiek na świecie.

Z frontowego okna widział fragment miasta - łagodne zbocze Północnego Wzgórza. Zmierzchało. W ogarniającym ziemię smętnym błękicie nie można było dostrzec żadnego ruchu. Stopniowo pojawiły się światła - odległe plamki złota, żółci i bursztynu - ale Dallena to nie pocieszało, gdyż wiedział, że wyłączniki automatyczne wywoływały dokładnie taki sam efekt w dzielnicach niezamieszkałych: w Limousin, w Parku Gibsona i na Szkockim Wzgórzu. Dla turystów, schodzących wieczornym promem z orbity, wszystko wyglądało tak jak trzeba, ale stojąc w miejscu, w którym znajdował się teraz Dallen, można było prawie uwierzyć, że ostatni obywatele Ziemi zostali przeniesieni gdzie indziej, kiedy Dallen drzemał.

*Szosa się wije martwą spiralą;*

*Wszyscy uciekli na Wielki Balon.*

Dallen wyrzucił ze świadomości dalsze słowa piosenki, odwrócił się od okna i przeszedł przez ciche pokoje. Jego wyobraźnia wciąż wykrywała słaby zapaszek moczu. Wczoraj Roy Picciano zawiadomił Dallena, że zabrał Conę do kliniki na dodatkowe testy, które potrważą co najmniej trzy dni.

„Odpuść trochę” - sugerował Picciano. - „Weź kilka wolnych dni”.

Początkowo Dallen nie posłuchał tej rady. Po powrocie z Cordele czuł się bardzo zmęczony, ale pojechał do kliniki i spędził czas z Coną i Mikelem. Była znudzona, a potem wpadła w złość, gdy próbował ją zmusić do mówienia. Chłopiec spał w

łóżeczku w sąsiednim pokoju, ściskając w ręce malutką żółtą ciężarówkę. Dla Dallenga pewnym pocieszeniem był fakt, że Mikel wciąż niezwykle lubi samochodziki, ale było to pocieszenie bardzo wątpliwe. Osobowość niemowlaka została usunięta, zanim należycie się uformowała, więc czy można było oczekiwać, że kiedykolwiek powróci? Chce pan wymienić swojego chłopczyka, proszę pana? Musi lubić miniaturowe samochody? Pan będzie łaskaw chwilę poczekać - dysponujemy modelem dokładnie takim, jak pan sobie życzy...

Dallen opuścił klinikę. W krtani czuł rozdzierający ból, a pod czaszką wzbierający ciemny chłód. Mógł wprawdzie pójść do szefa policji i przedstawić mu nową teorię na temat zbrodni sprzed pięciu tygodni, ale Lashbrook nie zacząłby nawet niczego robić, wykorzystując jako pretekst fakt, że w tamtym przestępstwie nie można się dopatrzeć żadnego sensownego motywu. W każdym razie Dallen nie chciałby, żeby przestępca został zabrany przez władze i wysłany do Zatoki Botanicznej. Kara musi być znacznie bardziej drastyczna, wymierzona osobiście, i tak, by stanowiła upust dla jątrzącej Dallenga trucizny. Dlatego musi sam znaleźć winowajcę.

Zagadką pozostawał wciąż motyw tej zbrodni. Łatwo powiedzieć, że Ludyster jako taki jest motywem; to wyjaśniało wszystko i nic. Dlaczego ktoś pracujący w Ratuszu użył takiego urządzenia w stosunku do niewinnej kobiety z dzieckiem? Wydawało się, że Dallen nie jest w stanie poradzić sobie z tym zagadnieniem. Żal, rozgoryczenie i niesprecyzowana nienawiść przeszkadzały mu w analitycznym rozumowaniu.

W takim właśnie nastroju Dallen wrócił do domu, a potem zasnął w fotelu. Obudził się w środku nocy i stwierdził, że nie ma już sensu przenosić się do pustego łóżka, więc pozostał

w fotelu aż do rana. Następny dzień przeszedł mu na ponurych rozmyślaniach, jedzeniu kanapek i drzemkach, i Dallen jeszcze bardziej stracił ochotę do działania. Ogarnęło go poczucie strasznej beznadziejności i w ogóle nie mógł myśleć. Dom stał się dla niego grobowcem, więzieniem, miejscem, z którego należało uciec. Wreszcie zakończył to bezcelowe szwendanie, wziął zimny prysznic, ogolił się i przebrał. Przez cały czas mówił sobie, że nie ma żadnych określonych planów, że może pójdzie do siłowni, do baru albo do biura. Dopiero kiedy włączył silnik samochodu i miał wybrać cel jazdy, stwierdził, że jedzie do Sylwii London.

Opuścił dach w samochodzie i ruszył na południe, po trasie, którą wcześniej przebył z Rickiem Renardem. Nad miastem wisiała powłoka rozproszonego światła, przez którą przezierały większe gwiazdy, tworzące mało kontrastowe tło dla Pierwszego Pierścienia Polarnego, który zbliżał się do zenitu. Ciągąca się z północy na południe linia stacji kosmicznych i parkujących statków, jaśniała niegdyś efektownie na nocnym niebie, ale przygasła, kiedy era wielkiej migracji dobiegła końca. Obecnie Pierścień składał się głównie z nie nadających się do naprawy kadłubów, rozebranych częściowo na części zamienne dla innych statków, które wyruszały w swą ostatnią podróż ku Orbitsville. Dallen postrzegał to wszystko jedynie jako symbol upadku Ziemi. Kiedy więc skręcił na zachód i wstęga, z rzadka upstrzona klejnotami, zniknęła mu z pola widzenia, nie odczuł żadnego żalu.

Rezydencja Londonów i jej przybudówki jarzyły się światłami, a obecność co najmniej dwudziestu samochodów na zwirowanym podjeździe dodatkowo jeszcze świadczyła o tym, że wewnątrz odbywa się spore przyjęcie. Dallen nie spo-

dziewał się tak dużego zgromadzenia. Postawił samochód na wolnym miejscu i wysiadł. Zobaczył, że zaparkował obok złotego „Rollaca” Renarda. Zawahał się przez chwilę niezdecydowany, czy wejść do środka, ale w oknie parteru zobaczył Sylwię pogrążoną w ożywionej konwersacji z kimś, kogo nie widział. Światło padające z górnej lampy podkreślało jej wydętą dolną wargę i uwydatniało jej piersi: wyglądała niezwykle ponętnie, jak ilustracja na pudełku do kasety z filmem dla mężczyzn. Obserwował ją przez moment, czując się jak voye-rysta, a potem wszedł do domu.

- Witaj na naszym nieformalnym spotkaniu Fundacji Anima Mundi!

Głos należał do szczupłego, wysokiego sześćdziesięcioletka, który stał pośrodku kwadratowego holu. Mężczyzna ubrany był w luźne sportowe spodnie i kwiecistą koszulę, ale jego twarz, okolona srebrną brodą miała w sobie pewność siebie i godność, do których bardziej pasowałyby profesorska toga. Smuga nienaturalnego rumieńca przechodziła od jednej kości policzkowej do drugiej, przebiegając przez nasadę nosa.

- Czy to pańska pierwsza wizyta na naszych wieczorach dyskusyjnych? - zapytał mężczyzna, obdarzając Dallena ceremonialnym uśmiechem.

- Tak, ale przyszedłem tu tylko, by... - Dallen urwał, kiedy uświadomił sobie, że mówi do holomorfa. Jakość obrazu była idealna i tylko głos był trochę zbyt wyraźny, skierowany do uszu Dallena tak dokładnie, że zupełnie nie mieszał się z donośnymi dźwiękami, dochodzącymi z pomieszczeń po obu stronach holu.

- W takim razie, pozwoli pan, że się przedstawię - rzekł holomorf. - Jestem Karal London i mam dla pana pewną wspa-

niałą nowinę: pan będzie żył wiecznie, przyjacielu.

- Czy to stwierdzony fakt? - odpowiedział niezręcznie Dallen. Mierziło go, że rozmawia z niewidocznym komputerem, sterującym wypowiedziami holomorfa.

- To nie tylko stwierdzony fakt, przyjacielu, to po prostu najważniejsza prawda we wszechświecie. Będzie pan miał okazję podyskutować o tym dziś wieczór. Ma pan również do dyspozycji - bezpłatnie - obszerny zestaw pomocy naukowych. Niech mi pan jednak pozwoli, bym zaczął od zadania panu pewnego istotnego pytania. Co...?

Dallen nie dosłyszał pytania, gdyż otworzyły się drzwi z prawa, a w nich ukazał się postawny, radosny Rick Renard, z kieliszkiem martini w ręce. Na widok Dallena wyszczerzył zęby, podszedł prosto do holomorfa i wsunął kolano w okolice jego lędźwi.

- Z drogi, stary, głupi pierdoło - zakomenderował. Wszedł w obraz powodując, że solidna postać rozplynęła się i pokawałkowała. - To naprawdę rozwała cały system. Stary Karal sam zaprogramował ten układ, zanim poleciał na Orbitsville, ale był zbyt zarozumiały i nie dopuszczał myśli, że ktoś wykaże aż taki brak szacunku i ośmieli się stanąć wewnątrz niego. Komputer po prostu nie wie, jak zareagować.

- Nie dziwię się - odrzekł Dallen, mimowolnie rozba-  
wiony.

- Zobacz teraz to.

Renard trochę się cofnął, pozwalając, by obraz Londona znów zebrał się przed nim. Teraz postać miała cztery ręce - dwie należały do Renarda i falowały jak ramiona balijskiej tancerki.

- ... wna postulowano, że rozum jest immanentną wła-

ściwością materii, i nawet cząstki elementarne mają go w pewnym stopniu - mówiła groteskowa postać głosem Londen. - Wiemy teraz, że umysł jest bytem lub oddziaływaniem uniwersalnym, takim samym jak grawitacja czy elektryczność i że istnieje równanie transformacji, analogiczne do podstawowego równania Einsteina, które wskazuje równoważność materii umysłowej i innych bytów w świecie fizycznym...

Nałożony obraz zniknął gwałtownie, pozostawiając na placu boju triumfującego Renarda.

- Widzisz, program nie radzi sobie z tym. Stary Karal powinien trzymać się swojej fizyki.

- Nie spodziewał się sabotażu.

- A czego się spodziewał? Ludzie przychodzą tutaj, żeby pić darmową wódkę i w skrytości pożądać Sylwii, a nie po to, by jakaś nędzna cholerna zjawa wygłaszała im wykład. Chodź, staruszkule, wyglądasz, jakbyś chciał się czegoś napić.

- To właśnie jeden z tych momentów.

- Taa... - Renard przerwał na chwilę, a jego twarz w złotych piegach wyglądała jakoś nietypowo poważnie. - Dopiero teraz dowiedziałem się o twojej żonie i małym.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Nie. Ja po prostu... Ach, do diabła!

Renard poprowadził go do pokoju, z którego wcześniej wyszedł, i podszedł do długiego kredensu, który służył za bar. Dallen poprosił o słabą szkocką z wodą i czekając na drinka rozejrzał się dokoła. W pokoju było ze dwadzieścia osób, większość mężczyzn. Ludzie stali w małych grupkach. Rozpoznał kilka twarzy z różnych departamentów Ratusza, ale nie mógł dostrzec Sylwii.

- Ona gdzieś tu jest - powiedział Renard tonem człowie-



ka poinformowanego, odsłaniając wąski łuk swych zębów.

Dallen nie okazał po sobie zniecierpliwienia, że tak łatwo dał się przejrzeć.

- Po co ci ludzie zgromadzili się tutaj? Przecież to wszystko nie mogą być fizycy?

- Metafizycy byłoby lepszym określeniem. Karal utrzymuje, że istnieją specjalne cząstki, zwane mindo-nami, trudniejsze do wykrycia niż neutrino, ponieważ istnieją w czymś, co nazywa przestrzenią umysłową. Dla mnie, jako botanika, jest to trochę zawile, ale wygląda na to, że nasze umysły mają mindonowe odpowiedniki w przestrzeni umysłowej - większość praw fizycznych jest tam inna - co pozwala nam przeżyć własną śmierć. Karal nie używa terminu śmierć; o zjawisku tym mówi: przejście do postaci bezcielesnej.

- To wszystko ma nas bardzo pocieszać i podnosić na duchu - dodał Renard, kiedy wręczał Dallenowi dźwięczący kieliszek. - Osobiście wolę tę ciecz lub maźnięcie rozweselaczem od czasu do czasu.

- Felicytyn? - Dallen nie był specjalnie zainteresowany. - Można go dostać tutaj, w Madison?

Renard wzruszył ramionami.

- Raz na miesiąc, z zachodniego wybrzeża przyjeżdża handlarz, więc ktoś w mieście musi ćpać naprawdę dużo.

- Kto mógłby mieć aż tyle forsy?

- Handlarze nie są gadatliwi. Jak wiesz felicytyn nie jest nielegalny, ale ostry ćpacz prędzej czy później zapłaci się w jakąś wysoce nielegalną działalność. Czasami można ich rozpoznać, jeśli wie się, na co zwracać uwagę.

Dallen spróbował drinka i ze zdziwieniem stwierdził, że napitek został przygotowany dokładnie tak, jak sobie tego ży-

czył. Renard zachowywał się dziś wyjątkowo sympatycznie.

„W jaki sposób” - zastanawiał się Dallen - „można wykryć osobę, która spożywa naprawdę duże dawki felicitynu? Trzeba szukać kogoś, kto zawsze jest spokojny i opanowany, roztacza atmosferę pogodnej pewności siebie...?”

W pamięci Dallena pojawił się migawkowy obraz: wysoki, młody mężczyzna, przystojny nordyk, ubierający się u drogiego krawca, odprężony, uśmiechnięty. Dallen skoncentrował się, aż zidentyfikował tę postać: Gerald Mathieu, zastępca burmistrza. Nachmurzył się i utkwiał wzrok w kieliszku, a w żołądku wzbierał mu chłód.

- Mam nadzieję, że to nie jest przechłodzony lód - rzekł. - Słyszałem, że może on być szkodliwy dla zdrowia.

Renard uśmiechnął się.

- To zawsze lód szkodzi - wódka nigdy.

Dallen kiwnął głową i uświadomił sobie, że dwoje ludzi - mężczyzna i kobieta - idą w ich kierunku. Obejrzał się i zobaczył przysadzistą postać Petera Ezzatego w towarzystwie równie pulchnej żony, Libby. Ezzati zawodowo zajmował się odzyskiwaniem wyeksploatowanego sprzętu. Kiedy wymieniali uściski dłoni, Dallen zauważył, że kobieta patrzy mu przenikliwie w oczy i domyślił się, że ma do czynienia z profesjonalną znawczynią tragedii, zawodową pocieszycielką.

- Jesteś tu po raz pierwszy, Garry? - spytał Ezzati. - Jak ci się tu podoba? Podoba ci się?

- Nie bardzo wiem, co powinno mi się podobać.

- Głównie rozmowa. Argumenty Karala w kwestii min-donów mogą być całkiem przekonujące, jeśli się w to wgłębić, ale ja najbardziej lubię konwersację. Można tu spotkać facetów, których umysły nie są ograniczone do sportu i seksu, lu-

dzi z którymi można porozmawiać o wszystkim. Na przykład co sądzisz o zielonych błyskach, które pojawiły się na Orbitsville?

Dallen był zakłopotany.

- Obawiam się, że...

- Jesteś pierwszym policjantem, który zjawił się na naszych spotkaniach - wtrąciła Libby Ezzati.

Z jej oczu wciąż wypływało wilgotne współczucie.

- Nie jestem policjantem - wyjaśnił Dallen. - Pracuję w Biurze Derejestracji.

Libby rzuciła mężowi oskarżające spojrzenie, jakby winiąc go, że ją oszukał.

- Ale masz prawo aresztować ludzi, prawda?

- Tylko za takie sprawy, jak na przykład mieszkanie na terenie, gdzie obowiązuje zakaz przebywania.

- To co innego - rzekł Ezzati. - Czy to prawda, że mają przybliżyć linię derejestracji do czterdziestego kilometra od Madison?

Dallen skinął głową.

- Ludność tutaj wciąż maleje. Wystarczy ziemi uprawnej w promieniu czterdziestu kilometrów.

- Nie podoba mi się to. To wszystko jest częścią pewnego procesu. - Ezzati myślał przez chwilę nad wypowiedzianym przez siebie zdaniem i widocznie uznał je za ważne. - Wszystko jest częścią pewnego procesu.

- Wszystko, co się dzieje, jest częścią jakiegoś procesu - odparł Dallen.

- Nie mówię o filozofii - mówię o ludzkości.

- Mówisz bzdurności, kochanie - powiedziała Libby do męża i sprzymierzywszy się z Dallenem uznała, że przyszedł

czas na nawiązanie bliższego kontaktu. -Wiesz, Garry, Kipling przekazał nam wszystkim istotne posłanie, kiedy wskazał, że Bóg nigdy nie marnuje ani liścia, ani drzewa...

- Specjalistą od botaniki jest tutaj Rick.

Dallen szybko oddalił się i wszedł znowu do holu, gdzie ponownie zmaterializowany holomorf Karala Londona mówił do pary nowo przybyłych.

- ... odcieleśniony umysł złożony z mindonów oddziałuje z materią bardzo słabo, ale nie podważa to w żadnym razie twierdzenia o jego istnieniu. Przecież odkrycie grawitonów i grawitino jest wciąż przed nami...

Dallen wy dostał się z promienia dźwiękowego i wszedł do pokoju naprzeciw. Tutaj, tak jak poprzednio zastał podobne towarzystwo: osoby skupione w małych grupkach poważnie rozmawiały w przyjemnej atmosferze, jaką stwarzały nisko umieszczone lampy i bursztynowe napitki.

Przecisnął się przez tłum i wszedł do przybudówki, gdzie wczorajszego ranka - a wydawało mu się, że to całe wieki temu - pierwszy raz zobaczył niewiarygodną kompozycję ze szklanej mozaiki. Studio było puste. Za panelami, przypominającymi koniczynę, paliły się lampy, które rzucały rozproszone światło, nierównomiernie iluminując pomieszczenie. Zaciemniało to rysunek trzech wszechświatów. Przysłaniające cienie dawały miejscami tajemniczy mrok, sugerujący istnienie niezmiernych obszarów Kosmosu, już poza granicami ludzkiego poznania. Konstrukcja ta wydała się Dallenowi przepiękna i znowu uczuł nabożny lęk, myśląc o ilości pracy włożonej w dzieło. Nikt nigdy nie uczył go, jak oceniać wytwory sztuki, więc podziwiał przede wszystkim skomplikowanie dzieła, trud i pracę artysty, i to już wystarczało, by ekran,

złożony z setek tysięcy różnokolorowych kawałków szkła robił na Dallenie wielkie wrażenie, aż zapierało mu dech. Nigdy czegoś podobnego nie doświadczył.

- To nie na sprzedaż - odezwał się głos Sylwii London tuż za nim.

- Ogromna szkoda, chciałem zamówić z tuzin.

Odwrócił się i poczuł w sercu ciepło. Wszystko w Sylwii wydało mu się takie jak trzeba: pogodna inteligencja w brązowych oczach, zdecydowanie podbródka, siła w tej niezwykle kobiecej, odzianej w pofałdowaną, białą suknię, postaci.

- Mogłabym ci zrobić małe zwierciadełko - zaproponowała.

- To byłoby co innego. Byłoby małe. To rozmiar tej rzeczy, wszystkie te osobne kawałki szkła, sprawiają, że jest ona właśnie tym, czym jest.

Wargi Sylwii drgnęły.

- Jesteś materialistą dialektycznym.

- Spróbuj to jeszcze raz powtórzyć - wyzwał ją Dallen.

Sylwia odpowiedziała uśmiechem i tym razem jego ramiona spontanicznie rozwarły się lekko na jej przyjęcie. Zastygł zmieszany, z poczuciem winy. Miał wrażenie, że Sylwia wstrzymała oddech, a w jej oczach pojawiło się zakłopotanie.

- Niedawno rozmawiałam z Rickiem - rzekła. - Powiedział mi, co spotkało twoją rodzinę. Słyszałam o tym wcześniej, ale nie zorientowałam się... Nie kojarzyłam cię...

- Wszystko w porządku. To moja sprawa.

Skinęła głową w zamyśleniu.

- Słyszałam o przypadkach zupełnego wyzdrowienia.

- To zależy od tego, jak blisko pistoletu się znajdowali. Jeśli oddziaływanie objęło tylko komórki pamięci, jest możliwe,

że osoba będzie zredukowana, odtworzona, w ciągu roku czy coś koło tego, ponieważ wszystkie sieci połączeń zbudowane przez tę osobę pozostają nienaruszone. Ale jeśli uszkodzone są połączenia międzykomórkowe...

Dallen przerwał, zaszokowany faktem, że rozmawia na ten temat z osobą postronną, i jeszcze bardziej tym, że miał zamiar powiedzieć:

„Cona i Mikel zostali napromieniowani z bardzo bliska. Myślę, że zostali zniszczeni na zawsze.”

- To straszne. - Sylwia patrzyła na niego przez chwilę z lekko uniesionymi ramionami, jakby podejmując decyzję. - Garry, nie chcę narzucać ci idei Karala, ale chciałabym, żebyś coś zobaczył. Spojrzysz na to?

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedział, odstawiając kieliszek.

- Tędy.

Sylwia poprowadziła go na tył studia, do warsztatu wyposażonego w zestaw narzędzi mechanicznych, a stamtąd krótkim korytarzem dalej. Korytarz kończył się masywnymi drzwiami. Sylwia otworzyła je przykładając kciuk do identyfikatora odcisków palców. Odsłoniło się duże, kwadratowe pomieszczenie, w którym na środku stało prostokątne przezroczyste pudło, przypominające gablotę w muzeum. W jego wnętrzu, na ledwo dostrzegalnych drutach, wisiało sześć kul z wypolerowanego metalu. Każda miała około metra średnicy. Dallen podszedł bliżej i zobaczył, że każda z nich otoczona jest zestawem czujników igłowych, skierowanych prostopadle do powierzchni kuli. Przewody z drugich końców czujników biegły do przyrządu spoczywającego na podłodze pod gablotą.

- To robi wrażenie - rzekł Dallen. - Widziałem już wcze-

śniej kołyskę Newtona, ale nie jego podwójne łożo.

- Mój mąż i pięciu innych ochotników poświęcają życie dla tego eksperymentu - odrzekła Sylwia, dając do zrozumienia, że żartobliwe podejście do zagadnienia nie przypadnie jej do gustu. - Czujniki w istocie nie dotykają kul, chociaż się tak wydaje. Koniec każdego z nich znajduje się dziesięć mikronów od powierzchni. Są utrzymywane w tej odległości przez sterowane mikroprocesorami siłowniki, nawet jeśli położenie kul ulega zmianie na skutek lokalnych wibracji, drgań gruntu czy zmian temperatury. Układy kompensują wszelkie wpływy sił naturalnych.

- Jaki jest tego cel?

Sylwia wyglądała bardzo uroczyście.

- Nie skompensują wpływu sił ponadnaturalnych. Karal ma zamiar poruszyć pierwszą kulę w rzędzie, kiedy stanie się bezcielesny. Jeśli mu się to uda - a jest on tego zupełnie pewien - sfera dotknie jednego lub więcej czujników i wygeneruje sygnał.

- Rozumiem - Dallen usiłował ukryć swój instynktowny sceptycyzm. - Dowód życia po śmierci.

- Dowód, że to, co nazywamy śmiercią, jest tylko przejściem do innego stanu.

Dallen zdał sobie sprawę, że musi być uczciwy.

- Czy inni ludzie nie próbowali wysyłać sygnałów z... drugiej strony, że się tak wyrażę?

- Nie byli to fizycy, rozumiejący w pełni ideę kwantowej bezprzezierności i sił, które wchodzi tu w grę.

- Nie, ale... Dziś wieczór usłyszałem o mindonach po raz pierwszy, ale wnioskuję, że jeśli one w ogóle istnieją, ich oddziaływanie z materią jest bardzo, bardzo słabe. Jak może...

bezcielesna istota, złożona z mindonów spodziewać się, że poruszy taką rzecz?

Dallen machnął kciukiem i wskazał najbliższą z masywnych kul.

- Karal naucza, że mindony są w pewien sposób pokrewne grawitonom.

- Ale my nie wiemy nawet, czy grawitony istnieją.

- Ale, ale, ale! - Uśmiech Sylwii był smutno mesjanistyczny. - Czy nigdy nie uderzyło cię, do jakiego stopnia to słowo jest onomatopcją?

- Zdziwienie tym faktem niezmiennie mi towarzyszy - odrzekł Dallen i natychmiast sobie nawymyślał za ten swój odruch, który często powodował, że urażał słowami tych, których urazić nie miał zamiaru. Sylwia jednak nie zwróciła na to uwagi.

Przeszła natychmiast do wykładu z fizyki jądrowej. Podstawowa teza głosiła, że nie wszystkie oddziaływania fundamentalne cechują każdą cząstkę - na przykład dla neutrino charakterystyczne jest tylko jedno - co otwierało teoretyczne możliwości spekulacji, że mindony cechuje tylko oddziaływanie mentalne plus dodatkowe oddziaływanie na grawitony, którego jeszcze nie wykryto. Dallen widział oczyma wyobraźni, jak Karal London na koniu pogania stado grawitonów, prowadzi je przez przestrzeń międzygwiazdą, tak aby zderzyły się z jedną z sześciu sfer. Dallen dowiedział się również, że pięciu innych starszych uczniów - jeden na Orbitsville, jeden na Terranova, trzech w różnych stronach Ziemi - miało podobnie wizjonerskie plany; każdy obrał sobie za cel jedną z kul. Scenariusz ten wydał się Dallenowi niedorzeczny.

- Przykro mi - rzekł. - To dla mnie za wiele. Nie mogę w



to uwierzyć.

- Wiara nie jest niezbędna na tym etapie; musisz jedynie zgodzić się z faktem, że to wszystko jest do przyjęcia w świetle współczesnych teorii fizycznych. - Sylwia mówiła o tym, jak człowiek powtarzający wyznanie wiary. - Osobowość jest strukturą umysłowego bytu, istniejącą w przestrzeni mentalnej. Może ona przetrwać zniszczenie umysłu, mimo że potrzebuje złożonej organizacji fizycznego mózgu, aby się wykształcić.

- Mój mózg jest już trochę przegrzany - rzekł Dallen, wycierając nie istniejący pot ze swych brwi.

- W porządku. Na tym koniec pierwszej lekcji, ale ostrzegam, będziesz jeszcze tego słuchał, kiedy tu znowu wrócisz. - Sylwia podeszła do drzwi pomieszczenia i poczekała by do niej dołączyć. - O ile wrócisz.

- Nie tak łatwo mnie przestraszyć.

„Kłamca” - rzekł Dallen do siebie - już drżą ci kolana”.

Kiedy szedł ku niej, jasno uświadamiał sobie, że wyraźnie określona „robocza” faza spotkania skończyła się, że są sami, a ona rzeczywiście czeka na niego w drzwiach, co znaczy, iż nastąpi chwila, gdy prawie niemożliwe będzie uniknięcie fizycznego kontaktu. Podeszedł do niej i instyktownie uniósł dłonie na zewnątrz, z palcami lekko rozchyłonymi. Gest ten miał znaczenie tylko dla nich dwojga i tylko w tej właśnie, niepowtarzalnej chwili. Sylwia położyła swe dłonie na jego dłoniach. Spletli palce, a jej ciepło wstąpiło w niego i zadziało.

Spróbował przysunąć się bliżej, ale powstrzymała go, lekko zwiększając nacisk.

- Nie całuj mnie, Garry - powiedziała. - Nie mogłabym

sobie z tym poradzić.

- Czy to ma znaczyć, że jeszcze za wcześniej?

Popatrzyła na niego trzeźwym wzrokiem.

- Tak, myślę, że tak.

- Zatem - Dallen zdecydował, że zmiana nastroju będzie najlepszą strategią - może zajmiemy się tym, co robią inni ludzie, gdy są na tym etapie, cokolwiek by to było?

Sylwia jakby z ulgą skinęła głową. Poszli z powrotem przez studio do głównej części budynku. Zostawiła tam Dallena, by zająć się innymi gośćmi. Gdy stracił ją z pola widzenia, przepełniająca go radość trwała może pięć sekund, a potem - tak jak przewidywał - nastąpiła reakcja. Odczuwał głównie poczucie winy, które stale towarzyszyło mu w ostatnich tygodniach. Obecnie jednak dołączył nowy gryzący element, którego Dallen nie mógł wyraźnie określić. Czy uświadomienie sobie, co może z nim zrobić Sylwia London, kryło w sobie spóźnione odkrycie, jaka jest różnica między uczuciem, które przedtem był skłonny uważać za miłość a całkiem innym typem emocji - nieobliczalnej i niepokojącej - która mogła być miłością naprawdę?

„Powinienem stąd wyjść” - pomyślał. - „Powinienem natychmiast stąd wyjść i nigdy nie wracać. ”

Obrócił się, by przejść do drzwi i nieomal wpadł na Petera Ezzatiego i jego żonę.

- Otrzymałeś swoją porcję indoktrynacji - rzekł Ezzati ze złośliwą radością. - Czytam to z twojej twarzy.

- Peter! - Libby była demonstracyjnie taktowna. -Garry nie chce, by mu się narzucano.

Dallen spojrział na nią, przypomniał sobie, jak wcześniej okazał brak dobrych manier i zmusił się do uśmiechu.

- Obawiam się, że jestem trochę irytujący, jeśli nie pójdę do łóżka o zwykłej porze. Potrzebny mi chyba kubek kakao, czy coś w tym rodzaju.

- Przyniosę ci właściwy napitek - powiedział Ezzati odchodząc. - Miałeś na myśli chyba szkocką z wodą, prawda?

Dallen przez chwilę zastanawiał się, czy nie zawołać go i odmówić drinka. Potem uświadomił sobie, że jest około dziesiątej wieczór i jeśli wróci teraz do swego pustego domu, na pewno nie uda mu się zasnąć. To mógł być dobry pomysł: spędzić niezobowiązująco trochę czasu z obojętnymi i niewymagającymi ludźmi, odprężyć się nieco i udowodnić samemu sobie, że jest się osobą zrównoważoną i dojrzałą, całkowicie panującą nad swymi uczuciami.

- Czytałem niedawno coś z rachunku prawdopodobieństwa - przemówił zupełnie nie na temat. - Twierdzono tam, że jeśli dwoje ludzi pogubi się w wielkim domu towarowym, nie ma pewności, że kiedykolwiek się znowu spotkają, o ile jedno z nich nie stoi w miejscu.

Okrągła twarz Libby wyrażała uprzejme zakłopotanie.

- Jakie to ciekawe.

- Tak, ale jeśli się nad tym zastanowić, musi to być jedna z najmniej użytecznych informacji. To znaczy...

- Nigdy nie byłam w wielkim domu towarowym - przerwała mu Libby. - To musiało być cudowne, pójść do takich miejsc jak Macy, zanim doprowadzono do upadku Nowy Jork. Jeszcze jedna utracona rzecz...

Dallen nie zdołał wymyślić oryginalnego komentarza.

- Coś się zyskuje, coś się traci - rzekł.

- Gdyby tak naprawdę było, sprawy wyglądałyby rozsądnie, ale w rzeczywistości ciągle tracimy, tracimy i tracimy.

Optima Thule bierze wszystko i niczego nie zwraca.

Dallen, mimo że był nadmiernie pobudzony emocjonalnie, wykazał zainteresowanie takim punktem widzenia.

- Czyż nie bierzemy nic z Optima Thule? Czy nie daje ona nam wszystkiego, co mamy?

- Nie mówię o kępkach trawy. Co rasa ludzka naprawdę zrobiła w ciągu ostatnich dwustu lat? Nic! Praktycznie w żadnej dziedzinie sztuki nie dokonano postępu. Nauka stoi w miejscu. Poziom techniczny w gruncie rzeczy co rok spada o kilka punktów. Orbitsville to studnia bez dna!

- Zdaje się, że mam dziś szczęście do odczytów naukowych.

- Przepraszam - Libby obdarzyła go skruszonym uśmiechem i uświadomił sobie, że zbyt szybko przyczepił jej poprzednio etykietkę. - Widzisz, jestem romantyczką i dla mnie Orbitsville to koniec, nie początek. Stale się zastanawiam, co znaleźliby Garamond i wszyscy inni, gdyby nie było Orbitsville, a oni by wciąż posuwali się naprzód.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa - nic.

- Prawdopodobnie, ale teraz nigdy już tego się nie dowiemy. Tam na zewnątrz jest galaktyka, a my odwróciliśmy się do niej plecami. Czasami, kiedy nachodzi mnie paranoja, podejrzewam, że właśnie po to zbudowano Orbitsville.

- Orbitsville nikt nie zbudował - rzekł Dallen. - Tylko ludzie, którzy nigdy tam nie byli, mogą myśleć o nim jako o artefakcie. Kiedy naprawdę się zobaczy oceany, góry i...

Przerwał, gdyż obok pojawił się Ezzati i zbyt energicznie wcisnął mu w rękę szklankę.

- Niektórzy z tych facetów mają cholerny tupet - mruknął Ezzati zaczerwieniony ze złości. - Nie będę wyświadczał już

żadnych przysług. Nikomu!

Libby natychmiast zrobiła się pełna współczucia.

- Co się stało?

- To ten młody szczur, Solly Hume! Siedzi w pokoju obok i wlewa w siebie alkohol, a kiedy mu napomknąłem - zwróć uwagę, jedynie dla jego własnego dobra - że trochę z tym przesadza, był na tyle bezczelny, że stwierdził, iż jestem mu winien pięćdziesiąt monetów.

- Peter, nie narobiłeś chyba długów? - spytała Libby z troską.

- Nie bądź niemądra! - Ezzati przełknął trochę wódki i skupił uwagę na Dallenie. - W zeszłym tygodniu praktycznie podarowałem temu dzieciakowi, Hume'owi, przestarzały komputer na potrzeby tego jego cholernego głupiego stowarzyszenia, a dzisiaj miał facet czelność zażądać zwrotu pieniędzy. Powiedział, że bebechy komputera zostały skażone czy coś w tym rodzaju. Czego oczekiwał od grata, który leżał w piwnicy od czasów króla Ćwieczka?

- Może sądził, że będą tam lampy - zasugerował Dallen, żałując, że jego problemy nie są równie banalne. - Technika próżniowa, wiesz.

- Nie, on znalazł tylko stary monitor Ministerstwa Zaopatrzenia na Podpoziomie Trzy. Kiedyś było tam centrum obliczeniowe. Widocznie to urządzenie miało rejestrować dostawy municypalne. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby zawracać sobie tym głowę.

Dallen poczuł w całym ciele chłód, jakby otworzono na oścież drzwi.

- Sam sobie przeczysz, kochanie - powiedziała szyderczo Libby. - Jeśli ten monitor był taki nieciekawym i nikomu niepo-

trzebny, powinieneś się cieszyć, że dostałeś za niego pięćdziesiąt monetów.

- Tak, ale... - Ezzati popatrzał na nią z irytacją, nie chcąc przyznać jej racji. - Zabiorę go od Hume'a i odpowiednio rozreklamuję. Archeologia elektroniczna robi się ostatnio modna. W gruncie rzeczy... - nachmurzony popatrzył na kieliszek i zamieszał trunek -... mógłbym już sprzedać tę rzecz komu innemu. Pamiętam, że ktoś jeszcze pytał mnie o tę maszynę.

- Teraz to już naprawdę jesteś dziecinny - w głosie Libby brzmiało lekceważenie. - Przyznaj się do tego.

Dallen patrzył nieruchomo na Ezzatiego, zaklinając go w duchu, by wymienił nazwisko.

- Może masz rację - przyznał Ezzati, wzruszając ramionami. - Po co mam się wysilać, jeśli nie chodzi tu o moje pieniądze. Nie płacą ci za to, byś brał pracę do domu. Przynajmniej nie tutaj. Kiedyś byłem na tyle głupi, aby wierzyć, że w Madison człowiek awansuje głównie dzięki ciężkiej pracy, oddaniu i lojalności, ale później zmądrzałem i... Gerald Mathieu!

- Zmądrzałeś ty i Gerald Mathieu? - Libby spojrzała na niego udając zatroskanie i uniosła wzrok na twarz Dallena. - Czy rozumiesz, o czym mówi ten idiota, mój mąż?

- Obawiam się, że niezbyt uważnie słuchałem - usprawiedliwił się Dallen, odchodząc w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby zostać sam na sam ze swymi myślami i zacząć snuć swoje plany.

## ROZDZIAŁ 11

Zarząd Miasta Madison dysponował tylko dwoma samolotami, ale jeden z nich już od tygodnia był unieruchomiony. Czekano na części zamienne. Burmistrz

Bryceland zwykł traktować funkcjonującą maszynę jako osobisty środek transportu, dlatego Mathieu mógł usiąść za jego sterami dopiero po czterech niespokojnych dniach. Została mu jeszcze jedna przyzwoita doza felicitynu. Mathieu już wcześniej ostro ograniczył spożycie, by uzyskać tę szczupłą rezerwę. Kiedy zamykał kopułę kabiny samolotu, czuł zmęczenie, niepokój i był prawie pewien, że w ostatniej chwili wyłoni się jakaś przeszkoda, uniemożliwiając mu start.

Daleko z prawej stał niebiesko-biały kadłub dopiero co przybyłego promu kosmicznego. Jego dolna część była słabo widoczna z powodu drgania rozgrzanego powietrza: wrzało tak gwałtownie nad żelbetową płytą, że Mathieu miał trudności z dostrzeżeniem wysiadających turystów. Wydało mu się jednak, że jest ich mniej niż zazwyczaj. Bieżący rok nie był pomyślny dla hotelarzy z Ulicy Pożegnań - traktu, którym kiedyś przejechały miliony emigrantów, udających się w Kosmos - i wydawało się, że w przyszłości będzie jeszcze gorzej. Musi nadejść taki dzień, uświadomił sobie Mathieu, kiedy biurokraci z odległej Optima Thułe wyciągną wtyczkę i przestaną subsydiować wakacyjne pielgrzymki na Ziemię. A kiedy to nastąpi, on pozostanie bez pracy i będzie musiał się ponownie zastanowić nad powrotem do miejsca swego urodzenia.

Myśl o podróży wśród gwiazd i o tym, że będzie musiał spędzić resztę życia na powierzchni niewiarygodnie kruchej bańki, sprawiła, że Mathieu poczuł zwykły przypływ agoraf-

bii. Już miał sięgnąć do wewnętrznej kieszeni marynarki po złote pióro, gdy uświadomił sobie, co robi i cofnął rękę na drążek sterowniczy samolotu. Daleko przed nim, przy dolnej krawędzi błękitnej kopuły niebios, drżała rozmyta srebrna plama. Był to frachtowiec z Centrali Metarządu w Winnipeg. Plama powoli przesunęła się na bok i pokładowy mikroprocesor w samolocie Mathieu dał sygnał, że można rozpocząć lot.

Mathieu postanowił pilotować sam. Rozwinął niewidzialne skrzydła samolotu, nadając mu konfigurację startową i zwiększył ciąg silników odrzutowych. Po kilku sekundach szybował nad systemem nieużywanych pasów startowych, zajmujących większą część powierzchni lotniska w Madison. Skręcił na zachód przechylając maszynę i wyrównał ją na wysokości jedynie stu metrów. Leciał ku zwartym krawędziom szczytów, stanowiących południowy skraj Appalachów. Poniżej, po ziemi, pędził cień statku, obramowany tęczą obwódką słonecznego światła, które rozszczepiało się w skrzydłach uformowanych z pól siłowych.

Mathieu uświadomił sobie, że jest w powietrzu pierwszy raz od czasu wypadku w Ratuszu... *kobieta z dzieckiem, osuwa się, twarze jak u plastikowych lalek, oczy jak u plastikowych lalek...* i że nie czuje satysfakcji, jaką zwykle dawało mu latanie. Szybki lot, nisko nad pustymi zarośniętymi trawą polami był zwykle dla niego jedną z najbardziej kuszących przyjemności, znakomitą ucieczką od wszystkich problemów psychicznych, ale tego letniego poranka kłopoty z łatwością dogoniły go, jak skrzydlate, niewidzialne stwory.

Swoje nielegalne interesy musiał Mathieu opłacać ła-pówkami. Koszty rosły w zastraszającym tempie; w pracy szło mu coraz gorzej; przyjaciółki źle reagowały na jego humory;



przede wszystkim zaś ciążyła mu odpowiedzialność za zlikwidowanie dwu ludzkich osobowości i związane z tym poczucie winy... oraz idący za nią strach przed Garry Dallenem, strach, który felicitynem dawało się uśmierzyć tylko na krótkie chwile... i nie wiadomo, który z tych problemów spowijał egzystencję Mathieu ciemniejszym całunem. A on był już tak bardzo, bardzo zmęczony...

Mathieu otworzył oczy i ujrzał tuż przed sobą zielony stok wzgórza, który nacierał i zapełniał całe pole widzenia.

„Boże, za chwilę zginę!” - wykrzyknął i natychmiast zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje.

Z powrotem położył ręce na drążek sterowniczy, ale zbocze nadal nadciągało, wielkie, twarde i mordercze, zdecydowane zrobić z ciała Mathieu purpurową maź. Współdziałały z tym prawa aerodynamiki, które powodowały opóźnienie reakcji statku na sterowanie, a Mathieu doskonale wiedział, że karą za opóźnienie jest śmierć.

Zbocze pagórka rozwijało się coraz szybciej, aż eksplodowało jesienią. Mathieu skulił się w fotelu. Oczy miał rozszerzone, usta rozwarłe. Drążek sterowniczy odciągnął maksymalnie do tyłu, poddając próbie drgającą konstrukcję statku, zmuszając go do robienia rzeczy niemożliwych... i nagle pojawił się skrawek nieba...

Horyzont zadrżał i zniknął poniżej dziobu statku.

Przez jakąś minutę Mathieu siedział i żuł przekleństwa, łącząc je w beładny zaśpiew, a jego serce miotało się w piersi i łomotało jak oszalały silnik, który wyrwał się z zamocowań. Dopiero gdy oddech wrócił mu do normy i przestał go kłuć zimny pot na czole i dłoniach, zdołał się trochę odprężyć. Jednak nawet wtedy nie miał poczucia, że jest całkowicie bez-

pieczny. Rozejrzał się po cicho bzykającym wnętrzu kabiny, zaczął sprawdzać wskazania instrumentów i wtedy uświadomił sobie, że nowa groźba, nowe źródło niebezpieczeństwa tkwi w jego własnym umyśle.

Rozwijała się w nim idea, która zakiełkowała podczas owego przelotnego muśnięcia śmierci. Przez krótki moment, wśród tych modłów i strachu, doznał pokusy - dziwnej, rozkosznej i haniebnej — by pchnąć drążek naprzód. W ułamku sekundy, prawie dobrowolnie poszedłby na spotkanie śmierci, galopując na grzbiecie ciemnej fali.

Mathieu spróbował bez emocji zanalizować tamto uczucie. Przerazało go i wydawało się nienaturalne, a jednocześnie dziwnie mamiące, pełne intrygujących sprzeczności.

Nie miał ochoty umierać, a jednak pociągało go to, że może być martwym.

Stan nieistnienia ma wiele zalet. Ustaną nocne koszmary i nad rankiem już nie będą pojawiać się zmory. Ani strachu, ani poczucia winy. Nie będzie trzeba kraść, nie będzie trzeba finansować nałogu. Ani kłamać, ani się kryć. Zniknie potrzeba ciągłego ruchu naprzód i wmawiania ludziom, że jest się tym, na kogo się wygląda.

Zniknie obawa przed wyprawą w Kosmos czy perspektywą stawienia czoła przyprawiającym o zawrót głowy przestrzeniom Orbitsville. Zniknie lęk przed niepowodzeniami.

Nie byłoby więcej przyszłości ani przeszłości. Krótko mówiąc, nie byłoby Geralda Mathieu, który istniał jedynie jako synteza niepowodzeń. I jeszcze premia specjalna, którą mógłby otrzymać natychmiast: nie musiałby odganiać zmęczenia, które ostatnio wszędzie zaczynało go prześladować, jak skradający się drapieźnik.

To go najbardziej pociągało. Mógłby zacząć natychmiast: zamknie oczy na krótko, powiedzmy na minutę, po prostu sprawdzi co się stanie i jak mu się to spodoba. Nie trzeba wielkiej, melodramatycznej decyzji, by popełnić samobójstwo - było to raczej jak gra, jak eksperyment, który można zakończyć w dowolnie wybranym momencie...

Mathieu spojrział na prędkościomierz i zobaczył, że statek robi prawie tysiąc kilometrów na godzinę.

„Ładna, okrągła liczba” - pomyślał.

Zluzował uchwyt na dźwigniach, zamknął oczy i zaczął odliczać sekundy. Natychmiast doszedł do jego świadomości cichy pomruk generatora i szum powietrza wzdłuż hermetycznej powłoki. Statek nagle ożył, zbaczając z kursu, skręcił i zatańczył, utrzymując jakimś cudem równowagę na niewidzialnej powietrznej piramidzie.

Mathieu doliczył tylko do dwunastu. Raptownie podniósł powieki i przekonał się, że wciąż leci po prostej, na jednakowej wysokości. Wszechświat pozostawał niezmienny: odwiecznie czysty błękit z góry i po bokach, żywa zieleń prerii pod dziobem statku, gdzieniegdzie zabudowania farm, pokryte gęstą roślinnością, - tak w czasie II wojny światowej mogły wyglądać cele z pokładu bombowca.

„To ryzykowne latać na tej wysokości” - powiedział do siebie. - „Można się zabić.”

Wziął głęboki oddech, zamrugał, by przeczyścić oczy i skoncentrował się całkowicie na pilotażu. Myślał, czy kiedykolwiek jeszcze zdoła zebrać odwagę do takiej wielkiej gry. Samolot przepychał się i wił w wirze powietrznym, a potem zaczął spokojny, jednostajny lot. W kabinie było gorąco i Mathieu czuł, że promienie słoneczne jakby delikatnie cisną na

powieki i przymykają je.

Przez kilka minut przeciwstawiał się temu, zanim zdecydował, że nie zaszkodzi i że nie będzie żadnego niebezpieczeństwa, jeśli zamknie oczy na jedyne dziesięć sekund. To przecież tylko gra.

Kiedy zamknął oczy, nie zobaczył czerni - jedynie różową nieskończoność upstrzoną karmazynowymi i zielonymi obrazami wtórnymi. Z łatwością doliczył do dziesięciu i postanowił spróbować liczyć do dwudziestu.

„Jeśli teraz zasnę, Gary Dallen nigdy nie zdoła mi nic zrobić. Oczywiście nie będę spał, ale byłoby tak dobrze już nie biec więcej w górę po tych betonowych schodach, nie celować z pistoletu do kobiety z dzieckiem, nie widzieć jak osuwają się, padają, jak patrzą oczami idiotów...”

Gniewne buczenie z konsoli sterującej zawiadamiało Mathieu, że w świecie zewnętrznym zachodzą ważne zmiany, zmiany, o których powinien być poinformowany.

Ale on czekał jeszcze pięć sekund, zanim otworzył oczy, a potem mógł rozróżnić pojedyncze źdźbła trawy na zboczu pagórka, które wypełniło całe pole widzenia z przodu samolotu.

Mathieu zdążył poczuć wdzięczność za to, że nie mógł już zrobić absolutnie nic.

„To było łatwe” - pomyślał w chwili, gdy samolot stawał się bombą.

„Łatwe jak...”

## ROZDZIAŁ 12

Dallen zdał sobie sprawę że z planowaniem morderstwa łączą się szczególne trudności.

Jedną z nich była nowość samego problemu i związane z tym obiekcje moralne, które wciąż naruszały spójność jego rozumowania.

„Przecież nie mogę tego zrobić” - jak refren powracały wyrzuty sumienia - „po prostu nie nadają się do takich rzeczy”.

Innym utrudnieniem było to, że morderstwo musi wyglądać na śmierć przypadkową. Oczywiście zabójstwo spowodowałyby wszczęcie śledztwa, które z pewnością ujawniłoby okoliczności prowadzące do fatalnego spotkania Mathieu z Coną i Mikelem w zaciszu klatki schodowej Ratusza. A stąd tylko jeden mały krok w policyjnym rozumowaniu doprowadziłby do Garry'ego Dallena.

Kara, jaką musiałby ponieść, sama w sobie nie znaczyłaby wiele. Dallen nie uważał nawet za karę podróży w jedną stronę do Botany Bay na Orbitsville - dlatego między innymi nie mógł pozwolić Geraldowi Mathieu na ten sposób ucieczki - ale to oznaczałoby rozłąkę z Coną i Mikelem i zwiększało szkodę, jakiej już doznali. Tylko w jeden sposób można było rozwiązać tę sprawę. Mathieu będzie musiał umrzeć, najlepiej w taki sposób, żeby on sam rozumiał w pełni, iż jego śmierć to egzekucja, ale by w oczach innych wyglądało to na wypadek.

I na tym właśnie polegały trudności praktyczne.

Dallen zatopiony w myślach, poddenerwowany, zawędrował do kuchni i zastał tam Betti Knopp. Szykowała obiad. Była to kobieta w średnim wieku, która jako ochotniczka przychodziła trzy razy w tygodniu do domu, aby wziąć na sie-

bie brzemień opiekowania się Coną. Obowiązki te wykonywała sumiennie, w całkowitym niemal milczeniu. Dallen był jej wdzięczny, ale nie mógł w żaden sposób nawiązać z nią rozmowy. Zdając sobie sprawę, że jego obecność w kuchni jest dla Betti krępująca, przeprosił i poszedł do głównego pokoju. Cona stała przy oknie, patrząc na leżący w dali stok Północnego Wzgórza. Miała ułożone włosy jak osoba dojrzała i wyraz jej twarzy wskazywał na rozmarzone zamyślenie, tak jak w okresie nostalgii, którą przeżywała bezpośrednio po przybyciu z Orbitsville.

Dallen miał pokusę, by uciec w fantazję: minione tygodnie to tylko nocny koszmar, a Cona jest taka jak dawniej. Podszedł do okna i objął ją. Obróciła się i przytuliła do niego, gruchając z zadowolenia. Tylko zapach czekolady - poprzednia Cona zawsze jej unikała - zakłócał złudzenie, że zwrócono mu jego dawną żonę. Patrzył nad jej głową w kierunku Ratusza Madison i nie był w stanie spowodować, by jego myśli nie rozbiły się o bariery przeszłości. Gdyby tylko nie umówił się z Coną na obiad tamtego dnia. Gdyby tylko siedział w biurze. Gdyby tylko wchodziła głównym wejściem. Gdyby tylko Mathieu wymazał monitor Ministerstwa Zaopatrzenia dzień, godzinę czy minutę wcześniej, lub później...

Dallen cicho chrząknął ze zdziwienia, kiedy uświadomił sobie, że Cona przykryła ręką jego genitalia i zaczęła je masować z niezręcznym zapałem. Przez sekundę niemal poddał się temu. Potem ogarnął go wstręt do samego siebie i gwałtownie cofnął się do tyłu. Cona szła za nim, chichocząc, śledząc wzrokiem jego kroczę.

- Nie rób tego - powiedział ostro, trzymając ją na odległość ramienia. - Nie, Cona, nie!

Podniosła wzrok, reagując na odmowę dźwięczną w jego głosie, a jej twarz zniekształcił brzydki grymas niemowlęcej wściekłości. Znowu podążyła za nim, silna i bezwstydną, a on musiał się mocować, by ją powstrzymać. Wtedy weszła do pokoju Betti Knopp z jedzeniem na tacy. Obrzuciła Dallena zaniepokojonym spojrzeniem i odwróciła się, by wyjść.

- Przynieś to tu - zażądał, wpychając Conę w fotel. Jego gwałtowne działanie albo zaniepokoiło ją, albo przyczyniło jej bólu, bo załkała głośno. Z kolei Betti zasapała i był to pierwszy głośniejszy wydany przez nią dźwięk, jaki Dallen słyszał tego dnia. Uklękła przy Co - nie i przyciągnęła jej uwagę głośno mieszając coś żółtego i galaretowatego na talerzu. Dallen patrzył bezradnie na obie kobiety, a potem poszedł w drugi koniec pokoju i uruchomił odbiornik holograficzny.

- Proszę, powiedz coś do mnie - powiedział do trójwymiarowego obrazu jakiegoś chudego, siwobrodego mężczyzny, który pojawił się w ognisku odbiornika. Dallen opadł na fotel i skrzyżował ręce na piersiach, i dopiero wtedy zorientował się, że obraz przedstawiał Karala Londona. Pochylił się naprzód z uwagą.

„... miał nieco ponad sześćdziesiąt lat” - brzmiała wiadomość czytana przez spikera - „i o ile wiadomo, odmówił leczenia choroby płuc, która spowodowała jego śmierć. Doktora Londona znano na terenie Madison głównie jako filantropa i założyciela Fundacji Anima

Mundi, organizacji rozpowszechniającej pewną dziedzinę wiedzy: egzotyczną mieszaninę nauki i religii. To właśnie praca dla Fundacji przywiodła go dwa lata temu na Optima Thule, a dzisiaj otrzymaliśmy niepotwierdzone raporty, że pewien dziwny eksperyment - zaprojektowany przez Dok-

tora Londona dla udowodnienia niektórych z jego teorii - został... ”

- Panie Dallen - Betti Knopp zjawiała się dokładnie przed nim, jakby dzięki siłom magicznym, z rękami na biodrach i wystawionymi łokciami w klasycznej postawie rozdrażnienia.

- Są rzeczy, które powinniśmy sobie powiedzieć jasno.

- Niech pani chwilę poczeka, chcę usłyszeć, co...

- Nie poczekam ani chwili. Wysłucha mnie pan natychmiast! - Betti, przez tygodnie prawie całkowicie niema, zmieniła się nagle w maszynę do robienia hałasu. - Nie muszę znosić tego wyniosłego traktowania ani od pana, ani od nikogo innego.

- Proszę, niech pani pozwoli mi posłuchać tej jednej wiadomości i wtedy poro...

- Jeśli pan uważa się za zbyt ważnego, by ze mną rozmawiać, dlaczego nie weźmie pan z kliniki kogoś, kto bardziej panu odpowiada? Dlaczego?

Dallen wstał i próbował uspokoić Betti. Udało mu się tylko przyciągnąć uwagę Cony, która zwiększyła poziom szumów waląc talerzem w tacę. Odwrócił się i pobiegł na górę do sypialni, zatrzasnął z hałasem drzwi za sobą i włączył inny holowizor. Wciąż nadawali lokalne wiadomości, ale teraz zajmowali się już bankrutującymi hotelami. Spróbował uruchomić pamięć ostatnich dziesięciu minut, wbudowaną w odbiornik, i przeklął w duchu, acz dosadnie, gdy przypomniał sobie, że jest zepsuta. Niezadowolony, już chciał wrócić do odbiornika na dole, gdy nagle powróciła mu zdolność do analitycznego myślenia.

Ustalono już, że Karal London nie żyje, więc główne pytanie dręczące Dallena dotyczyło tego dziwnego eksperymen-



tu. Czy fakt, że o nim wspomniano, świadczył o tym, że zakończył się on niespodziewanym wynikiem?

Idea wydała mu się bardzo niedorzeczna - wizja zmarłego uczonego, który sięga przez lata świetlne z Orbitsville, by poruszyć materialny obiekt na Ziemi - ale dlaczego środki przekazu były tym zainteresowane? Czy ktoś z Fundacji Anima Mundi śpieszyłby się, by rozgłosić wiadomość w razie wyniku negatywnego?

„I dlaczego” - myślał, miotany sprzecznymi uczuciami - „stoję tutaj i czekam?”

Na żwirze przed domem Londonów parkowało już pięć samochodów, a wśród nich - jakżeby inaczej - złoty „Rollac” Renarda. Frontowe drzwi były otwarte. Dallen wszedł do środka i przekonał się, że w holu nikogo nie ma. Skręcił więc na lewo przez salon i położone za nim studio. Popołudniowe słońce przemieniło fantastyczną szklaną mozaikę w zasłonę z wielobarwnego ognia. Dallen minął ją w pośpiechu i wszedł w korytarz wiodący na tył budynku. Prowadził go dochodzący z daleka szmer rozmów. Doszedł do pomieszczenia z aparaturą eksperymentalną i zobaczył, że drzwi są otwarte na oścież.

W półmroku za drzwiami kilkunastu ludzi stało w kręgu dokoła gabloty z sześcioma metalowymi kulami. Kiedy oczy Dallenga przyzwyczyły się do oświetlenia, rozróżnił białą ubraną figurę Sylwii London i stojącego obok niej Renarda. Sylwia, nieznacznie pochylona, obejmowała się rękami, jakby chroniąc przed zimnem. Dallen wiedział, że płakała. Zatrzymał się na progu, niepewny, czy ma prawo wejść, aż Renard przywołał go gestem.

Czując na sobie spojrzenia wszystkich obecnych, postąpił kilka kroków do przodu i przyłączył się do kręgu obserwa-

torów, których uwaga była skupiona na pierwszej z rzędu sześciu kul. Nastąpiła długa cisza i Dallen wypełniało coraz większe rozczarowanie, zawód, że nic się nie dzieje. Było teraz dla niego widoczne, że członkowie grupy wciąż czekają na znak, na dowód, że ich mentor nadal istniał jako istota złożona z praktycznie niewykrywalnych cząstek.

Tak wielka naiwność sama w sobie byłaby sensacją dla dziennikarzy. On również ją wykazał, inaczej siedziałby wciąż w domu. A może nie? Odkrył już wcześniej, że w jego podświadomości nie ma ani skrupułów, ani dumy, więc było całkiem możliwe, że przybył do domu Londonów po prostu po to, by Sylwia zobaczyła go jak najwcześniej po śmierci swego męża. Dla takiej taktyki jego świadomość mogła żywić jedynie pogardę.

Zirytowany tym kolejnym seansem autoanalizy Dallen rozejrzał się, czy nie udałooby mu się przypadkiem wymknąć niezauważalnie z kręgu, ale nawet Renard wykazywał pełne czci zainteresowanie, patrząc na błyszczącą sferę i otaczającą ją czujniki.

„Czyżby podlizywał się Sylwii, teraz, kiedy Karal nie stoi już na drodze? ” - pomyślał Dallen ze szczeniacką złośliwością, ale potem wściekł się, niezadowolony z siebie.

Już miał wyjść, kiedy niebieska rura luminescencyjna nad pierwszą kulą roziskrzyła się życiem. Żarzyła się kilka sekund, podczas których w pokoju zapanowała cisza przypominająca matowe szkło. Potem światło zanikło. Ciszę przerwały gwałtowne westchnienia, a potem natychmiast rozległ się gwar rozmów. Dallen ciągle patrzył na wypolerowaną kulę i próbował przebudować swój osobisty pogląd na wszechświat.

Jeśli krótki dopływ fotonów z rury luminescencyjnej

znaczył to, co miał oznaczać, Karal London znajdował się obecnie w tym samym pomieszczeniu, tuż obok Dallena. Płynął z tego wniosek, że fizyk, wyzwolony po swej śmierci z ciała, przywędrował tu przez przestrzeń międzygwiazdną i przy pomocy jakichś niewyobrażalnych środków zdołał siłom gravitacji narzucić swoją wolę.

Przesłanie oznaczało, że ludzka osobowość może przeżyć zniszczenie ciała, że potencjalnie jest nieśmiertelna.

Dallen poczuł na plecach tajemny dreszcz i zadrżał. Czy miał teraz wierzyć, że Cona Dallen, jego żona, wciąż istniała w jakiejś innej przestrzeni? A może z teorii Londona wynikało, że zamach na jej mózg fizyczny był równie niszczący dla jego mindonowego odpowiednika? Ale to implikowało...

- Jestem ofiarą filozoficznego gwałtu - szepnął Renard, pojawiając się u boku Dallena. - Stary Karal spaskudził przynajmniej połowę mojego bardzo kosztownego wykształcenia.

Dallen skinął głową. Oczami wodził za Sylwią. Opuszczała właśnie pokój, otoczona zwartą grupą mężczyzn i kobiet, i wszyscy naraz coś do niej mówili.

- Dokąd oni idą? Nie chcą poczekać i zobaczyć, czy jeszcze coś się nie wydarzy?

- Niczego się już nie oczekuje - to był piąty sygnał. Sylwia nie mówiła o tym szczególnie? To wszystko, to część eksperymentu Karala. Każdy ochotnik miał wybrać osobną kulę i przesłać inną liczbę impulsów.

Renard mówił cicho, bez swoich zwykłych dosadnych kpin. Wyjaśnił, że pierwszy sygnał odebrano przed czterema godzinami. Natychmiast po tym Sylwia zawiadomiła kilku członków Fundacji i zgodnie z uprzednio ustalonym planem wysłała tachogram do rezydencji Karala Londona w Port Na-

pier na Orbitsville. Natychmiast nadeszło potwierdzenie, że Karal London właśnie umarł. Dla większości badaczy zjawisk paranormalnych byłby to dowód wystarczający, ale London chciał czegoś więcej. Nadejście z góry określonej liczby sygnałów byłoby nie tylko silnym argumentem za tym, że nie ma się do czynienia po prostu z przypadkowym, nieprawidłowym zadziałaniem przyrządów, ale również zademonstrowałoby, że w postaci bezcielesnej Karal był zdolny zachować znajomy, ludzki sposób myślenia. Dowodziłoby to również, że czas w przestrzeni mentalnej jest zgodny z czasem w zwykłej przestrzeni.

- Przyznaję z niechęcią: jestem winien przeprosiny poczciwemu doktorowi Londonowi - zakończył Renard.

- Czy trochę się z nimi nie spóźniłeś?

- Wcale nie - Renard zwrócił się twarzą do pustego pomieszczenia i rozłożył ręce. - Karal, stary dziadu, nie jesteś takim świrem, na jakiego wyglądasz.

- Bardzo piękne przeprosiny - rzekł Dallen.

- Musiałem zrobić przynajmniej tyle, staruszk. Nie każdego dnia się zdarza, że ktoś jest na tyle miły, że umiera i zostawia ci swoją żonę. Czy wspominałem już, że Sylwia leci ze mną na Wielkie O?

Serce Dallenga zastukało o żebra.

- Musiało ci to wylecieć z pamięci.

- Wspaniała samokontrola, Garry. Nawet nie mrugnąłeś okiem. - Renard rzucił Dallengowi przenikliwe spojrzenie i błysnął ku niemu zębny łuk. - Obecnie głównym zadaniem Fundacji jest głoszenie radosnej wieści, więc nie ma sensu, by Sylwia pałętała się tutaj, skoro kto inny może pilnować eksperymentu. Wszystkie ciała naukowe mają swoje

sztaby na Orbitsville, więc...

- Czy sama się będzie do nich zwracała?

- Tylko w charakterze figurantki - do takiej pracy jest naprawdę stworzona. Będzie tam również kilku kwalifikowanych fizyków z Fundacji, którzy poprowadzą wszystkie rozmowy, a ja zapewniam każdemu bezpłatną podróż - Renard znów się uśmiechnął. - Po prostu chcę dowieść, jaki ze mnie naprawdę przyzwoity człowiek.

- Jasne.

Dallen postanowił, że nie da się wciągnąć w żadną z prywatnych gierek Renarda i gotował się już do wyjścia.

- Poczekaj chwilkę, Garry - Renard zagroził sobą drzwi.

- Dlaczego nie wrócisz z nami na Orbitsville? Na tej zdezelowanej kuli z błota nie ma nic dla ciebie i twojej rodziny. Zgromadziłem już większość okazów trawy na pokładzie i za parę dni będziemy gotowi do drogi.

- Dzięki, ale nie jestem zainteresowany.

- Bezpłatna podróż, staruszk. Niezwłocznie. Warto o tym pomyśleć.

Dallen stłumił ukłucie niechęci.

- Gdybym cię spytał, dlaczego chcesz, żebym z wami jechał, odpowiedziałbyś mi szczerze i bez ogródek?

- Szczerze i bez ogródek? Go za nierozsądna prośba! - Wesoły błysk znikł z oczu Renarda. - Czy uwierzyłbyś, że po prostu cię lubię i chcę pomóc?

- Spróbuj innych argumentów.

- Garry, nie powinieneś być taki sztywny. Mogę ci powiedzieć, że biorę cię dlatego, ponieważ jesteś jedyną osobą, która mogłaby być moim rywalem. Mówiłem ci przedtem, że wszechświat o mnie dba i daje mi wszystko, czego chcę. To

miłe, ale czasem trochę nudne. Mam na myśli to, że wiem z całą pewnością, iż będę miał Sylwię... Nie mogę przegrać... ale kiedy ty będziesz kręcił się w pobliżu, stworzy to złudzenie konkurencji, co z kolei uczyni życie wszystkich zainteresowanych bardziej zajmującym. Jak ci się podoba ten argument?

- Brzmi dziwacznie - rzekł Dallen. - Czy w tej chwili jesteś pod działaniem felicitynu?

Renard potrząsnął głową.

- To mój naturalny sposób bycia. I nie wypuszczę cię stąd, dopóki się nie zgodzisz towarzyszyć nam w podróży na Orbitsville.

- To ograniczenie mojej wolności osobistej - Dallen uśmiechnął się uprzejmie, maskując wzrastające napięcie wywołane przez myśl, że oto może dać Renardowi w skórę. Postąpił krok naprzód, kiedy z innej części budynku dotarła do nich mieszanina dźwięków - zaskoczone głosy, nieregularne łomotanie, tłuczone szkło. Renard odwrócił się i poszedł szybko korytarzem. Dallen szedł tuż za nim. Hałas wzrastał gwałtownie, co świadczyło, że dobiega z pracowni. Powtarzający się dźwięk pękającego szkła napełnił Dallenga strasznym przeczuciem.

Wbiegł do pracowni i musiał się przecisnąć przez grupkę ludzi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wszyscy patrzyli na Sylwię, która trzymała długi metalowy pręt i poruszając nim zamasyście, niszczyła swoją szklaną mozaikę.

Po każdym uderzeniu kolejna część unikalnego dzieła pękała i opadała, a błyszczące kolorowe drzazgi rozbryzgiwały się jak kropelki wody. Uderzenia unicestwiały galaktyki i skupiska galaktyk. Sylwia pracowała jak automat, rąbała i tłukła; łkała głośno za każdym razem, gdy musiała pokonać bez-

władność ciężkiego pręta. Była blada. Ślepo, niczym Samson, patrzyła na piękno tworzonej przez nią jaskrawo kolorowej fontanny.

„Cztery lata pracy i trzysta tysięcy kawałków szkła” - Dallen wyrecytował to w myślach, jak jakąś trwożną mantrę. - „Proszę cię, nie wymazuj własnego życia.”

Chciał rzucić się i przerwać ten akt niszczenia, ale sparaliżowała go dziwna nieśmiałość, lęk przed wtrącaniem się do cudzego cierpienia. Mógł tylko stać i patrzeć, aż siły Sylwii wyczerpały się. Uniosła wysoko pręt, wykonała zamach na najwyższą część trzylistnego tworzu, ale pręt zadrżał i obrócił się w jej rękę. Sylwia musiała go wypuścić. Stała przez chwilę z opuszczoną głową, a potem obróciła się ku grupie ludzi.

- To był pomnik - wyjaśniła oszołomionym, nie swoim głosem. - Karal nie potrzebuje pomnika. On nie umarł.

Spojrzała na Dallena, dysząc ciężko i postąpiła pół kroku w jego kierunku.

- Idziesz ze mną - rzekła Libby Ezzati, występując naprzód i obejmując Sylwię po matczynemu. - Musisz położyć się na chwilę.

- Tak będzie najlepiej - zgodził się Peter Ezzati, który widocznie dopiero co wszedł do budynku.

Jego pulchne ciało opinał ciemny, oficjalny garnitur, z czarną krepową przepaską na rękawie. Ezzati stanął obok Sylwii, by pomóc wyprowadzić ją z pokoju, ale cofnął się zaskoczony, z komicznym wyrazem twarzy, kiedy Sylwia zaciśnęła palce na przepasce z krepy.

- Zdejmij to cholerstwo! - jej głos był piskliwy i trudny do rozpoznania. - Czyż nie rozumiesz? Jesteś tak cholernie głupi, że nie rozumiesz?

- Wszystko dobrze, wszystko w porządku - uspokajała ją Libby.

Z zadziwiającą siłą na wpół uniosła Sylwię z podłogi i poprowadziła ją do głównej części budynku. Dallenowi wydawało się, że oczy Sylwii ponownie szukały jego oczu, ale dwie inne kobiety pośpieszyły Libby na pomoc, otoczyły Sylwię i zasłoniły ją. Patrzył im w ślad, gdy nagle wielki szklany płatek z opóźnieniem oddzielił się od zrujnowanej mozaiki i z trzaskiem spadł na podłogę. Dźwięk ten spowodował, że świadkowie całego wydarzenia znowu zaczęli rozmawiać.

- To było widowisko, prawda? - rzekł cicho Renard do Dallenga. - Sama Elektra nie zdołałaby dać lepszego przedstawienia.

Dallen, zakłopotany nawiązaniem do literatury, pojął, że pomnikowy akt destrukcji, którego świadkami byli przed chwilą, nie zrobił na Renardzie żadnego wrażenia.

- Rick, jesteś prawdziwą chlubą rasy ludzkiej.

- Co chcesz przez to powiedzieć, staruszk?

- Że cię nie lubię i niebezpiecznie zbliżam się do punktu, w którym będę musiał podjąć w związku z tym jakieś działania.

Renard wyglądał na rozradowanego.

- A dla którego z nas miałyby to być niebezpieczne?

- Szcześliwej podróży na Orbitsville.

Dallen odwrócił się, by odejść i nieomal wpadł na Petera Ezzatego, który zdążył już usunąć wstążkę z rękawa, ale wciąż wyglądał na oszołomionego.

- Wszystko zdarza się naraz - rzekł Ezzati. - Śmierć Karala... eksperyment... Sylwia... A ja spóźniłem się, bo słuchałem wiadomości o Orbitsville. Te zielone światła naprawdę muszą



coś znaczyć, Garry. Mam w związku z nimi złe przeczucia.

- Jakie zielone światła?

Dallen czuł, że osiągnął stan nasycenia, jeśli chodzi o wchłanianie nowych informacji, ale coś w sposobie zachowania się Ezzatego skłoniło go do zadawania pytań.

- Nie słuchałeś wiadomości? Odkryli pasy zielonego światła, przesuwające się po skorupie, po obu jej stronach. Z początku myśleli, że będzie tylko jeden, ale pokazują się coraz liczniejsze, coraz częściej.

- Czy to jakiś rodzaj zjawiska jonizacji? Coś jak zorza?

Ezzati potrząsnął głową.

- Komisja Naukowa powiada, że żadne przyrządy, z wyjątkiem aparatu fotograficznego nie reagują na te pasy. Można je zaobserwować, jeśli się patrzy dokładnie na skorupę, ale to wszystko.

- Więc nie mają chyba wielkiego znaczenia.

- Chciałbym móc to skwitować wzruszeniem ramion - rzekł Ezzati nachmurzony. - Nie podoba mi się to zjawisko, Garry. Materiał skorupy był uważany za absolutnie stabilny.

- Wiesz, on na pewno nie wybuchnie.

Dallen, który urodził się na Orbitsville i przeleciał miliony kilometrów nad preriami, górami i morzami tego wielkiego globu, czuł jasno i rozumiał jego niezmiennność. Kiedy przybył na Ziemię spotykał ludzi, którzy nigdy nie odwiedzili Orbitsville, nie byli po prostu w stanie pojąć jego rozmiarów i wyobrażali go sobie jako wielki, metalowy balon. O tym, że ta wizja nie odpowiadała rzeczywistości, świadczył sposób, w jaki mówili o ludziach mieszkających „w Orbitsville”, podczas gdy ci, którzy widzieli wszystko na własne oczy, używali formy „na Orbitsville”.

Nic nie mogło zastąpić bezpośredniej obserwacji sfery z pokładu statku kosmicznego. A wystarczyło zrobić to jeden raz. Widok Wielkiego O był odstraszałający, ale w jakiś sposób uspokajał. Jeśli ktoś choć raz go zobaczył, nie mógł pozostać dokładnie tym samym człowiekiem co dotychczas.

- Nie chcę powiedzieć, że wybuchnie, ja po prostu...

Ezzati przerwał i jak ptak szarpnięciem uniósł głowę.

- Przypomniałem sobie, że muszę cię o czymś jeszcze zawiadomić. Ponieważ ostatnio nie bywasz w biurze, przypuszczam, że nie słyszałeś o Geraldzie Mathieu.

- Mathieu? - Dallen starał się mówić spokojnie. - Co się z nim stało?

- Wyruszył dziś rano na zachodnie wybrzeże, ale nie odleciał zbyt daleko: jego statek runął w dół, gdzieś koło Montgomery.

- Przymusowe lądowanie?

- Bardzo przymusowe. Analizując sposób, w jaki zniknęły jego sygnały można sądzić, że rąbnął we wzgórze.

Słowa te wywarły podobny efekt w umyśle Dallenga, jaki na kręgle wywiera kula ciśnięta z ogromną siłą: jego plany na najbliższą przyszłość rozproszyły się na wszystkie strony. Zamiast odczuwać satysfakcję na wiadomość o gwałtownej śmierci Mathieu, Dallen miał poczucie straty. To było nie fair, że człowiek, który beztrąsko zniszczył całą rodzinę, teraz uciekł tak łatwo i szybko, nie wiedząc nawet, że został osądzony i skazany, nawet nie spojrzawszy w twarz swemu katu.

- Czy są już jakieś potwierdzone...? - Dallen przełknął ślinę, aby zwilżyć wyschnięte gardło. - Czy Mathieu jest martwy?

- Uważaj, żeby Sylwia nie słyszała tutaj tego słowa

-Ezzati uśmiechnął się szeroko i poklepał Dallenga po ramieniu.

- Tu używa się terminu „bezcielesny”. Wygląda na to, że Mathieu jest tak bezcielesny jak dodo.

- To... trudno w to uwierzyć - rzekł Dallen, powoli przystosowując się do nowej sytuacji. Śmierć Mathieu uwolniła go od straszliwej odpowiedzialności; mógł teraz pomyśleć o innych sprawach, które dotychczas od siebie odsuwał.

Ezzati spojrzał na niego z pewnym niepokojem.

- Posłuchaj Garry, nie chciałem być bezceremonialny. Czy Mathieu był dla ciebie kimś bliskim?

- Niezbyt. Pójdę już do domu.

Dallen wyszedł i podążył do samochodu. Świat wokół wydawał mu się plamą drżących kolorów i parnego ciepła. I wtedy uświadomił sobie, że naprawdę zmierza do domu. On, Cona i Mikel za dużo już czasu zmarnowali na Ziemi.

## ROZDZIAŁ 13

Wszechświat był misą z czystego niebieskiego szkła.

Trzy obiekty ciśnięto do misy. Leżały teraz blisko siebie, na dnie błękitnej krzywizny. Najbardziej rzucał się w oczy obiekt owalny. Był bardzo jasny, tak bardzo, że bezpośrednie patrzenie na niego sprawiało ból. Człowiek określił ten obiekt jako pobliskie słońce. Obok znajdował się mały, blady półksiężyc, ledwo widoczny w strumieniu bombardującego go światła, i musiało to być ciało nie wysyłające własnego promieniowania: planeta lub księżyc.

Trzeci obiekt różnił się od dwu pozostałych tym, że był większy i nie miał jasno określonego kształtu. Była to mglista i wydłużona smuga bieli, ze śladami pierzastej struktury wewnętrznej. Człowiek po pewnym namyśle doszedł do wniosku, że to obłok.

To słowo wywołało szybki ciąg skojarzeń: atmosfera... wilgoć... deszcz... ziemia... roślinność...

„Żyję! ”

Ta niewiarygodna myśl spowodowała, że Mathieu w ułamku sekundy zerwał się na nogi, dysząc ciężko z przerażenia. Pobiegł kilka kroków w jednym kierunku, w drugim, w trzecim, jak dzikie stworzenie złapane w pułapkę. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy uświadomił sobie, że wszystkie niebezpieczeństwa istnieją tylko w jego umyśle, że nie grozi mu już żadne nieszczęście. Nic już więcej nie mogło się przydarzyć. Przysłonił oczy ręką i po raz pierwszy, prawie bez emocji i trzeźwo, popatrzył na zalane słońcem wzgórze.

Purpurowe i złociste szczątki statku rozrzucone były na znacznej powierzchni, a daleko po prawej znad silnika wydo-

bywały się pióropusze dymu, gdyż od silnika próbowała się zająć bujna trawa. Zaostrzony przód statku, bez kopuły kabiny, był największym fragmentem, jaki ocalał po zderzeniu. Tuż za kabiną kadłub statku przypominał pokruszone cygaro: pasy porwanej powłoki z tworzywa otaczały plątaninę pogiętych prętów, połamanych rur i pozrywanych kabli. Znacznie niżej w zboczu rysował się zadziwiająco regularny ślad w ziemi, jak gdyby jakiś gigantyczny pług zaorał krótką, prostą bruzdę.

Mathieu zaśmiał się z drżeniem, ale ten dźwięk szybko pochłonęła otaczająca cisza. Nawet on sam posłyszał w tym śmiechu szaleństwo. Spojrzał na siebie i zobaczył, że jego brązowy garnitur jest miejscami porwany i poplamiony ziemią i trawą. Pulsująca sztywność w rękach i nogach świadczyły o tym, że jest bardzo posiniaczony, że nawet za dzień czy dwa ledwo będzie mógł się poruszać, ale prócz tego, jakimś cudem, nie odniósł żadnych innych obrażeń. Raptowna słabość, wywołana raczej metafizycznym strachem niż organicznymi dolegliwościami, spowodowała, że osunął się na kolana.

„Powiniennem być martwy!”

Uświadomił sobie, że próbował popełnić samobójstwo i to zdumiało go prawie tak mocno, jak fakt, że przeżył rozbitcie samolotu. Nie wyobrażał sobie nic głupszego i bardziej bezcelowego, jak dobrowolne zakończenie życia, zwłaszcza w momencie, gdy przyszłość rysowała się tak obiecująco. Wciąż żył i mógł to wytłumaczyć jedynie w ten sposób, że w ostatnich bolesnych sekundach odzyskał równowagę psychiczną i zdążył odciągnąć do tyłu drążek sterowniczy. Ale cóż mogło skłonić go do próby samobójstwa?

W mózgu Mathieu pojawił się widmowy obraz Garry'ego Dallena: Nemesis; śniady, umięśniony, niestrudzony w pości-

gu; twarz zimna i nieubłagana, w oczach zemsta...

Czy to właśnie było przyczyną? Strach przed Garrym Dallenem, sprężony z gryzącymi wyrzutami sumienia z powodu tego, co uczynił żonie i dziecku Dallena?

Mathieu głęboko to rozważał i czuł wzrastające niedowierzanie. Bez względu na to, jak wielki odczuwał stres, musiałyby z pewnością mieć ważniejsze powody do popełnienia samobójstwa. Niepotrzebnie obawiał się Dallena, a to dlatego, że Dallen nie zdoła go skojarzyć z tym, co przydarzyło się jego rodzinie. Mathieu cały czas bardzo starannie zacierał ślady, żeby nikt we władzach nie nakrył go na upłynnianiu własności Metarządu. Na tym właśnie polegał sens starcia pamięci komputera Ministerstwa Zaopatrzenia. A skoro pamięć ta już nie istniała, Mathieu był podwójnie bezpieczny.

Prawda, nastąpił wypadek z Coną Dallen i jej dzieckiem na klatce schodowej, ale Dallen nie zdoła go z tym powiązać, a cały incydent nie był zamierzony. Po prostu pech zgromadził ich wszystkich troje w jednym miejscu w tej krytycznej chwili, a on uczynił dokładnie to, co musiał uczynić, by się chronić. To godne pożałowania, że w tę sprawę wciągniętych zostało dwoje innych ludzi, ale nie można twierdzić, że Mathieu popełnił morderstwo. W miejsce straconych osobowości pojawią się dwie nowe - w ten sposób rachunek będzie się zgadzać. Z całą pewnością nie było powodu, by Mathieu szedł przez życie obciążony wyrzutami sumienia czy poczuciem winy.

Jeśli już kogokolwiek można obciążać winą, to tych oszustów farmaceutów i ich pośredników, którzy wyznaczali tak niegodziwe ceny za drobne ilości fe...

Mathieu wstał, zanurzył rękę w wewnętrzną kieszeń i

wyciągnął złote pióro. Było nieuszkodzone. Przekręcił trzonek do specjalnej pozycji, tak by pióro mogło wydzielić magiczny atrament, zawahał się i spojrzał nachmurzony na lśniący w słońcu cylinder. I wtedy poczuł, że wewnątrz wszystko zaczyna się w nim burzyć. W jego krajobrazie umysłowym zachodziły zmiany, jakby na skutek jakiegoś kataklizmu.

Jednym ruchem rozłamał walec na połowy i cisnął daleko od siebie. Odwrócił się tak, że nie mógł dostrzec, gdzie spadły kawałki pióra i gdy pomyślał o tym, co właśnie zrobił przed chwilą, już, już spodziewał się ataku panicznego lęku. Zamiast tego poczuł miłą pustkę, całkowity brak trosk.

- Może rzeczywiście jestem martwy - rzekł głośno.

Dziwiło go własne wewnętrzne przekonanie, tak odmienne od przelotnych obietnic w przeszłości, że nigdy już nie tknie felicitynu.

Stan jego umysłu był czymś tak niespodziewanym, że Mathieu potrzebował dłuższej chwili, by to zinterpretować: nie był już uzależniony!

To uczucie pewności trwało nadal, nawet gdy przywołał sobie fakty medyczne. Wszyscy uzależnieni od tego narkotyku mieli podobne cechy osobowości i nigdy nie słyszał o przypadku samoistnej remisji uzależnienia lub porzucenia narkotyku bez pomocy lekarskiej. Całą jego przyszłość można było przewidzieć na podstawie faktu, że wisiał na haku felicitynu... ( Czy „hak” był dostatecznie obrazowy? Może lepiej byłoby „szubienica”? Albo „pal”? )... a teraz ni stąd, ni zowąd narkotyk przestał mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie...

Mathieu usłyszał prychający dźwięk z silnika samolotu i popatrzył na rozproszone szczątki. Ponownie zdziwiło go, że

udało mu się przeżyć. Kształt terenu dokładnie pasował do trajektorii statku. Dzięki temu samolot miał sekundy, a nie mikrosekundy, na wytracenie swej energii kinetycznej. Dzięki temu Mathieu przeżył. Tradycja lotnicza znała takie przypadki - podobna rzecz przytrafiła się Saint Exupery'emu w Afryce Północnej - ale Mathieu miał wciąż poczucie, że zdarzył się cud. Człowiek religijny ukląkłby i podziękował Bogu. Ale Mathieu był teraz zaprzątnięty sprawami bardziej przyziemnymi, na przykład zagadnieniem, jak długo zajmie mu powrót do Madison, aby mógł tam kontynuować ważne zajęcie: pozostawać przy życiu.

Był sam wśród morza bujnej zieleni, której odcień zmienił się na niebieskawy, het, przy przysłoniętym mgiełką horyzoncie. Teren ten, niegdyś zwany Alabamą, został zderejestrowany przed przeszło wiekiem i wyglądał obecnie tak, jakby zawsze był dziewiczy, jak gdyby pierwsze łodzie miały tu dopiero przywlec się przez Pacyfik.

Najbliższym skupiskiem ludności było prawdopodobnie samo Madison, oddalone o setki kilometrów na wschód, nie było więc sensu odchodzić od szczątków samolotu. Kiedy przestrzeń powietrzna kraju opustoszała, przestano używać sprzętu kontrolującego ruch, a wprowadzono system, wykorzystujący komputery pokładowe samolotów. Komputer Departamentu Transportu w Madison będzie wiedział o wypadku prawie natychmiast i, teoretycznie, zespół ratunkowy powinien już znajdować się w drodze.

Mathieu doszedł do wniosku, że lekkie ćwiczenia podczas oczekiwania na pomoc dobrze mu zrobią i zaczął spacerować po zboczach pagórka. Przeszedł zaledwie kilka kroków, kiedy uwagę jego przyciągnęła pulsująca plamka rubinowego



światła, która ukazała się nisko nad horyzontem na wschodzie. Były to światła samolotu, który leciał chyba w jego kierunku.

Mathieu obserwował nadlatujący pojazd przez minutę, a może nieco dłużej, zanim się zorientował, że to statek ratunkowy.

Ten fakt był dla niego nowym szokiem z serii, która zdawała się nie mieć końca. Założył uprzednio, że skoro tak dobrze się czuje, to został jedynie lekko oszołomiony w czasie wypadku. Jednak przybycie pojazdu ratunkowego sugerowało, że musiał być nieprzytomny dość długo, może nawet całe pół godziny. Zatem powinien mieć mdłości i ostry ból głowy - wnioskował na podstawie swych, powierzchownych wprawdzie, wiadomości z medycyny. Niesłuchanie ostrożnie obstukał swoją czaszkę, oczekując, że być może znajdzie poważną, acz niedostrzeżoną wcześniej ranę. Przekonał się jeszcze raz, że nie odniósł większych obrażeń.

Statek nadleciał szybko i z hałasem. Momentalnie opadł, zatrzymał się na wysokości jakichś pięćdziesięciu metrów i zszedł pionowo na wyjących silnikach odrzutowych. Jego przysadzisty kadłub jeżył się od dźwigów i innych urządzeń ratowniczych. Trawa pochylała się koncentrycznie od miejsca lądowania, nim zgasły silniki, a potem drzwi w brzuchu statku rozsunęły się, wyskoczyli z nich czterej mężczyźni i ruszyli biegiem ku Mathieu. Jeden z nich niósł nosze.

Mathieu pomachał jakoś niezręcznie i mszył im naprzeciw. Tłumił duszący go śmiech, widząc ich wybałuszone oczy i rozdziawione z osłupienia usta.

Była to pierwsza wódka, jakiej Mathieu próbował od miesiący, i uznał, że jest niezwykle dobra. Łykał raz za razem

nierozcieńczony trunek, rozkoszując się jego ciepłem i smakiem, i patrzył jak w dole, pod statkiem ratowniczym, przesuwa się krajobraz.

Medycy zbadali go wcześniej przenośnymi skanerami i stwierdzili, że nie ma wewnętrznych obrażeń, nastawali jednak, by podróż powrotną do Madison spędził na koi. Jednakże w końcu ustąpili i pozwolili mu zająć fotel pasażera z tyłu kabiny. Siedział tam w samotności, jak jakiś księżę. Medycy i spece od ratownictwa zgromadzili się na przedzie i rzucali na niego co chwila przelotne spojrzenia, nadal zaszokowani faktem, iż Mathieu żyje.

Wódka podziałała na Mathieu odprężająco. Dla zabawy wyobrażał sobie, jak lekarze przyjęliby wiadomość o następnym cudzie, tym prywatnym. Od chwili, gdy odzyskał przytomność na zboczu pagórka upłynęła prawie godzina, ale jego nowa postawa w stosunku do felicitynu nie uległa zmianie. Po prostu wiedział, że jest wolny od nałogu, który tak groteskowo zaburzał mu życie i teraz wszystko wydawało się możliwe...

Drzwi do kabiny pilotów rozsunęły się i wyszedł z nich mężczyzna z radiotelefonem. Wręczył go Mathieu, informując, że dzwoni Burmistrz Bryceland, i wrócił na miejsce. Bryceland już coś mówił, kiedy Mathieu podniósł aparat do ucha.

- ... dyna rzecz, która się liczy to to, że nic ci się nie stało, Gerald. To się rozumie samo przez się. To ogromna ulga dla nas wszystkich, że jesteś zdrow i cały. Mój Boże, to znaczy... Kiedy usłyszałem, że statek się rozbił!

- Usłyszałeś dobrze, Frank - powiedział spokojnie Mathieu, zgadując prawdziwą przyczynę rozmowy. -Statek już nie istnieje.

- Ale jeśli jesteś tylko posiniaczony...

- Miałem ogromne szczęście, Frank. Nic mi się nie stało, ale statek to teraz tylko metalowe confetti - Mathieu przerwał, wyobrażając sobie konsternację na pulchnej twarzy burmistrza i postanowił trochę mocniej docisnąć śrubę. - Bardzo się cieszę, że nie stało się odwrotnie.

- Ja też. To się rozumie samo przez się. Nie chcę cię przynaglać, Gerald, ale chłopcy z Departamentu Ubezpieczeń już mnie przyciskają... Czy zawiodło sterowanie?

- Nie. Zasnąłem.

- Więc musiał zawieść autopilot.

- Nie. Wyłączyłem go.

- Och! - Nastąpiła następna pauza, a kiedy Bryceland znów się odezwał, w jego głosie pojawił się wyraźny chłód. - To nie było zbyt mądre, prawda?

- To było cholernie głupie. W gruncie rzeczy po prostu samobójcze.

Bryceland westchnął głośno.

- Gerald, to brzmi tak, jakbyś tym wszystkim doskonale się bawił.

- Bawię się doskonale. - Mathieu łyknął trochę wódki. - Jestem w siódmym niebie, popijam bezpłatną wodę i śmieję się do rozpuku z tego całego wypadku.

- Przyjmuję, że to na skutek szoku mówisz w ten sposób.

- To nie szok, to myśl o tym, że przez jakiś czas będziesz musiał poruszać się piechotą, jak zwykły śmiertelnik. To właśnie wprawia mnie w nieopanowany śmiech, Frank.

- Rozumiem - stwierdził ponuro Bryceland. - Cóż, prawdopodobnie nim dotrzesz do biura, będę miał dla ciebie nowiny na temat twojego statusu zatrudnienia, co cię trochę ostudzi.

- Dlaczego sądzisz, że jeszcze kiedykolwiek wrócę?  
-Mathieu przerwał połączenie i odstawił telefon, świadomy faktu, że praktycznie zerwał ze swoją pracą.

Rozmyślał chwilę i upewnił się, że nie odczuwa żalu z tego powodu. Jeszcze niedawno zapowiedź zwolnienia przeraziłaby go, ale obecnie przyjął ją bez wrażenia. Zdał sobie sprawę, że to dodatkowy skutek jego przemiany. Nie potrzebował już ani tej pracy, ani okazji do lewych zysków, ponieważ nie potrzebował już felicitynu. Ale co będzie, jeśli ten brak zainteresowania narkotykiem okaże się jedynie przejściowy jak to już wcześniej się zdarzało? Co będzie, jeśli jest to tylko wynik jakiejś złożonej reakcji na tamten przelotny kontakt ze śmiercią? Jeśli to nastawienie zniknie po paru godzinach?

Wątpliwości te były uzasadnione i w tym momencie jego układ nerwowy próbował panicznie zareagować, ale to minęło. Tak jakby młoteczek dzwonka alarmowego poruszył się przez chwilę, a potem znieruchomiał. W Mathieu zwyciężyła wewnętrzna pewność. A doszło też jeszcze coś nowego.

„Nic nie trzyma mnie na Ziemi” - myślał Mathieu. -„I już nie boję się jechać na Orbitsville.”

Pomysł powrotu do miejsca urodzenia wydawał się dziwny, być może najbardziej niezwykły z tego ciągu wewnętrznych przemian, jakie Mathieu dziś przeżył, a jednak zawierał niezwykłą pokusę. Był to pomysł jedynie słuszny, jakby zrodzony po felicitynie. Życie Mathieu na Ziemi stanowiło miniaturowe odbicie dziejów tej planety, historię marnotrawstwa, niepowodzeń i jałowych działań, historię, którą należało szybko zakończyć.

Być może podróż na Optima Thule będzie dla niego tym, czym stała się dla całej rasy ludzkiej: odrodzeniem, radykalną

zmianą kierunku rozwoju, odwróceniem się od ciemności ku światłu.

Mathieu podjął decyzję natychmiast.

Odstawił szklanke, nie zainteresowany dłużej jej wartością. Wybierał się na Orbitsville i chciał wyruszyć natychmiast, ale istniało kilka problemów praktycznych. Rozsądnie byłoby naprawić w miarę możliwości stosunki z Burmistrzem Brycelandem, odejść przyzwoicie, po zwyczajowym trzymiesięcznym okresie wypowiedzenia, i w końcu udać się na Orbitsville z sutą odprawą przelaną na konto. Jednak dla człowieka, będącego w takim nastroju jak Mathieu obecnie, podejście to wydawało się niedopuszczalnie wolne. Ten nowy przyływ energii był dla niego dodatkowym dowodem, że skończył już z Ziemią i z tego powodu powinien wyruszyć natychmiast. Znaczyło to, że będzie musiał iść na skróty.

Przechylił się w fotelu, patrząc niewidzącymi oczyma na przepływający poniżej krajobraz, i myślał o czekających go problemach. Statki z Ziemi w kierunku Optima Thule startowały każdego dnia, a ponieważ ruch turystyczny malał, były miejsca dla pasażerów. Trudności polegały na czym innym. Mathieu miał tylko niewielką rezerwę gotówki i jeśli porzuci pracę, będzie pozbawiony pewnych korzyści, a równocześnie dostęp do innych będzie utrudniony. Oznaczało to, że jest przyparty do muru i będzie musiał zapłacić pełną cenę niesubsydio-wanego biletu. Dodatkowych utrudnień należało oczekiwać ze strony Burmistrza Brycelanda, który nie zgodzi się, by Mathieu wyjechał przed przybyciem następcy i dlatego uczyni wszystko co w jego mocy, by zablokować załatwianie formalności potrzebnych przy podróży statkiem Metarządu.

Mathieu potrzebował kogoś, kto władał środkami

transportu na Orbitsville i jednocześnie winien mu być grzeczność. Wieloletnia pogoń za forszą doprowadziła do tego, że Mathieu znał wielu ludzi. Niektórzy z nich byli dość dżiwaczeni, ale mało kto dysponował prywatnymi lub wyczarterowanymi statkami. Jest jednak ktoś taki - kwestia odnalezienia właściwej informacji w pamięci - a tym kimś jest...

Mathieu chrząknął z zadowolenia, natychmiast udało mu się przypomnieć właściwe nazwisko: Rick Renard, botanik-playboy. Podobno spokrewniony z legendarną rodziną Lindstromów i dlatego Mathieu wielokrotnie okazywał mu wyjątkową pomoc. Do świadczonych grzeczności należało między innymi ominięcie ograniczeń importowych na szykowny samochód „Rollac”, jak też wydanie pozwolenia na wykorzystanie państwowych domów towarowych na czasowe przechowywanie próbek botanicznych. I, co wyglądało na zrzucenie Opatrzności, Renard miał wkrótce odlatywać na Orbitsville.

„Znalazłem sposób” - myślał Mathieu. Sięgnął po radiotelefon, nie mogąc powstrzymać się od rozpoczęcia natychmiastowych, konstruktywnych działań. - „Wreszcie wracam do domu.”

## ROZDZIAŁ 14

Dopiero gdy samochód po raz drugi otarł się o krawężnik, Dallen zrozumiał, że jest przemęczony i nie powinien dalej kierować pojazdem.

Zahamował i zjechał na bok przy jednej z najspokojniejszych alei Północnego Wzgórza. Kiedy wyłączył silnik, samochód zadrżał lekko. Dallen wydobyl fajkę z kieszeni marynarki, napełnił ją żółtymi i czarnymi pasemkami i ugniótł je palcem, patrząc gdzieś daleko przed siebie. Za każdym razem kiedy odwiedzał Londonów, jego wizja świata jakby poszerzała się, ale po ostatniej wizycie nie znajdował w sobie więcej miejsca, by jeszcze coś wchłonąć. Tak wiele nowych spraw dobijało się o jego uwagę, że nie był zdolny skupić się na którejkolwiek z nich.

„Narzuć sobie jakiś porządek” - powiedział do siebie. - „Myśl strukturalnie”.

Zadanie wydało mu się niemożliwe. Siedział w słońcu, w swoim samochodzie ze szkła i metalu, i potrafił jedynie zauważyć pewną symetrię.

Karal London był martwy - ale Karal London nie mógł być martwy, stał się tylko bezcielesny. Jego fantastyczny eksperyment miał głębokie znaczenie dla religii i filozofii, a jednak wydawało się, że na sferę emocjonalną nie wywiera on większego i bezpośredniego wpływu. Świadczyła o tym reakcja Sylwii; śmierć była Śmiercią, bez względu na to, co głosił chłodny intelekt; kobiety i mężczyźni wciąż, jak dawniej, będą opłakiwać zmarłych. Zanim nadejdzie era wesołych pochówków czy radosnych kremacji, zanim London będzie czczony jako człowiek, który przydał radości pogrzebom, rasa ludzka

będzie musiała do głębi zaakceptować podstawy nauki o mindonach.

Gerald Mathieu był martwy - ale Gerald Mathieu nie mógł być martwy, tylko bezcielesny. Jakie miało to znaczenie dla Dallena osobiście? Strumień fotonów z pojedynczej żarówki w laboratorium Londona przyniósł wieść, że również Mathieu rozpoczął życie pozagrobowe i będzie może trwał wiecznie jako istota mindonowa. Czy oznaczało to, że cały projekt egzekucji załamał się?

Być może zadośćuczynieniem byłoby wykonanie kary tą samą metodą, jaką została popełniona zbrodnia, i zlikwidowanie fizycznego mózgu Mathieu Ludysterem, tak by jego mindonowy odpowiednik rozproszyły wiatry, jeśli takowe wieją w pozawymiarowym eterze. Ale teraz było już za późno, aby nawet myśleć o tym.

W każdym razie z życia Dallena usunięty został dominujący element zemsty i powstałą próżnię zaczynały wypełniać uczucia skierowane ku Sylwii London. Sylwia miała zamiar jechać na Orbitsville i - następną symetria - on też się tam wybierał...

Czuł, że jego myśli znów zaczynają błędzić i postanowił skupić się na przygotowaniach do wyjazdu na Wielkie O. To był konkretny fakt, związany ze sprawami praktycznymi i całą chmarą drobniejszych decyzji. Mógł na przykład pójść natychmiast do Ratusza, zaaranżować przeniesienie na Orbitsville następnym lotem rozkładowym i opróżnić swoje biurko. Dobry, jasno określony, krótkoterminowy cel. Sposób na uspokojenie umysłu i jednocześnie na opóźnienie chwili, kiedy będzie musiał wrócić do domu i znowu wziąć na swoje barki brzemień opieki nad Coną.



Podjąwszy decyzję Dallen odkrył, że zapomniał zapalić fajkę. Schował ją z powrotem do kieszeni, włączył magnetyczny silnik i zjechał ze Wzgórza, ku centrum Madison. Pasy cienia, jaki dawały przydrożne drzewa, na przemian ze smugami światła słonecznego, bezgłośnie, coraz szybciej, smagały samochód. O tej porze po południu ruch był niewielki i po niecałych dziesięciu minutach Dallen dotarł do Ratusza i zaparkował przy głównym wejściu.

Poszedł prosto do swego gabinetu i zatrzymał się, kiedy na drzwiach zobaczył plakietkę z nieznanym nazwiskiem. Brzmiało ono: M. K. L. BYROM. Dallen zapomniał, że na jego stanowisko powołano zastępczego urzędnika Czwartej Grupy, który przybył tu z Winnipeg. Zastukał i wszedł do gabinetu nie czekając na zaproszenie. Zdziwiony ujrzał Jima Mellora, swego pierwszego zastępcę, usadowionego za wielką konsolą komunikacyjną. Normalnie Jim przebywał w centrum operacyjnym.

- Garry! - Mellor uśmiechnął się. Uniósł swoją bocianią figurę z fotela i uściśnął dłoń Dallena. - Co tutaj robisz?

- To ja powinienem cię o to zapytać. Czy to awans?

- Nie ma szans. Przyszedłem, żeby przez chwilę popilnować interesu.

- Cóż, wpadłem tylko, by kogoś zawiadomić, że rzucam tę pracę i wracam do domu pierwszym wolnym statkiem. Czuj się zawiadomiony.

- Domyślałem się, że wcześniej czy później to zrobisz, ale powinieneś szepnąć słówko Kenowi Byromowi.

- Nie mam już czasu na więcej biurokracji. Dlaczego nie mógłbyś przekazać mu tej dobrej nowiny w mym imieniu?

- Wiesz, Garry, droga służbowa obowiązuje. Prócz tego on chce zamienić z tobą kilka słów.

- Na jaki temat?

- Ken lubi, gdy postępuje się zgodnie z instrukcjami. Wciąż jest niespokojny w związku z tą bronią, którą zgubiłeś w Cordele - nie mówiąc już o tym statku, który wzięłeś, choć oficjalnie nie miałeś służby.

- Powiedz mu, żeby... - Dallen spojrzał uważnie w wąską twarz mężczyzny. - Czy przypadkiem mnie wtedy nie podpuściłeś, napomykając mi o Beaumoncie?

- Ja! - Mellor był oburzony. - Nikogo nigdy nie podpuszczam, przynajmniej ostatnio.

- Jesteś jednym z ludzi, których mi będzie brakowało - rzekł Dallen, przelotnie ściskając jeden ze zwęż-lonych bicepsów Mellora. - Teraz zabiorę kilka rzeczy z mego biurka i...

- Ken to już za ciebie zrobił - Mellor otworzył szafkę, wyjął dużą pękatą kopertę i wręczył ją Dallenowi. - Sądzę, że chce otrzymać stały przydział do Madison.

- Niech mu idzie na zdrowie. A dlaczego go tu nie ma?

- Poszedł z grupą innych na śródmiejskie lotnisko zobaczyć Geralda Mathieu.

- Mathieu? - Ton i treść usłyszanej właśnie wiadomości rozbłysły jakby w mózgu Dallena.

- Taa. Wiesz, co mu się przydarzyło?

- Słyszałem o tym.

- Niesamowita rzecz! Dlatego właśnie nikogo tu nie ma. Wszyscy musieli sami to zobaczyć.

Dallen zastanawiał się nad pierwszym obrazem, który nasunął mu się po słowach Mellora: duża grupa normalnych ludzi pobiegła przez miasto, by oglądać plastikowy worek pełen krwawych tkanek i połamanych kości. Tę wizję musiał odrzucić. Istniała też inna niewiarygodna możliwość, wprowadza-

dzająca dodatkowy zamęt w jego nieuporządkowanych myślach. Gerald Mathieu był wciąż żywy! Wciąż żywy! Dallen nagle poczuł się podle stłamszony, jak bokser rzucony na liny.

Udawał, że sprawdza zawartość swojej koperty.

- Szczęśliwy przypadek, prawda?

- Szczęśliwy przypadek! - Mellor zamachał rękami, protestując przeciw nieodpowiedniości tego określenia.

- Walnął w pagórek z szybkością tysiąca kilometrów na godzinę! Ze statku została sieczka, ale Mathieu wyszedł z niego tylko trochę posiniaczony. Co za facet!

- Kabina musiała pozostać w jednym kawałku.

- Taa, kabina musiała być w jednym kawałku, ale reszta statku... Hej, Garry, nie masz nic przeciwko Mathieu, prawda?

- Oczywiście, że nie. Dlaczego pytasz?

- Nic takiego. Po prostu sposób, w jaki...

- Zobaczymy się jeszcze, Jim.

Dallen wyszedł z gabinetu i stał przez chwilę w głuchoj ciszy korytarza, próbując zebrać myśli. Wszystko znów się zmieniło. Była to doskonała ilustracja mocnego związku, jaki łączy myśliwego i zwierzynę, zmuszając go do naśladowania, z coraz większą precyzją, każdego skrętu i nawrotu, aż pogoń osiągnie swój punkt szczytowy. Jego życie nie będzie już nigdy do niego należało, dopóki Mathieu nie zginie. To zaś oznaczało dla Dallenga - chociaż bardzo mu się to nie podobało - opóźnienie powrotu z rodziną na Orbitsville.

Pierwszym rozsądnym krokiem w nowej sytuacji byłoby wycofanie ustnej rezygnacji, ale nie miał nastroju, by ponownie natychmiast rozmawiać z Mellorem. Mellor nie był człowiekiem szczególnie wrażliwym, ale wyczuł odrazę Dallenga, gdy ten słyszał, jak o Mathieu mówi się z podziwem. To błąd

ze strony Dallenga i musi na takie sprawy zwrócić szczególną uwagę, jeśli - a było to całkiem prawdopodobne, zważywszy, że większość ludzi zachowuje się irracjonalnie - Mathieu zostanie wyniesiony do rangi lokalnego bohatera z powodu swego zadziwiającego szczęścia. Ważne, żeby Dallen nie okazywał żadnej wrogości w stosunku do Mathieu, by nie okazywał mu specjalnego zainteresowania. Ale też nie powinien wykazywać również szczególnego braku zainteresowania... A może jego sposób myślenia stawał się zbyt zawikłany i obsesyjny?

Nachmurzony, głęboko oddychając, by ulżyć narastającemu ciśnieniu w czaszce, Dallen poszedł wolno korytarzem do windy, która zjeżdżała do głównej części recepcyjnej budynku. Dawniej poszedłby skrótem przez północną klatkę schodową, ale tę drogę pokazał Conie i w rezultacie ona i Mikel zostali... Z wysiłkiem powrócił myślami do teraźniejszości i wtedy otworzyły się przed nim drzwi. Wyskoczył z nich Vik Costain, osobisty asystent Burmistrza, i omal nie zderzył się z Dallengiem.

- Tak mi przykro - wykrzyknął Costain swoim pedantycznym tonem. Na jego szarej twarzy widać było zdenerwowanie, a na łysej czaszce połyskiwały krople potu.

- Powinieneś trochę zwolnić - rzekł Dallen - albo zaopatrzyć się w radar osobisty.

- Oszczędź mi swoich dowcipów, Garry. To było najgorsze popołudnie w ciągu całych trzydziestu lat, odkąd tu pracuję.

- Frank daje ci w kość?

Costain skierował na moment oczy do góry.

- Między nim i tym cholernym Beau Brummelem...

- Kim?

- Młodym Mathieu. Przez ostatnią godzinę toczyli bój przez radiotelefon, a ja jestem dokładnie w środku wszystkiego i nie ma nikogo, kto by wykonywał tę cholerną robotę. Przypuszczam, że słyszałeś ostatnie nowiny o Mathieu?

Dallen kiwnął głową.

- Pan Niezniszczalny.

- Nie o tym - rzekł niecierpliwie Costain. - Przed chwilą rzucił pracę bez wypowiedzenia, a to przerzuca jego robotę na Franka i na mnie. Frank jest wściekły.

- Wyobrażam to sobie - rzekł Dallen - myśliwy, znów czując myśliwskie przyśpieszenie tętna, gdy trop skręca gwałtownie. - Co Gerald ma zamiar ze sobą zrobić?

- Orbitsville. Twierdzi, że wylatuje natychmiast, korzystając z jakiegoś specjalnego rejsu. Czy słyszałeś kiedyś coś o tym Renardzie?

- Renard?

Dallen poczuł chorobliwą satysfakcję, tajemną, upajającą radość, która narastała w nim, kiedy wyobraził sobie, jak przebywa w pobliżu Mathieu przez prawie tydzień w sztucznym środowisku statku kosmicznego. Tyle niebezpiecznych komplikacji, tak wiele pułapek dla nieostrożnego, i na tyle sposobów może człowiek spotkać swoją przedwczesną śmierć...

- W gruncie rzeczy - powiedział spokojnie - Rick Renard i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Tak się składa, że myślałem o powrocie do domu razem z nim na tym samym statku.

## ROZDZIAŁ 15

Statek Renarda oddzielił się od Pierwszego Pierścienia Polarnego i zaczął długą wspinaczkę na brzeg przestrzeni międzygwiazdnej.

*Dziób Jastrzębia* miał prawie pół wieku. Był to frachtowiec do przewożenia ładunków masowych, zbudowany w czasach, gdy technika kosmiczna stała jeszcze wysoko. Miał klasyczny kształt, zaprojektowany przez historyczną Kompanię Lotów Kosmicznych: trzy jednakowe cylindry, połączone równolegle, środkowy wysunięty do przodu o prawie połowę długości. Sterownia, pomieszczenia mieszkalne i ładownia znajdowały się w środkowym cylindrze; cylindry zewnętrzne mieściły silniki termojądrowe i pompy strumieniowe oraz generatory krzywizny przestrzeni, które włączano tylko przy wyższych szybkościach. Ponieważ potężne pola magnetyczne tworzone przez pompy, wirując, odstawały na bok od kadłuba, ten typ statków nazywano potocznie skrzydło -migaczami, chociaż była to nazwa myląca. Pola spełniały funkcję niematerialnych czerpaków, które zbierały materię międzygwiazdną i wykorzystywały ją jako masę odrzutową.

Kiedy *Dziób Jastrzębia* oddalał się po spirali od orbity okołoziemskiej, w Kosmosie panowała sprzyjająca pogoda. Wielkie fale cząstek energii powstałych w sercu Galaktyki, przetaczały się przez Układ Słoneczny. Te bryzgi szybkich cząsteczek - dla statku kosmicznego miały one takie samo znaczenie jak wiatr, prądy i przyływy dla żaglowców - dostarczały bogatego paliwa silnikom i pozwalały osiągnąć przyśpieszenie większe od 1 g.

Dawniej, w pierwszym stuleciu podróży międzygwiazd-

nych, statki musiały osiągać wstępną szybkość około pięćdziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę, zanim mogły wejść do obszaru paradoksalnego, gdzie rządziły prawa Arthura, matematyka kanadyjskiego, i gdzie nie włądały już einsteinowskie zasady dotyczące czasoprzestrzeni. Arthuriańska fizyka umożliwiła statkom przebywanie odległości między Ziemią a Orbitsville zaledwie w cztery miesiące, niemal bez relatywistycznej dylatacji czasu. Ale nawet ta zawrotna szybkość nie wystarczała na potrzeby Migracji. Dzięki długoletnim doświadczeniom i genialnej myśli, wspartej obliczeniami komputerowymi, znaleziono rozwiązanie: praca w trybie tachjonowym. Tryb ten, określony przez jednego z ortodoksyjnych teoretyków jako „oszukańcza księgowość zastosowana do przekształceń masy i energii”, skrócił czas przelotu przeciętnie do sześciu dni.

To już nie było długo, jakkolwiek by na to patrzeć, i Dal-len właśnie się nad tym zastanawiał stojąc w galerii widokowej statku i obserwując system Ziemia - Księżyc, który stawał się coraz mniejszy i coraz bardziej podobny do gwiazdy podwójnej. Ruch przeciwko Geraldowi Mathieu trzeba będzie wykonać jak najszybciej.

Przed wyjazdem z Madison Dallena zbyt pochłaniało likwidowanie swoich spraw, by wiele rozmyślać o przyszłej podróży. Oczekiwał jednak, że będzie ona pod wieloma względami podobna do oceanicznego rejsu w starym stylu. Wyobraził sobie Renarda siedzącego wieczorem na najważniejszym miejscu przy kolacyjnym stole z Sylwią

London przy boku. Spodziewał się, że Renard wykorzysta przewagę towarzyską, jaką dawała mu pozycja pracodawcy - dobroczyńcy. Wizja taka wynikała z niewiedzy na temat

warunków panujących na frachtowcach i z założenia, że Renard będzie posiadał despotyczną władzę nad wszystkim, co dzieje się na statku.

W rzeczywistości można było odnieść wrażenie, że Renard spędza większość czasu na zajadłych kłótniach z kapitanem frachtowca, Larsem Lessenem, posępnym, pięćdziesięcioletnim mężczyzną o wypukłym, gołęmbim torsie. Jak się okazało, Lessenowi zapłacono ryczałtem za najęcie załogi i poprowadzenie statku. Był on jednak wyraźnie niezadowolony z obrotu spraw.

Przed czterdziestu laty *Dziób Jastrzębia* doleciałby do Orbitsville prawie automatycznie. Obecnie wielu ludzi musiało konserwować niezliczone systemy statku. Wypłaty za godziny nadliczbowe zżerały dochody kapitana. Niezadowolony, wypowiedział wojnę psychologiczną Renardowi - na przykład bardzo często zmuszał go do podejmowania drugorzędnych decyzji. Ku zdziwieniu Dallena, Lessen zdawał się wygrywać w tej wojnie. Jeszcze jedno potwierdzenie korzyści, jakie daje gra na swoim boisku.

Zamiast salonu, jaki wyobrażał sobie Dallen, statek miał obszerną kantynę, ale trzydziestoosobowa załoga zazdrośnie strzegła prawa do korzystania z niej. Od dziesięciu dodatkowych pasażerów zwerbowanych przez Renarda oczekiwano, że będą używali automatów wydających posiłki i jedli w swoich pokojach. Pokoje te były prefabrykowanymi kabinami. Ustawiono je w niepełny okrąg na Pokładzie 5, tym właśnie, który znajdował się bezpośrednio nad przepastną studnią ładowni.

Te warunki niezbyt sprzyjające życiu towarzyskiemu, były dla innych nieprzyjemną niespodzianką. Dallenowi jed-



nak odpowiadały, gdyż Cona źle znosiła podróż kosmiczną. Już podczas przejazdu promem na statek dostała ataku hysterii i trzeba było jej podać silne środki uspokajające, a obecnie nie-dobrze się czuła zamknięta w kabinie, którą dzieliła z Dallenem i Mikelem. Dallen mógł opanować sytuację tylko w ten sposób, że podawał jej neuroleptyki zapisane przez Roya Picciano, które na żądanie Dallenga zawierały składnik skutecznie tłumiący libido.

Mikel szybko stawał się normalnym z wyglądu niemowlakiem. Bawił się z zamięłowaniem swymi miniaturowymi pojazdami i wykazywał widoczną radość na widok ojca. Dallen ciągle jednak nie był w stanie szczerze odpowiadać na tę dziecięcą radość. Często przeklinał siebie za ten oziębły dystans, ale nadal prześladowało go poczucie, że los to komiwojazer, który próbuje podsunąć mu gorszy produkt zastępczy.

Historia o tym, co przydarzyło się jego rodzinie, szybko rozeszła się wśród załogi *Dziobu Jastrzębia*. Wywołała ona współczucie, bez którego Dallen mógłby się doskonale obejść, miała jednak ten pozytywny skutek, że cztery kobiety z sekcji inżynierskiej podjęły się opieki nad dzieckiem. Dallen przyjął to z wdzięcznością, świadom, że choć inni mężczyźni gotowi są szczerze współczuć komuś takiemu jak on, to jednak tylko kobiety śpieszą z praktyczną pomocą, która ułatwia codzienne zmagania. Dallenowi pozwalało to z kolei wykonywać jego część pracy przy tacach z trawą oraz dawało mu trochę czasu na kontakty z towarzyszami podróży.

Pierwsze spotkanie na statku z Geraldem Mathieu mogłoby stanowić ilustrację układowej nieporadności i nieumiejętności nawiązania kontaktu. Miało miejsce na wąskim pasie pokładu między kabinami i otchłanią ładowni. Nie widać było

innych ludzi i kiedy tak obydwaj zbliżali się do siebie, Dallenem niemal całkowicie zawładnęła obsesyjna chęć, by wykorzystać okazję i jednym aktem pierwotnej przemocy zakończyć to swoje złowrogie i nienaturalne powiązanie z tamtym mężczyzną. Przez krótką chwilę błysnął mu pomysł, który wydawał się niemal wykonalny: jeden chwyt zapaśniczy i przerzut, ciało spadające w morderczą, najeżoną stalowymi kolcami głębinę. Po prostu nieszczęśliwy wypadek...

„Ale jaki wypadek? ”

Poręcz zabezpieczająca sięgała aż do piersi i Dallen w żaden sposób nie potrafił wymyślić, jak w takiej sytuacji jeden człowiek mógłby ulec śmiertelnemu wypadkowi, a drugi wyszedłby z tego całkowicie wolny od podejrzeń o zabójstwo. A potem, nagle, stosowny moment minął i nie można już było wykorzystać tej okazji. To tak, jakby ciężkie koło zatrzymało się i po chwili trzęsąc się i wibrując potoczyło się w innym kierunku - a teraz Dallen miał przed sobą problem, jak zwrócić się do osoby, która dla niego była już chodzącym trupem.

- Cześć, Gerald - powiedział z uśmiechem, rzucając spojrzenie na spartańską prostotę otoczenia. - Chcesz dołączyć do buntu?

Mathieu spojrzał mu prosto w oczy.

- Za takie gadanie można zawisnąć na rei, panie Christian.

„Christian? ” - pomyślał zbity z tropu Dallen. - „Muszę zacząć czytać książki, jak namawiała mnie Cona”.

Zanim zdołał obmyślić odpowiedź, to dziwne banalne zdarzenie dobiegło końca i Mathieu zaczął zmierzać ku przejściu między dwiema kabinami. Matowe, przyćmione światło lamp odbijało się od jego gładko zaczesanych, jasnych włosów.

Mathieu miał na sobie nieskazitelne srebrnoszare wdzianko - tak sobie chyba wyobrażał ubranie odpowiednie do pracy fizycznej - i wyglądał równie spokojnie i elegancko jak zawsze, ale Dallen zauważył w jego wyglądzie jakby pewną zmianę. Czy spojrzenie Mathieu nie stało się przypadkiem bardziej twarde i zimne? Czy było to typowe dla osoby będącej pod stałym wpływem felicitynu, czy może też potyczka ze śmiercią - wszyscy świadkowie twierdzili, że miał niesamowite szczęście - zmieniła w jakiś głęboki sposób jego charakter?

„To nie ma znaczenia” - powiedział sobie Dallen, odrzucając przypuszczenie, które rodziło się w jego mózgu, że Mathieu stawał się właśnie inną osobą, kimś, kto być może nie zasługiwał na przygotowany dla niego los. Dallen w ogóle nie darzył względami wszelkiego typu zbrodniarzy stosujących przemoc, ale najbardziej nie cierpiał tych, którzy mordowali niewinnych ludzi, a potem, gdy ich odwołania od wyroku skazującego wędrowały przez instancje, pisali książki lub holo-dramaty o świętości ludzkiego życia. Odmawiał Mathieu prawa do wyroku: „niewinny z powodu zmartwychwstania”. Najważniejsze, żeby sprawy życia i śmierci, zbrodni i kary, grzechu i odkupienia zachowały swoją dawną przejrzystość. Już i tak dostateczną komplikację wprowadziło do jego myśli doświadczenie Karala Londona.

Dallen nie miał żadnego powodu, żeby łączyć ze sobą Mathieu i Londona, ale w jego myślach przedziwnie nakładali się oni na siebie, jak ongiś podwójne obrazy stereoskopowe, z których każdy miał swój wkład w uzyskaniu pełnego trójwymiarowego wizerunku. London nauczał, że po śmierci nadchodzi nowe życie. Mathieu już odegrał swój własny mały skeczyk na ten temat - Dallen wciąż pamiętał, jaki szok stano-

wiła dla niego wiadomość o jego „śmierci” i powrocie do życia. Rozmyślał często nad filozoficznymi konsekwencjami tych zdarzeń i było m. u coraz trudniej jasno oceniać tragedię swojej rodziny.

Jeśli przyjmiemy, że nie istnieje taka rzecz jak śmierć w poprzednim sensie tego słowa, to czy egzekucję można nadal traktować jako karę? Jakaż to może być kara, skoro jest to tylko przyspieszenie nadejścia następnej fazy w życiu złoczyńcy? I skoro już o tym mowa: czy morderstwo jest w ogóle poważną zbrodnią, jeżeli znaczy ono tylko, że ofiara została wprowadzona w swoją własną nieśmiertelność?

„To nie ma znaczenia” - powtarzał sobie Dallen. Był wściekły, że w jego umyśle nastąpił zamęt po tym pozornie łagodnym spotkaniu z Mathieu. Wrócił do kabiny i przez pewien czas przeglądał zawartość małej torby podróźnej, którą na własny użytek ochrzcił mianem ekwipunku kata.

Torba zawierała mnóstwo rzeczy: noże, druty, pojemniki z narkotykami, zebranymi prawie przypadkowo. Każda z tych rzeczy, w odpowiednich okolicznościach mogła stać się dyskretnym narzędziem morderstwa. Dallen nie miał jeszcze żadnego planu, ale jakiś ciemny instynkt wciąż przyciągał jego uwagę do przedmiotu, który wyglądał najbardziej niewinnie z całego zestawu: miniaturowemu pojemnikowi farby w sprayu, zabranemu z warsztatów zakładów transportowych w Madison.

\*

Pierwsze podczas lotu spotkanie z Sylwią London było, dla Dallena, równie mało satysfakcjonujące.

Nie widział jej od czasu, gdy dokonała katartycznego

aktu zniszczenia szklanej mozaiki w swym domu, ale wiedział, że w podróży towarzyszą jej dwie funkcjonariuszki Fundacji Anima Mundi. Nie znał wcześniej żadnej z nich. One właśnie kontaktowały się ze środkami masowego przekazu, które udzielały Sylwii znacznego zainteresowania przed rozpoczęciem podróży. Wydawało się, że teraz przygotowują ją do rozmaitych wystąpień publicznych w większych miastach. Obecność tych dwóch kobiet uzmysłowiła Dallenowi, że choć działanie Karala Londona miało w sobie coś z szaleństwem, był on człowiekiem zdeterminowanym i dalekowzrocznym, mającym poważne poczucie misji życiowej. Dallen zaczął się zastanawiać, czy nie za bardzo wziął sobie do serca dokonaną przez Renarda seksistowską analizą stosunków Sylwii ze ś. p. małżonkiem.

Jej reakcja na nowinę o „odcieleśnieniu” Londona ucieszyła go w pewnym sensie. Wynikało z niej, że Renard opisując Sylwię jako seksualną bombę zegarową bardzo rozminął się z rzeczywistością. Jednak w Dalle-nie drzemała jeszcze pewna myśl, z rodzaju tych, które tłumił przez całe swe dorosłe życie - myśl o przyjemnościach pójścia do łóżka ze zmysłową, młodą kobietą pozbawioną seksu przez ostatnie dwa lata. Tę jego uczuciową dychotomię pogarszał jeszcze fakt, że zupełnie nie umiał odczytać sygnałów Sylwii, nie mógł zorientować się, czy to, co zaszło między nimi, oznaczało wszystko czy nic. Jedną z możliwych interpretacji brzmiała, że był niesłychanym szczęściarzem, który musi tylko wyciągnąć rękę, by wziąć jeden z najbardziej atrakcyjnych darów tego świata; według innej interpretacji, był przerośniętym chłopakiem, którego złudzenia zostały wywołane nadmiarem wyobraźni, ambicji i hormonów.

„Nie widzę żadnych trudności staruszku” - powiedziałyby do niego z pewnością Renard, gdyby sam nie był aktorem w tej grze. - „Dlaczego po prostu nie wystartujesz i nie spróbujesz szczęścia? ”

„Właśnie, dlaczego? ” - zapytywał się Dallen, kiedy wchodził do pomieszczenia na Pokładzie 4, gdzie ustawiono automaty żywnościowe, i zobaczył odzianą na czarno postać Sylwii, stojącej przy maszynach wraz z pięcioma innymi kobietami.

Powyższe pytanie zakładało, że można było traktować Dallenga jak normalnego mężczyznę w normalnych okolicznościach. Nie uwzględniało, że jest niepewny siebie i zagubiony, że opanowało go obezwładniające poczucie winy z powodu Cony i Mikela, że nieludzko pragnie unicestwić Geralda Mathieu, że nie chce, by jego sprawy z Sylwią rozstrzygnęły się zbyt szybko, gdyby miało się okazać, że to wszystko to tylko gra, w której zwycięstwo z góry miało przypaść Renardowi dzięki jego bogactwu, władzy i uśmiechniętej, zarozumiałej gruboskórności.

Sylwia dyskutowała z towarzyszką nad wyborem potraw i kiedy Dallen zbliżył się, zauważył, że Sylwia, choć nieco blada, ma już chyba za sobą pierwszy okres rozpaczy. Dallen chłonął widok mocno zarysowanego podbródka, lekko wysuniętej dolnej wargi, zwartą pełnię piersi, podkreśloną przez płaskość brzucha, aurę naturalnej siły, połączonej z kobiecością, i w jego duszy rodziło się cierpienie. Wyplływało ono chyba z faktu, że nigdy nie czytał poezji i dlatego nie władał słowami, które przekazałyby Sylwii, jakie uczucia żywi w stosunku do niej. Zatrzymał się na chwilę z wrażenia, kiedy spojrzała w jego stronę. Nie przerwała ani na chwilę rozmowy, ale

jej wzrok napotkał wzrok Dallena i niewzruszenie mu towarzyszył, kiedy on podchodził ku innemu rzędowi automatów.

Uśmiechnął się do niej i natychmiast pomyślał, że to ten sam nic nie znaczący grymas twarzy, którym niedawno powitał Mathieu. Z rozmysłem przerwał więc kontakt wzrokowy, wchodząc za dystrybutor napojów. Uwolniony od tych gwałtownych uczuć, wybrał jedzenie dla siebie i Cony, a gdy wynurzył się z przejścia między szafkami, Sylwii już nie było.

Po paru minutach, w swojej kabinie, zastał Conę siedzącą na brzegu łóżka i mrugającą zaspanymi oczyma. Koszula podjechała jej do góry, na szerokie biodra, odsłaniając pęk bezbarwnych włosów u zbiegu pofałdowanych ud. Dallen naciągnął Conie koszulę aż do kolan i zaczął rozstawiać półmiski z jedzeniem na składanym stole. W powietrzu unosił się stęchły zapach potu.

- Kola - wymówiła Cona z wysiłkiem. - Koola.

- Bardzo dobrze - rzekł Dallen, wyrzucając z mózgu świeży wizerunek Sylwii. - Powiedz „kolacja”. Kola - CJA.

- Kola - krzyknęła Cona z maniakalną radością, przechylając się nagle ku stołowi.

Wzięła łyżkę, zacisnęła ją w pięści i sięgnęła po naczynie z musem czekoladowym. Dallen wiedział, że jeśli ulegnie i pozwoli jej zjeść nieco deseru na początku posiłku, to później nie da się ją namówić, by zjadła większość głównego, bogatego w białko dania. Jednak nieoczekiwanie cała ta procedura stała się dla niego nie do zniesienia.

Bez słowa zamknął swoją dłoń na dłoni Cony i skierował łyżkę ku foremce z sałatką. Cona na chwilę zamarła, a potem, z dość znaczną siłą, zaczęła stawiać opór. Zanim w pełni zdał sobie sprawę z tego, co robi, uniósł się nieco, by mieć większe

pole manewru, i przycisnął głowę Cony do swego biodra. Wściekły, pokonał jej opór z łatwością, zmusił ją do wzięcia sałatki na łyżkę i prowadził jej rękę ku ustom, gdy nagle coś skłoniło go, by spojrzeć na lustrzaną, przeciwległą ścianę pokoju.

Zobaczył tam klasyczną, sformalizowaną kompozycję: ciemieżca stojący nad ofiarą. Taki obraz mógł pochodzić z dowolnego okresu historii. Środkiem wyrazu mogłaby być dwudziestowieczna grafika, pociemniałe ze starości olejne malowidło lub relief drzewny, bez żadnej perspektywy. Lecz podstawowe składniki pozostawały te same. Podobne twarze oprawcy i ofiary, jednak pozbawione wszelkich ludzkich uczuć, obrócone ku rejestrującemu wszystko artyście, jakby z żądaniem, by utrwalił je dla potomności. Dallen natychmiast puścił żonę i stał, wpatrując się w swe odbicie.

- Sukinsyn - szepnął. - Ten sukinsyn musi za to zapłacić.



## ROZDZIAŁ 16

Przygotowując się do wykonania egzekucji, Dallen pilnie obserwował ruchy Mathieu.

Sumienność Dallenga została wkrótce nagrodzona: okazało się, iż Mathieu, mimo że miał swobodę wyboru, wolał stały rozkład zajęć. Plan pracy wymagał, by każda osoba z zespołu Renarda wzięła odpowiedzialność za dwa sąsiednie segmenty tac z trawą. Najbardziej żmudnym zajęciem było obracanie paneli oświetlających, by stworzyć rozsądną symulację dnia i nocy. Każda taca musiała być również lekko zwilżona w czasie okresu „nocnego”. Nie było ścisłych wskazań, kiedy dokładnie należy podlewać rośliny, lecz Mathieu lubił to robić natychmiast po tym, jak usunął wszystkie panele oświetlające, zaczynając od samej góry i metodycznie przechodząc w dół, aż do tac na podłodze.

Każdego dnia, o jedenastej rano czasu pokładowego, wspinał się na dwudziestometrową metalową drabinę, przymocowaną do przedniej części jednego z segmentów i obsługiwał górną warstwę tac. Kiedy już to zrobił, wyciągał się nad przerwą między stelażami i pracował przy drugim segmencie, wykorzystując długi zasięg swych ramion. Pozwalało mu to uniknąć dwukrotnej wspinaczki. Renard nie apróbował tej techniki, ale ograniczył się do kwaśnego przypominania, że Mathieu nie jest objęty ubezpieczeniem od wypadków przy pracy. A Dallen z satysfakcją przysłuchiwał się wymianie zdań na ten akurat temat. Wiedział, że ułatwi mu ona zrealizowanie tego, co musiało się wydarzyć...

Piątego dnia podróży zbudził się wcześniej. Cona spokojnie chrapała w swoim łóżku przy drugiej ścianie kabiny, a Mi-

kel mocno spał w swej koi, wystawiwszy przez pręty jedną ze stóp. Nic nie wskazywało na to, że ta pogrążona w żółtawym mroku kabina była częścią struktury technicznej, pędzącej przez zniekształconą geometrię przestrzeni. Gdyby nie ledwo dostrzegalne trzepotanie powietrza, Dallen mógłby uwierzyć, że znajduje się gdzieś w domku letniskowym na Ziemi czy Orbitsville. Jego myśli pobiegły natychmiast ku Sylwii London, śpiącej na tym samym pokładzie, oddzielonej zaledwie kilkoma ściankami działowymi, ale pośpiesznie zdusił w sobie domysły, jak też ona może wyglądać w łóżku. Jego poranne erekcje stawały się dokuczliwie uparte, a przecież tego krytycznego dnia całą swą umysłową i fizyczną energię powinien skierować gdzie indziej.

Spokojnie wstał z łóżka i zastanawiał się, co tak naprawdę czuje w związku ze swą decyzją, żeby natychmiast rozpocząć ostateczne przygotowania do egzekucji Mathieu. Doświadczał w pewnym stopniu niewiary, ale również z chłodnego smutku i obawy o swe bezpieczeństwo. Jednak podstawowa decyzja pozostała niezmienna, niewzruszona, przeważała wszystko inne i wykluczała jakiekolwiek współczucie czy żal.

„Wszystko w porządku” - pomyślał z dziwną ulgą. - „Nic się nie zmieniło.”

Starając się nie obudzić Cony ani Mikela, wziął prysznic radiacyjny - żałował, że to nie grad kłujących kropel wody - i włożył miękką koszulę i luźne spodnie, swój zwykły strój roboczy. Wyjął ze schowka torbę podróżną i wyciągnął z niej mały pojemnik ze specjalną farbą, który wsunął do kieszeni na piersiach.

Kiedy opuściłabinę, na pokładzie nie było nikogo. Po-

szedł więc do cylindrycznej windy, zjechał na dno ładowni i zanurzył się w kanciastej dżungli rusztowań. Półki z tacami na trawę - połowa z nich zalana sztucznym światłem słonecznym - tworzyły trójwymiarową gmatwaninę światłocieni. Na podłodze zebrały się kałuże. Powietrze przesycone zapachami łąk, ciepłe i wilgotne, pokrywało metalowe powierzchnie warstwą pary.

Dallen obserwował otoczenie przez prawie minutę, by mieć pewność, że nikt inny nie stawiał się tak wcześnie do pracy. Potem poszedł do sektora, którym opiekował się Mathieu i wspinał się na jedną z drabin, dalszą od wejścia, najczęściej używaną przez Mathieu. Na jej szczycie, w miejscu gdzie właśnie powinien zachować czujność i wyjątkową sprawność, zeszywniał, gdy uświadomił sobie, że oto grozi mu największe niebezpieczeństwo. Znajdował się w tej chwili jedynie kilka metrów poniżej tworzącego pierścień Pokładu 5, w miejscu doskonale widocznym dla każdego, kto wyszedłby teraz ze swej kabiny. Plan, tak niezawodny, kiedy rozważało się go leżąc wygodnie w łóżku, wydał mu się nagle ogromnie lekko-myślnym.

Dallen po raz ostatni omiół spojrzeniem okólną poręcz nad swoją głową, po czym wyjął z kieszeni pojemnik z farbą i spryskał ostatni szczebel bezbarwną cieczą. Niezwykle zdenerwowany, opanowując drżenie, włożył pojemnik znów do kieszeni i jak komandos ześlizgnął się do stóp drabiny. Nic nie zakłócało cieplarnianej ciszy na dolnym pokładzie. Dallen pobiegł do windy, wjechał na Pokład 5 i w ciągu paru sekund był znowu w zaciszu swej kabiny, gdzie Cona i Mikel nadal spali. Nie było go raptem trzy minuty.

Usiadł przy stole i zaczął dumać nad swoim czynem.

Emulsję, którą spryskał drabinę, wyprodukowano specjalnie dla organów porządkowych. Miała markę Pietzoff i dla celów Dallenga była znakomita. Stosowano ją, by uniemożliwić ludziom czepianie się pojazdów służby bezpieczeństwa i delikatnych rur generatorów skrzydeł magnetycznych. Kiedy Mathieu przycisnie palcem kryształ rozmieszczone na najwyższym szczeblu drabiny, całe jego ciało dozna szoku nerwowego. Odpadnie od drabiny i nie będzie w stanie za nic się złapać, by złagodzić skutki upadku.

Nie było całkowitej gwarancji, że upadek na pokład zabije Mathieu, ale Dallen zamierzał być blisko sceny „wypadku” i jako pierwszy dotrzeć do poszkodowanego. Potrzeba by jedynie krótkiej chwili, by dokończyć dzieła. Dodatkowy uraz kręgow szyjnych nie zostałby zauważony wśród innych obrażeń Mathieu. Potem wystarczy wspiąć się na drabinę, pod pozorem szukania jej usterek, i wytrzeć emulsję Pietzoffa gąbką nasyoną rozpuszczalnikiem, którą już miał przygotowaną w kieszeni.

Sprawiedliwość zostanie w ten sposób wymierzona, a Dallen będzie mógł wrócić do normalnego życia.

Rozłożył przed sobą dłonie na stole i patrzył na nie namurzony. Po raz pierwszy zastanawiał się, co oznacza przyszłość, która czeka go po śmierci Mathieu. Co oznacza w jego przypadku „normalne życie”? Praca dla Metarządu na tyle mało absorbująca, że będzie w stanie poświęcić większość swego czasu rehabilitacji Cony? Być może, w ramach pomocy, rząd wyznaczy mu rentę i przydzieli dom w jednym z tych pionierskich osiedli, wysuniętych na niewielką odległość w bezbrzeżne, nieskończone stopy Orbitsville. W ten sposób opieka nad Coną stanie się jego głównym celem życiowym. A

jakie będą kamienie milowe tej kariery? Dzień, w którym Cona nauczy się spuszczać po sobie wodę? Dzień w którym skleci pierwsze zdanie? Pierwsza noc, kiedy pośród zamętu ciemnych godzin nie uda mu się wyrzucić jej ze swego łóżka?

Nagle Dallenowi zdało się, że tonie. Zlekceważył to uczucie, sądząc, że to reakcja psychiczna, a potem uświadomił sobie, że zrobił wydech, a nie wykonał następnego wdechu, jak gdyby zastrajkował jego samoczynny system nerwowy. Zaczepnął powietrza dwoma głośnymi haustami i zerwał się na nogi. Czuł się w tej kabynie jak w pułapce. Zegar na ścianie wskazywał, że nie minęła jeszcze ósma rano. Posiłek? Czy śniadanie by pomogło? Na myśl o jedzeniu żołądek lekko podjechał mu do góry, ale filiżanka kawy była dość kuszącym sposobem przetrwania następnych kilku minut.

Upewnił się, że Cona i Mikel będą jeszcze spać przez pewien czas i poszedł na górę, na Pokład 4, pierwszy z pełnych pokładów. Obok automatów żywieniowych nie było nikogo, choć słyszał, jak w sąsiedniej kantine rozmawiało ze sobą kilku członków załogi. Dallen nalał sobie kubek czarnej kawy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zabrać go do kantyny, potem, pod wpływem nagłego impulsu, przeszedł po następnym segmencie schodów i wszedł do galerii widokowej. Nie dostrzegł tam nikogo. W takich dogodnych punktach obserwacyjnych tłoczono się głównie podczas manewrów w normalnej przestrzeni, w pobliżu Ziemi czy Orbitsville. W środku podróży, kiedy statek tkwił w kokonie własnego kontinuum, na zewnątrz nie było wiele do oglądania. Wszechświat przedstawiał się jako jasna niebieska plama przed statkiem i równie jasna czerwoność za rufą. Czasami, kiedy statek przechodził blisko gwiazdy, przed dziobem pojawiał się świetlny punkt,

który rozszerzony do cieniutkiego pierścienia prześlizgiwał się wzdłuż statku, jak obręcz magika, a potem, już za rufą, kurczył się do rubinowej, jasnej plamki.

Nie zrażony brakiem widoków Dallen opadł na fotel i siedział w teatralnej ciemności, popijając kawę, wciąż zatopiony w myślach o przyszłości. Czas egzekucji Mathieu został ustalony i wydawało się, że zniknął bezpośredni cel, który do tychczas przesłaniał Dallenowi wszystko. Obecnie podniesiono kurtynę i dziesięciolecia leżały przed nim w mgiełce zmieniających się możliwości, ale widoki były przygnębiające. A jeśli się temu dokładniej przyjrzeć, wyglądały one przygnębiająco bez Sylwii London. A po jeszcze dokładniejszym zbadaniu - i dodaniu szczypty uczciwości oraz egoizmu - z Coną i bez Sylwii wyglądały one przygnębiająco.

„Przecież to jest okoliczność, którą łatwo zmienić” - przysła mu do głowy zdradliwa myśl.

Musiał jedynie przestać się upierać i zaakceptować to, co cały czas mówili mu kompetentni lekarze: że Cona Dallen, historyk i pisarka, już nie istnieje. Oznaczało to, że nie ma w stosunku do niej żadnych moralnych zobowiązań, że wszystkie umowy i kontrakty zostały unieważnione. Ciało, które poprzednio zamieszkiwała Cona, miało prawo do należytej opieki, do wygody i bezpieczeństwa, do warunków, w których nowa osobowość mogłaby się rozwinąć w ramach własnych ograniczeń. Nie widać jednak logicznych przyczyn, dla których prywatne życie

Garry'ego Dallena miałoby podporządkować się temu procesowi. Powinien być zatroskany, ale nie internowany. Sam zapakował się do więzienia o ścianach z mgły i musiał jedynie wyjść na swobodę...

„Doskonale! C. b. d. o.! Witaj w jasnym, jednoznacznym świecie racjonalności!”

Dallen, podniecony i zdziwiony tym, że tak łatwo w sposób logiczny uporządkował swoje życie, poczuł po chwili przygnębienie, gdy uświadomił sobie, że nie osiągnął dokładnie niczego. Budował wokół Sylwii London zamki romantycznych snów, jedynie na podstawie kilku dwuznacznych słów i zagadkowych spojrzeń. Potrzebna mu była konkretna informacja, proste „tak” albo „nie” od tamtej kobiety. Ale od początku zachowywał się w obecności Sylwii jak wieśniak, który zapomniał języka w gębie...

- Na rany Chrystusa! - zaszeptał gwałtownie, zniecierpliwiony stanem swego umysłu; przecież właśnie z zimną krwią zaaranżował śmierć swego bliźniego, a jednocześnie kulił się ze strachu na myśl o zadaniu jednego pytania kobiecie. Zgniótł pusty kubek w dłoni.

Głośny trzask spowodował, że ktoś w przeciwległym końcu galerii, ledwie widoczny, spojrzał w jego kierunku. To była kobieta, a Dallen nie miał pojęcia, jak długo już tu siedziała. Rozpoznał, że ta krępa osoba w średnim wieku to doktor Billy Glaister, funkcjonariuszka Fundacji, która mieszkała w jednej kabinie z Sylwią. Dallen zdał sobie sprawę, że podążyła ku niej bez żadnego świadomego aktu woli ze swej strony. Spojrzała na niego zdziwiona. Jej twarz rysowała się w ciemności niewyraźną plamą. Dallen zatrzymał się.

- Cześć - rzekł. - Spokojnie tutaj, prawda?

- Zazwyczaj tak - odezwała się chłodno. - Przychodzę tu, kiedy chcę trochę spokojnie porozmyślać.

-Aluzję zrozumiałem - Dallen próbował zaśmiać się przymilnie. - A nawiasem mówiąc, czy Sylwia jest w swym

pokoju?

- Myślę, że tak. Dlaczego pan pyta? - Lekarka przestała być obojętna i wykazywała otwartą wrogość.

Zaświtała mu natychmiast myśl, że oto zetknął się z jeszcze jednym rywalem o względy Sylwii. Ale coś drgnęło w jego duszy, coś ważnego, choć zupełnie niespodziewanego. Z radością powitał dodatkowe wyzwanie. Przykucnął obok kobiety, z rozmysłem naruszając jej przestrzeń osobistą.

- Chcę z nią zamienić parę słów. Mam nadzieję, że stan zdrowia pozwala jej przyjmować gości?

- Niech pan nie będzie impertynentem. Sylwia zetknęła się ostatnio z wieloma stresującymi czynnikami.

- To bardzo chwalebne z pani strony, że usunęła się pani, pozwalając jej od nich odpocząć.

Dallen podniósł się, opuścił galerię i skierował ku najbliższym schodom.

Była 8: 50. Dawało mu to ponad dwie godziny do wyznaczonego przez los spotkania i czuł ogromną ulgę, że nareszcie może przedsięwziąć jakieś działania pozytywne. Był rażony i rzeczowy, tak jakby strząsnął z siebie jakieś osłabiające go zaklęcie. Zszedł na Pokład 5 i nie patrząc nawet na kłębowisko świateł i rusztowań widocznych w dole pośrodku, podszedł do pudełkowatej kabiny Sylwii i zastukał do drzwi. Otworzyła, natychmiast odwróciła się, wirując niebieskim, bawełnianym szlafrokiem, a potem zastygła w pół kroku i spojrzała na niego.

- Myślałam, że to...

Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia i w zestawieniu z poranną bladością twarzy wyglądały ciemniej niż zazwyczaj. Dallen nigdy nie widział jej takiej i obraz ten był dla niego tak



silnym bodźcem erotycznym, że niemal zajęczał.

- Czy mogę wejść - spytał pewnym głosem.

Sylwia potrząsnęła głową.

- Jest zbyt... Nie jestem nawet ubrana.

- Muszę wejść. - Przekroczył próg i zasunął za sobą drzwi. - Muszę z tobą pomówić.

- O czym?

- Nie chcę więcej gry, Sylwio. Wiem, że wepchnąłem się tutaj nie proszony. Wiem, że jestem źle wychowany i że chwila jest nieodpowiednia, ale muszę coś wiedzieć o nas dwojgu. Potrzebuję bezpośredniego stwierdzenia z twojej strony: prostego „tak” lub „nie”.

- Mówisz o tym, jak o transakcji handlowej.

Sylwia odzyskała poprzedni spokój, ale policzki miała zaczerwienione.

- Czy tak będzie lepiej?

Zrobił krok, likwidując odstęp między sobą a Sylwią i, bardzo powoli, zostawiając jej bardzo dużo czasu na zrobienie uniku, położył dłonie na jej talii i delikatnie przyciągnął ją ku sobie. Zbliżyła się do niego wiotkim ruchem, który złączył najpierw ich podbrzusza - i wtedy przez całe jego ciało przebiegła gwałtowna fala - a potem powoli ich brzuchy, piersi i usta. Dallen napawał się pocałunkiem, aż do syta.

- Wciąż chcę usłyszeć, jak to mówisz - szepnął, dotykając ustami jej ucha. - Tak czy nie.

- To nie fair.

- Do diabła z fair, już byłem fair, starczy mi na całe życie. Tak czy nie?

- Tak - przycisnęła się do niego z taką siłą, że ledwie mógł ustać. - Tak!

- To wszystko, co musiałem wiedzieć.

Zdał sobie sprawę, że szlafrok nie w pełni okrywa ciało Sylwii. Gdy zamknął oczy, by ją znów pocałować, ukazał mu się połamany zewłok Geralda Mathieu.

- Kłopot polega na tym - jąkał się, wybity z nastroju - że nie wiem, co robić dalej.

Uśmiechnęła się ze spokojem.

- Może by porządnie zamknąć drzwi?

- Dobra myśl.

Dallen wcisnął guzik blokujący wejście, a kiedy znów odwrócił się do Sylwii, szlafrok leżał na podłodze dokoła jej kostek. Z suchymi ustami, pełen uwielbienia, ujął jej wyciągniętą dłoń i poprowadził ją w kierunku łóżka. Natychmiast położyła się i przywarła do niego, drżąc teraz, kiedy ułożył się obok niej. Leżeli przytuleni przez pełną minutę. On ciągle w ubraniu, ocierał się o nią w sposób, który wedle wszelkich praw natury powinien doprowadzić go prawie do orgazmu, ale za każdym razem, kiedy zamykał oczy, widział uśmiechniętą pogodnie, śmiertelną maskę Mathieu z trójzębami krwi w kącikach ust. W lędźwiach Dallena wzbierał wtedy anestetyczny chłód, pozbawiając go męskości, odmawiając mu wszelkich szans w Grze Życia. Nie czekając, aż Sylwia poczuje, co się dzieje, odczył się od niej i opadł do pozycji klęczącej przy łóżku. Kobieta uniosła się na łokciu i patrzyła na niego zaintrygowana.

- Wszystko w porządku - powiedział, niemal uśmiechając się z ulgą, że tak dobrze rozumie sytuację. - Może zabrzmiało to dla ciebie bezsensownie, Sylwio, ale próbowałem po prostu być dwiema osobami naraz, a to niemożliwe.

- To jest dla mnie całkowicie sensowne - jej zrozumienie

było intuicyjne, prawie telepatyczne. - Jak długo ci zajmie stanie się znowu jednym człowiekiem?

Dallen patrzył na nią z najczystsza wdzięcznością.

- Około dwóch minut. Jest coś, co muszę zrobić. Czy mogłabyś poczekać. Właśnie tu? Tak jak teraz?

- Nie miałam zamiaru nigdzie wychodzić.

- Dobrze.

Wstał, podszedł do drzwi kabiny i wyszedł na zewnątrz.

„Życie za życie” - myślał, zdumiony prostotą równań psychologicznych w obszarze, gdzie mógłby oczekiwać wielu warstw mrocznej freudowskiej złożoności. Odrodzony znowu, nie dopuszczał półśrodków. Nie może czerpać z dwu źródeł życia, powodując ubytek w każdym z nich i dlatego musi oszczędzić Gerałda Mathieu.

Mając wciąż pod powiekami obraz nagiej Sylwii, Dallen zablokował zatrask i zamknął drzwi jedynie na klamkę. Skierował się ku windzie. Dwóch mężczyzn, Renard i Kapitan Lessen szli w jego kierunku na zakrzywionym pasie pokładu między kabinami a studnią ładowni. Jak zwykle pogrążeni byli w ożywionej sprzeczce, ale Renard przerwał natychmiast, gdy zobaczył Dallena, i podszedł prosto do niego. Jego usiana złotymi cętkami twarz była poważna.

- Co tam robiłeś? - zapytał wprost. - Jest chyba trochę za wcześnie na składanie wizyt?

Dallen wzruszył ramionami.

- To zależy od stopnia zażyłości.

- Nikogo nie oszukasz, staruszk - Renard odsłonił swój łuk zębny.

Począł, aż Lessen przesunie się obok niego i wyjdzie z zasięgu głosu. Uważnie patrzył Dallenowi w twarz, a w oczach

miął kolejno: przyjazną pogardę, niewiarę, niepokój i wzbie-  
rający gniew.

- Czy można cię przeprosić - rzekł Dallen - mam coś do  
zrobienia.

Zrobił krok w kierunku windy, ale Renard zatrzymał go,  
kładąc mu rękę na piersi.

- Lepiej mnie posłuchaj - rzekł Renard jadowitym szep-  
tem. - Jeżeli...

- Nie, tym razem ty mnie posłuchaj - powiedział Dal-  
len rzeczowym tonem, jakby to była zwykła rozmowa. - Jeżeli na-  
tychmiast nie zdejmiesz ze mnie ręki, uderzę cię tak mocno, że  
będziesz musiał na pewien czas pójść do szpitala, a niewykluc-  
zone nawet, że umrzesz.

Renard próbował sformułować odpowiedź, ale Lessen  
przywołał go gniewnym szczeknięciem z dołu schodów wio-  
dących na Pokład 4. Dallen zakończył to spotkanie, omijając  
Renarda i kierując się ku windzie.

Podczas zjazdu rozklekotaną windą na dno ładowni  
pozwolił sobie na chwilę satysfakcji - może Renard mylił się,  
uważając, iż wszechświat mu sprzyja w każdym przedsięwzię-  
ciu? Kiedy winda zatrzymała się, Dallen wstąpił pewnie na  
przeście, które wiodło do stelaży Mathieu. Gdy przekraczał  
kałuże na podłodze, wyjął gąbkę z rozpuszczalnikiem. Bliskie  
odgłosy jakichś ruchów wskazywały, że ktoś pracuje przy ta-  
cach. Dallen skręcił za róg i dopiero wtedy uświadomił sobie,  
że sprawy nie układają się tak, jak powinny. Wysoko w geo-  
metrycznej dżungli, wśród rozproszonych pasemek światła i  
cienia, widać było nieoczekiwane oznaki czyjejś aktywności.

Ktoś wspinał się na szczyt drabiny Mathieu.

Dallen rozpoznał tę osobę: to był sam Mathieu, który

właśnie chwycił ręką ostatni szczebel. Dallen jęknął z rozpaczy, wiedząc, że jest już za późno, by uniknąć wypadku. Rzucił się do stóp drabiny, skierował wzrok ku górze i naprężywszy mięśnie czekał na przyjęcie uderzenia, które mogło okaleczyć go na zawsze.

Jego oczom ukazał się następujący widok: odchylony nonszalancko od drabiny Mathieu, z cienkim plastikowym węzłem ogrodniczym opadającym w splotach od bioder, przytrzymywał się prawą ręką, ściskając najwyższy szczebel.

- Co się tam w dole dzieje? - spytał Mathieu, zwracając uwagę na nagły ruch.

- Nic takiego - zapewnił go Dallen. - Poślizgnąłem się, to wszystko.

Na poparcie swej opowiastki przycisnął rękę do boku, jakby masował stłuczony mięsień.

Mathieu natychmiast zszedł.

- Jesteś ranny?

- To nic takiego - rzekł Dallen. Opanowywały go kolejno dziwne uczucia, kiedy stał tuż przy człowieku, który tak zasadniczo wpłynął na jego życie. - Ale powinniśmy wziąć ścierkę i usunąć trochę tej rozlanej wody, zanim komuś naprawdę coś się stanie.

Potań swój bok, usprawiedliwiając się, że nie wykona tej roboty.

- Zaraz to zrobię - powiedział zgodnie Mathieu. - Chyba koło windy jest jakiś schowek z miotłami.

Odszedł i zniknął między stelażami.

Dallen, kiedy już był pewien, że nikt go nie obserwuje, wspiął się na drabinę, a właściwie wbiegł po pionie, aż jego twarz znalazła się na jednym poziomie z najwyższym szcze-

blem. Oświetlenie nie było wprawdzie idealne, ale z łatwością dostrzegł szronową powłokę emulsji

Pietzoffa, pokrywającą całą metalową rurę. Oznaczało to, że Mathieu powinien doznać gwałtownego wstrząsu neuronowego, natychmiast, gdy jego palce wywarły nacisk na kryształy w emulsji.

Jedynym wyjaśnieniem, na jakie Dallen mógł wpaść, było to, że pojemnik ukradzony przez niego w Madison, pochodził z wadliwej partii. Zaintrygowany, zapominając na chwilę o potrzebie pośpiechu, lekko musnął szczebel paznokciem, testując emulsję.

Paralizujący szok przeszył go od stóp do głów.

Mięśnie natychmiast odmówiły mu posłuszeństwa. Osunął się i spadł, ale nagle odzyskał siły i przywarł do drabiny, dysząc z trwogi. Spadł prawie zupełnie na sam dół, na metalowy pokład, dwadzieścia morderczych metrów. Ocalił go tylko fakt, że jego paznokieć posłużył jako częściowy izolator dla ładunku neuronowego Pietzoffa. A Mathieu miał lada chwila powrócić. Dallen usiłował odzyskać pełną kontrolę nad ciałem i zaczął posuwać się w górę, by nadrobić straconą wysokość. Ścisnął gąbkę uaktywniając rozpuszczalnik, wytarł najwyższy szczebel z farby i dotarł do stóp drabiny akurat w chwili, kiedy Mathieu pojawił się ze ścierką i wiadrem, niczym rekwizytami teatralnymi z zamierzczonej epoki.

- Uwielbiam te technicznie wyrefinowane rozwiązania problemów podróży międzygwiazdnych - rzekł dziarsko i pogodnie zabrał się do pracy przy kałużach na podłodze. Przypominał blond gwiazdę holowizji, nieudolnie odgrywającą posługacza.

Dallen skinął głową, wciąż nieco roztrzęsiony, wciąż nie

dowierający swojemu doświadczeniu na szczycie drabiny. Według wszelkich reguł rządzących takimi zjawiskami, Mathieu powinien spaść i grzotnąć o pokład jak worek z kośćmi. Czy możliwe, by jego prawa dłoń była tylko doskonałą protezą? Czy może był to jedynie - jeśli przyjąć bardziej prozaiczne wyjaśnienie, nierównomierny rozkład kryształków i emulsji, a Dallen wybrał złe miejsce na swój test? Nie wyglądało to prawdopodobnie, ale takie wytłumaczenie brzmiało najsensowniej ze wszystkich, jakie mógł wymyślić. Nikt nie był odporny na emulsję Pietzoffa.

- Pomyśleć, że zrezygnowałem z dobrej pracy, by robić coś takiego - rzekł Mathieu, wycierając kałuże beztriosko, acz dokładnie. - Musiałem chyba zwariować.

- Dlaczego spakowałeś manatki? Czy z powodu Bryce-landa?

- Bryce-land? Ten bur-bur-burmistrz? - W oczach Mathieu zabłysło spokojne rozbawienie. - Nie, Garry, nadeszła dla mnie pora podróży, to wszystko.

- Rozumiem.

Dallen znów nie mógł rozeznaczyć się w swoich uczuciach w stosunku do Mathieu. Fakt, że temu człowiekowi oszczędzono wyroku w trybie przyśpieszonym nie oznaczał, że należy dopuścić, by uniknął kary, którą sądy orzekały za najcięższe zbrodnie. Ale czy nie było za późno na oskarżenie go? Jakież dowody udałoby się zgromadzić na tak późnym etapie? I, przede wszystkim, dlaczego ten człowiek wydawał się taki zmieniony? Różnica trudna do określenia, ale niewątpliwa. Gerald Mathieu zawsze sprawiał wrażenie próżnego trutnia, człowieka pustego, a teraz...

„Co się ze mną dzieje? ” - Dallen zadał sobie to pytanie

oszołomiony. - „Dlaczego jestem tu, gdzie nie ma Sylwii? ”

Machnął w stronę Mathieu ręką na pożegnanie, wrócił do windy i nacisnął guzik Pokładu 5. Klatka wjeżdżała ze zwykłym drzeniem, mijając warstwa po warstwie miniaturowe trawiaste równiny, niektóre w cieniu, inne zalane sztucznym światłem. Sprawa Mathieu odchodziła dla Dallenga w przeszłość, gdy docierał windą do pierścienego pokładu. Nikogo nie było w pobliżu - załoga *Dziobu Jastrzębia* spędzała praktycznie wszystkie godziny pracy w kadłubach zewnętrznych - i Dallen mógł pójść natychmiast do kabiny Sylwii. Gdy naciskał klamkę drzwi, był podniecony, ożywiony i tak nadnaturalnie wrażliwy, że czuł subtelne ruchy powietrza. Klamka nie chciała się obrócić. Dallen zapukał lekko i odszedł nieco, rozczarowany, kiedy na progu pojawiła się androgeniczna sylwetka doktor Billy Glaister.

- Sylwia nie może teraz pana przyjąć - ogłosiła triumfalnie. - Ona musi...

- W porządku, Billy - przerwała jej Sylwia, pojawiając się obok tamtej.

W ciągu tego krótkiego czasu, jaki upłynął od ostatniego ich widzenia, zdążyła przyczesać włosy i włożyć czarną suknię. Wyszła z kabiny, zasunęła drzwi, uchwyciła ramię Dallenga i poprowadziła go ku pobliskim schodom.

- Przepraszam - powiedziała. - Billy ma tendencję do nadopiekuńczości.

- Czy to tylko nadopiekuńczość?

- To właśnie jest to - Sylwia przystanęła i uśmiechnęła się do niego mądrym, kobiecym uśmiechem. - Kiedy trochę ochłoniesz, będziesz zadowolony, tak jak ja, że ona wróciła. To miejsce nie jest dla nas, Garry. Przyznaj sam.



Dallen popatrzył na poplamione metalowe ściany, słupy i rury.

- Tu jest sielankowo.

Zaśmiała się i nieoczekiwanym gestem podniosła jego dłoń do warg, jakoś przekonując go, że wszystko jest dobrze.

- Garry, za dzień czy dwa będziemy na Optima Thule i jak tylko Rick wyładuje trawę, pojedziemy do Beachhead. Tam są dobre hotele i będziemy mieli dużo czasu, by być razem i robić wspólne plany. Warto powstrzymać się przez chwilę, prawda?

Patrzył na nią, niezdolny przyznać jej rację i zmuszał się, by odpowiedzieć uśmiechem na jej uśmiech.

W ciągu następnego dnia, statek zakończył większość swych geometrycznych manipulacji i gwałtownie zbliżał się do stanu, w którym zewnętrzni obserwatorzy będą go dostrzegać jako obiekt rzeczywisty. To z kolei oznaczało, że ludzie i przyrządy na pokładzie znowu zaczną otrzymywać informacje z normalnego kontinuum czasoprzestrzennego.

Ciągle zmniejszając szybkość z przyśpieszeniem ponad 1g, *Dziób Jastrzębia* wziął namiary z sieci znaczników Orbitsville i zaczął korygować kurs, kierując się ku Portalowi 36. Wejście to wydzielono specjalnie dla Komisji Naukowej Optima Thule, ponieważ otaczający teren nigdy nie został opanowany przez firmy budowlane i dlatego dawało się stamtąd uzyskać niezakłócone dane do wielkich eksperymentów botanicznych.

Zawodowi podróżnicy kosmiczni rzadko tracili czas na wyglądanie przez okno podczas zbliżania się do Orbitsville. Z bliskiej odległości ogromna, nieodbijająca światła skorupa zawsze przesłaniała pół wszechświata, oszukując wzrok i

zdrowy rozsądek, tworząc wrażenie, że nie istnieje zupełnie nic, tam gdzie naprawdę znajdowała się ściana nie do przebycia, rozciągająca się na całym horyzoncie galaktycznym. Zatem nikt z załogi *Dziobu Jastrzębia* nie dokonywał obserwacji optycznych, kiedy statek, kierowany sztucznymi zmysłami, znajdował po omacku drogę ku Portalowi 36.

Tak się więc złożyło, że to właśnie doktor Billy Gleister, częsty gość w galerii widokowej, odkryła, iż Orbitsville doznało radykalnej zmiany.

Zagadkowy materiał skorupy - czarny, niezmienny, całkowicie neutralny, jak wykazały dwa stulecia ludzkich doświadczeń - zalany był drgającym, zielonym światłem.

## ROZDZIAŁ 17

Nadejście stanu nieważkości, aczkolwiek stopniowe, przyniosło Dallenowi sporo problemów.

Początkowo Cona cieszyła się ze swoich wzrastających możliwości gimnastycznych, energicznie i niezbornie figlowała w kabinie i omal nie zrobiła krzywdy sobie i Mikelowi. Potem, kiedy praca głównych silników *Dziobu Jastrzębia* prawie ustała, uczucie nienaturalnej lekkości rośnie, aż miało się po prostu wrażenie, że się spada, i wówczas Cona zaczęła odczuwać lęk. Przywarła kurczowo do ramy łóżka, zbladła i monotonicznie jęczała, ale nie pozwoliła, by Dallen przymocował ją siatką zabezpieczającą. Z Mikiem poszło łatwiej. Dał się bez oporów przypiąć do łóżeczka i chyba mniej interesował się samym sobą a bardziej nowym dla niego zjawiskiem, obserwując jak zabawki latają w powietrzu.

Dallen łapał właśnie jego ulubioną ciężarówkę, kiedy pojedynczy sygnał dźwiękowy z konsoli komunikacyjnej zawiadomił, że statek wszedł w stan swobodnego spadania. Żołądek nieprzyjemnie podjechał Dallenowi do góry. Cona zaczęła głośno rzygać. Dallen przeklinając, że nie jest przygotowany na czas, przepchnął się ku niej i akurat wpadł w gmatwaninę żółtawej cieczy, wychodzącej z jej ust. Kwaśny zapach żółci natychmiast wypełnił kabinę i Mikel zaczął płakać.

Walcząc o to, by utrzymać w ryzach swój własny żołądek, Dallen wyciągnął ze ściany rurę odkurzacza i wyłapał nią wszystkie wolno szybujące krople. W ciągu następnych pięciu minut oczyścił się, zmienił ubranie i myślami powędrował od kłopotów domowych ku problemom o naprawdę dużej skali. Natychmiast po wyłączeniu napędu skrzydłomigowego, *Dziób*

*Jastrzębia* powinien być zdolny do nawiązania łączności z Orbitsville i można by wtedy poprosić o oficjalne wyjaśnienie, co stało się ze skorupą. Kapitan Lessen prawdopodobnie posiadał już tę informację, ale - co napawało niepokojem - niczego nie ogłoszono.

Dallen, urodzony na Orbitsville, z niecierpliwością czekał na to wyjaśnienie. Dla niego widok niewyobrażalnych przestrzeni zielonego ognia, przypominających bezgraniczny ocean jarzący się nocą od świecących organizmów, był takim samym przeżyciem jak silne trzęsienie ziemi. Wyrósł na Wielkim O, miał pierwotne, niezachwiane przekonanie o jego stałości i niezmienności, a oto teraz zdarzyła się rzecz nie do pomyślenia. Macki nowych idei próbowały dotrzeć do jego mózgu i powodowały, że bał się tak bardzo, jak nigdy jeszcze do tej pory. A musiał ten strach trzymać w ryzach.

Kiedy mijały minuty, a od Lessena nie było żadnych wiadomości, Dallena opanowywał coraz większy niepokój i irytacja. Wreszcie, nie bez poczucia winy, wyjął z szafki poduszeczkę iniekcyjną z podwójną dawką lekarstwa i położył ją sobie na kciuku. Podszedł do Cony i kiedy pozornie próbował ułożyć ją wygodniej, przycisnął swój kciuk do jej przegubu i wstrzyknął obłok środka uspokajającego do jej krwioobiegu. Natychmiast gdy środek zaczął działać, a Cona stała się senna i bierna, opiął siatką zabezpieczającą jej uległe, pulchne ciało, i rzucając pocieszające słowo Mikelowi opuściłabinę.

Do butów miał przymocowane standardowe strzemiona magnetyczne, i początkowo trudno mu było w tym chodzić. Kiedy jednak dotarł na mostek, poruszał się już dosyć pewnie. Lessen, Renard i kilku oficerów siedziało przy ekranach widokowych, z których większość pokazywała jaśniejące zielono

horyzonty.

- Nie wolno ci tu wchodzić - powiedział natychmiast do niego Lessen, wypinając pierś.

- Nie bądź śmieszny - rzekł Dallen. - Co do diabła dzieje się tam na dole?

- Nalegam, byś...

- Daj spokój z tymi bzdurami - Renard zwrócił się do Dallenga bez śladu poprzedniej wrogości. - Naprawdę się coś dzieje, staruszk. Rozmawialiśmy z Centralą Ruchu i powiedzieli nam, że cała skorupa zapłonęła w ten sposób około pięciu godzin temu. Poprzednio mieli, zdaje się, mnóstwo zielonych południków goniących się wzajemnie dookoła powierzchni, ale teraz świeci już wszystko.

- A zauważyłeś te jaśniejsze rozbłyski? Powiedzieli, że początkowo pojawiały się co pięć sekund, ale teraz migają już co sekundę.

Renard uśmiechnął się, patrząc na pokawałkowane widoki Orbitsville. Był podekscytowany, ale chyba się nie martwił.

„To wszystko jest częścią procesu” - pomyślał Dallen, wspominając rozmowę z Peterem Ezzatim.

Bez troska Renarda podsycala jego instynktowny niepokój.

- Co mówią na temat lądowania? - zapytał. - Jaki to ma wpływ na nas?

- Żaden. Komisja Naukowa twierdzi, że to światło nie ma na nic wpływu. To tylko światło. Żadne detektory nic nie wskazują - z wyjątkiem, oczywiście, fotometrów - więc po prostu ignorujemy to światło i kontynuujemy lądowanie. Mówią, że przy innych portalach trwa zwykły ruch.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Lessen ponuro.

Renard klepnął go po ramieniu.

- Nie musi ci się podobać, staruszk. Masz jedynie kierować moim statkiem, więc proponuję, żebyś to kontynuował, nie tracąc dalej cennego czasu. Dobrze?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - rzekł Dallen - chciałbym tu zostać i popatrzeć.

Renard zatoczył ręką łuk:

- Bądź moim gościem.

Nadęty Lessen wyglądał tak, jakby miał zamiar zaprotestować, ale wzruszył tylko ramionami i wypraktykowanym w nieważkości susem przeniósł się przed główną konsolę. Wystukał instrukcję dla komputera. Po kilku sekundach Dallen poczuł słabe drgnięcie pokładu. Gdy ożywiły się silniki napędu pomocniczego, płonące jak jadeit horyzonty zmieniły swe położenie. Po krótkim czasie na przednim ekranie statku pojawił się Portal 36, widoczny początkowo jako krótka czarna linia, unosząca się w zielonej poświacie. Linia wydłużyła się, poszerzyła, aż zmieniona w puchnącą elipsę stała się nagle zionącym otworem w skorupie Orbitsville.

Dallen wiedział, czego może oczekiwać, a mimo to poczuł ciarki na plecach, kiedy ujrzał w portalu błękit, niesamowity błękit letniego nieba. W tym momencie mógł się domyślić, jak Vance Garamond i jego załoga musieli zareagować dwieście lat temu, kiedy ich skrzydłomigacz wpadł w słup światła słonecznego, wychodzący w przestrzeń kosmiczną przez historyczny Portal 1. Kiedy otwór stał się już idealnym kołem z błękitu, w pole widzenia napłynęło słońce Orbitsville i stanęło w środku okręgu.

Dallen sam nie wiedział, dlaczego wszystko wydawało

mu się niewyraźne i musiał kilkakrotnie zamrunąć, by prze-  
czyścić oczy.

„Powiniennem patrzeć na to razem z Sylwią” - pomyślał,  
zastanawiając się, czy była ona teraz na Pokładzie 3, w galerii  
obserwacyjnej.

- Jesteśmy na wysokości dwóch tysięcy metrów, usta-  
wieni na stację - rzekł Lessen i zerknął na Dallenga, upewniając  
się, czy dociera do niego ta informacja. - Zaczynamy schodze-  
nie.

Dallenga przyjaźnie kiwnął mu głową, przyjmując tę  
słowną propozycję zawarcia pokoju i patrzył na boczny ekran,  
gdzie widać było powiększające się koło. Statek schodził po-  
woli, lecz równomiernie. Po piętnastu minutach odległość od  
celu podróży zmalała do kilkudziesięciu metrów. Silniczki od-  
rzutowe, sterowane komputerem, napędzały *Dziób Jastrzębia* i  
utrzymywały go w pozycji do dokowania. Statek zniżał się do  
krawędzi otworu. Podobne do żadeł chwytaki wysunęły się  
poniżej centralnego kadłuba, gotowe do umocowania statku.  
Gdyby to wszystko miało miejsce w którymś z głównych por-  
tów Orbitsville, lądowanie polegałoby na wślizgnięciu się w  
jedną z olbrzymich kołysek dokujących, tutaj jednak statek  
musiał sam sobie znaleźć punkt zakotwiczenia. Dallenga wie-  
dział, że w końcowym etapie ze śluzy powietrznej zostanie  
wysunięta rura transportowa, a potem przepchnięta przez  
pole przesłaniające, które zapobiegało ulataniu powietrza Or-  
bitsville w przestrzeń. Oceniał, że rozładunek trawy i próbek  
nasion zajmie nie więcej niż dzień i od tego momentu Sylwia i  
on będą mogli...

- Nie podoba mi się to - rzekł Lessen z wystudiowanym  
spokojem, co miało ten skutek, że Dallengowi na moment za-

marło serce. - Coś tu nie pasuje.

Jakby na potwierdzenie oświadczenia kapitana, na konsoli sterowniczej zaczęły migać purpurowe i pomarańczowe wielokąty. Towarzyszyły im piski sygnałów ostrzegawczych. Dwaj oficerowie stanęli przy oddzielnych konsolach. Pośpiesznie, acz ze spokojem, zaczęli wciskać klawisze. Pokład pod nogami Dallena poruszył się jak cielsko zwierzęcia.

Renard odchrząknął.

- Czy ktoś byłby łaskaw powiedzieć mi, co się dzieje? Wiecie, jestem właścicielem tego statku.

- Silniki ciągle pracują - odpowiedział Lessen. - Ale statek nie porusza się.

- Ale to znaczy tylko, że... - Renard przerwał, ściągając swoje miedziane brwi.

- To znaczy, że coś przeciwdziała silnikom, a nasze czujniki nie mogą tego zidentyfikować. Odległość między skorupą a linią odniesienia kadłuba wynosi dwadzieścia sześć metrów, nie ma więc żadnych przeszkód fizycznych, ale nie możemy też wykryć żadnych sił typu polowego. Nie podoba mi się to. Mam zamiar się wycofać.

- Nie widzę takiej potrzeby - rzekł Renard. - Dodaj trochę gazu.

Oficer przy mniejszej konsoli na lewo od Dallena podniósł głowę:

- Nic nie wskazuje na to, żeby statek był zagrożony.

- Wszystko jedno - odpowiedział Lessen, krocząc nerwowo jak gołąb. - Centrala Ruchu powiedziała, że przy wszystkich innych portalach warunki są normalne, ale tutaj nie mogą ręczyć za nic. Musimy zadokować gdzie indziej.

- Gówno prawda - rzekł Renard. - Tu w dole czeka na



mnie stacja badawcza roślin i cholernie drogi zespół pracowników naukowych. Lądujemy tutaj.

- Może się założymy?

Lessen manipulował przy tablicy sterującej z demonstracyjną energią, potwierdzając swoją władzę.

Dallen przyjrzał mu się baczniej i zauważył na jego twarzy wyraz złośliwego triumfu, który trwał kilka sekund, ale zniknął, kiedy czerwone i pomarańczowe wzory na konsoli zaczęły się zmieniać. Nowe sygnały akustyczne rozbrzęczały się gwałtownie. Dallen miał poczucie zagrożenia i całkowitej bezradności, kiedy na próżno próbował zinterpretować informacje na rozmaitych otaczających go przyrządach.

„To wszystko jest częścią procesu” - myśl wracała do niego jak temat fugi. - „Orbitsville nie zaczyna płonąć ni z tego ni z owego...”

- Nie wznosimy się - powiedział oficer z lewej.

- Nie mów mi banałów - warknął Lessen. Z jego ust wyciekały kropelki śliny. - Mów, jak to wyjaśnić.

Podwładnemu opadła szczęka.

- Ale...

Sygnał dźwiękowy zagłuszył jego protest. Tym razem nie było to dyskretne ostrzeżenie emitowane na użytek kierowników lotu, ale mrozące krew w żyłach wycie, celowo naśladujące przestarzały klakson dla osiągnięcia jak największego efektu. Po trzech syrenach dał się słyszeć odtworzony z nagrania tekst:

**ALARM! ALARM! KADŁUB CIŚNIENIOWY ZOSTAŁ PRZEBITY. CAŁY PERSONEL MUSI NATYCHMIAST NAŁOŻYĆ SKAFANDRY. ALARM!**

Komunikat był powtarzany w kółko, dopóki Lessen nie

wyłączył głośników na mostku, ale nawet wtedy rozbrzmiewał z dolnych pomieszczeń statku.

Dallen zamarł i z niedowierzaniem patrzył, jak Lessen i inni oficerowie sprawnie podchodzą do szafek, otwierają je i wyjmują ciemnopaszczone golemi skafandry kosmicznych. Renard też zdawał się sparaliżowany, bardziej rozgoryczony niż zaniepokojony. Piegowate ręce złożył na piersiach i stojąc, nieruchomo patrzył na mężczyźni wciskających się w skafandry.

- To nie są ćwiczenia - zawołał Lessen ze wzrokiem utkwionym w Dallenie. - Lepiej zejdź do kabiny i zajmij się rodziną. Znajdziesz dwa skafandry w specjalnej szafce i uszczelnione łóżeczko dla chłopca.

- Nie czuję żadnego spadku ciśnienia - odpowiedział Dallen, nie mogąc strząsnąć z siebie przytłaczającego otępienia.

- Właśnie - wtrącił Renard. - Po co ta cała panika?

Lessen miał na sobie już prawie cały skafander, z wyjątkiem hełmu:

- Nie wiem, co się dzieje - stwierdził - ale zapewniam was, to prawdziwy alarm. Coś uniemożliwiło nam kontakt ze skorupą, a kiedy chcieliśmy się wycofać, coś pchało nas z powrotem. Obie te siły wciąż działają. Tkwimy w imadle, a coś mocno skręca jego rączkę - to właśnie mówią monitory - i ka-  
dłub zaczyna pękać.

- Wydaje mi się, że nie jesteś zbyt zmartwiony - oskarżył go Renard.

- To dlatego, że ja jestem już w skafandrze.

Lessen uśmiechnął się złośliwie do Renarda. Nie miał zamiaru zmienić swojego wrogiego nastawienia, mimo że sy-

tuacja wydawała mu się bardzo zła.

Renard zaklął i ociężale, niezgrabnie pobiegł ku schodom. Jego strzemiona przy butach stuknęły hałaśliwie o metalową podłogę. Dallen pobiegł za nim, jak w spowolnionym śnie. Alarm nadal dźwięczał na niższych pokładach, ale Dallen wciąż miał poczucie nierzeczywistości.

Lessen mówił, że coś tajemniczego i niewidzialnego z niespotykaną siłą oddziaływało na statek - ale czy to „coś” naprawdę istniało? Przestrzeń kosmiczna to sterylna próżnia, a nie siedlisko tajemniczych istot, które atakują statki. *Dziób Jastrzębia* miał już za sobą dni swojej świetności. Najprawdopodobniej nawaliły niektóre jego układy i to wyjaśniałoby wszystko, co się właśnie działo. Przecież fakt, że jakoby nastąpiła jakaś awaria, uzewnętrznił się jedynie na monitorach, a takie urządzenia mogą z łatwo...

*Crang! Cńp-cńp-cńp-crip-CRANG!*

Dallen biegł właśnie między Pokładami 4 i 5, gdy dotarły do niego dźwięki łamanej metalowej konstrukcji. Zaraz potem rozległo się trzaskanie niewidocznych metalowych drzwi. Tym razem Dallen odczuł w uszach spadek ciśnienia i teraz już wiedział, że alarm jest prawdziwy, i bał się. Naprawdę się bał. Kilkoro ludzi, między innymi Sylwia, było już na Pokładzie 5. Pomagali sobie wzajemnie w zupełnie nowej dla nich czynności - w zakładaniu skafandrów. Dallen, zdenerwowany, uśmiechnął się przelotnie do Sylwii, prześliznął się obok i wszedł do swojej kabiny. Mikel, zaciskając w każdej dłoni miniaturowy pojazd, popatrzył na niego niepewnie, ale Cona drzemała w swym łóżku, nieświadoma sytuacji.

- Wszystko dobrze, synu - rzekł Dallen. - Zagramy teraz w nową grę.

Bez przerwy mówił coś uspokajająco do dziecka, otwierając pomalowane na czerwono drzwi szafki i wyjmując hermetyczne łożeczko - jajowaty przedmiot, przezroczysty przy jednym końcu, mogący wewnątrz swobodnie pomieścić dziecka. Dallen, trzęsącymi się z pośpiechu rękami, włożył Mikeła do środka i szczelnie zamknął pudło. Mikel, zaskoczony, patrzył na niego z wyrzutem przez przezroczystą szybę. Potem zaczął płakać. Dźwięk doszedł do Dallena za pośrednictwem głośnika na konsoli sterującej funkcjami łożeczka.

- Tak mi przykro, tak mi przykro - mamrotał Dallen. - Obiecuję, że nie potrwa to długo.

Zdjął z wieszaka skafander dla dorosłego i zajął się czymś znacznie trudniejszym niż przedtem: pakowaniem Cony do środka. Była zbyt naładowana narkotykiem, by stawiać czynny opór, ale jej zwiotczałe i masywne ciało, a dodatkowo jeszcze brak jakiegokolwiek punktu oparcia z powodu zerowej grawitacji, utrudniały mu każdą czynność. Po paru sekundach był już zlany potem. Mikel płakał, głośniki oraz aparatura klimatyzacyjna dudniły cały czas i Dallen miał trudności z koordynacją ruchów. Do tego dochodził wewnętrzny niepokój i dźwięczący w głowie refren:

Co dzieje się ze statkiem?

Co dzieje się z Orbitsville?

Kiedy wreszcie zdołał zapiąć na Conie skafander i sięgał po hełm, rzuciła głową w tył, w mimowolnym spazmie, uderzając Dallena wprost w nasadę nosa. Do oczu nabiegły mu łzy, z nosa wydymuchał kilka kropel krwi. Prawie nic nie widząc, umocował hełm na miejscu. Przez krzywiznę kryształowej szybki zobaczył, jak Cona anielsko się uśmiecha i znów zapada w sen.

Odetchnął z ulgą, a potem wziął swój własny skafander i zaczął go naciągać, gdy nagle grzmiące komunikaty alarmowe umilkły. Nastąpiła chwila ciszy, po czym rozległ się, już cichszy, głos Lessena. Mówił z irytującymi pauzami; albo chciał, by jego słowa brzmiały wyraźniej, albo żeby budziły większą ufność.

- Tu Kapitan Lessen. Poszycie ciśnieniowe uległo poważnym uszkodzeniom. Nie mamy innego wyjścia: musimy opuścić statek. Unikajcie paniki. Niech załoga i pasażerowie zgromadzą się natychmiast w pierwszym kwadrancie Pokładu 4. Powtarzam - unikajcie paniki. Macie do przebycia tylko trzydzieści metrów otwartej przestrzeni. Będą założone liny, by nikt nie poleciał w przestrzeń. Udajcie się natychmiast do pierwszego kwadrantu Pokładu 4.

Dallen skończył wdziewać skafander i zamocował hełm. Natychmiast włączył się aparat tlenowy i systemy regulacji temperatury. Nigdy wcześniej, poza próbnymi alarmami, nie miał do czynienia ze skafandrem i czuł się dziwnie niezręcznie, gdy przywiązał łóżeczko do swego pasa i poszedł ku drzwiom kabiny, niezgrabnie wlokąc za sobą Conę. Inni pasażerowie opuścili już pierścienny Pokład 5, ale jeden z członków załogi, schodzący właśnie na następny poziom, zobaczył, że Dallen ma trudności i przyszedł mu z pomocą, zajmując się przeprowadzeniem Cony na górę po wąskich schodach.

- Dziękuję - powiedział Dallen. - Musiałem dać jej silny środek uspokajający.

- Mnie też by się przydał - odpowiedział mężczyzna. Jego głos, słyszany przez radio w hełmie Dallena, brzmiał dziwnie wyraźnie.

Doszli do śluzy powietrznej i jeden z członków załogi,

ubrany w skafander, wpuścił ich do środka. Kwadratowe pomieszczenie było wystarczająco duże, by pomieścić całe towarzystwo ze statku. Na podstawie szmeru rozmów transmitowanych przez radio w swym hełmie, Dallen ocenił, że chyba wszyscy już tam byli. Trzymając łożeczko w lewej ręce, a prawą przyciskając do siebie cielsko Cony, wepchnął się w tłum. Metalowe drzwi śluzy zasunęły się za nim. Poziom hałasu gwałtownie wzrósł, gdy na ścianach i suficie zapłonęły czerwone światła. Znaczyło to, że z pomieszczenia uchodzi powietrze. Przez pokład przebiegły fale dalszych wstrząsów.

Nagle przez zgiełk przebił się głos Lessena. Jego główny nadajnik wyciszał pozostałe rozmowy.

- Proszę o spokój! Jak zauważyliście, radia w naszych skafandrach pracują na jednej częstotliwości. Skończcie natychmiast niepotrzebne rozmowy, gdyż w przeciwnym przypadku... Cóż, jestem pewien, że wszyscy rozumiecie potrzebę przeprowadzenia całej operacji szybko i sprawnie...

Jego głos zginął, zagłuszony przez gwałtowne rozmowy, ale zaraz wszyscy zamilkli, jakby w poczuciu winy.

Dallen uświadomił sobie, że wewnętrzna wyściółka skafandra ciśnie go w ręce i nogi. Kilka sekund później zobaczył na ścianie pomieszczenia migające światła, inne niż przedtem, i zdał sobie sprawę, że otacza go próżnia. Uczucie, że jest w niepokojąco nowej sytuacji znikło stopniowo, kiedy otworzyły się zewnętrzne drzwi i do pomieszczenia śluzy wpadł słup słonecznego światła, bijącego z nieba tak błękitnego, że aż zapierało dech.

Do tej chwili Dallen myślał o statku jako o czymś, co wisi nad zewnętrzną powierzchnią Orbitsville. Teraz nagle jego sposób patrzenia zmienił się w zawrotny sposób i Dallen czuł,

że widzi wszystko od dołu: wśród pampa-sów Orbitsville znajdował się portal, jak kilometrowe jezioro czerni, jak okrągła studnia pełna gwiazd. Każdy, kto by stanął na jej krawędzi i spojrzął w dół, zobaczyłby *Dziób Jastrzębia* jako ogromną łódź podwodną, która ugrzęzła pod powierzchnią. Ludzie z Wielkiego O mieli gwiazdy pod stopami.

Wszyscy zebrani westchnęli ze zdumienia, gdy drzwi śluzy rozsunęły się całkowicie i z jednej strony prostokątnego otworu ukazał się fragment skorupy Orbitsville. Był to dziwny widok, żaden człowiek niczego podobnego przedtem nie obserwował. Zamiast nieruchomej i pochłaniającej promieniowanie czerni, ujrzano płaszczyznę rozjarzoną bładozielonym blaskiem, którego intensywność dorównywała niemal intensywności nieba wewnątrz Orbitsville. Światło pulsowało w taki sposób, że skorupa zdawała się żyć. Dallen patrzył, porażony tym widokiem, pełen zabobonnej czci.

„Orbitsville nie płonie bez powodu” - myślał. - „To wszystko jest częścią... O jakiej częstotliwości wspominał Renard? Jeden rozbłysk na sekundę? Z pewnością to, co widzę, jest szybsze niż raz na sekundę...”

W pewnej chwili przy brzegu śluzy zaczął się jakiś niespokojny ruch i mężczyzna w białym skafandrze odleciał ze statku ku portalowi, rozwijając za sobą linę. Przebył otwartą przestrzeń w ciągu zaledwie kilku sekund, ale przeleciał trochę za daleko od krawędzi portalu i Dallen zobaczył, jak mężczyzna odbija się od niewidzialnej powierzchni pola przesłaniającego. Skręcił na bok, błyskając przez chwilę silniczkiem raketowym, i zdołał złapać krótką drabinę przymocowaną do krawędzi. Wszedł po niej, w widoczny sposób przepychając się przez odporne jak gąbka pole. Po chwili w otworze pojawili się

inni ludzie; odziani normalnie, poruszali się swobodnie, w słonecznej i ciepłej atmosferze Orbitsville, i widać było, jak pomagają mężczyźni dostać się do bezpiecznej strefy. Patrzący na tę scenę ze statku, spontanicznym okrzykiem powitali ten sukces.

„Udało mu się” - pomyślał Dallen oszołomiony. - „Udało mu się, tak łatwo, i wszystko będzie w porządku, mimo wszystko...”

- Ta pojedyncza lina wystarczy dla naszych celów - oznajmił Lessen. - Będziemy się po niej posuwać, ręka za ręką, zaczynając od pasażerów. Przymocujcie się do liny krótką pętlą, która wisi z boku skafandra. Wszystko pójdzie łatwo, więc nie martwcie się. Teraz zaczynamy!

Dallen posuwał się naprzód wraz ze swymi dwoma nieważkimi ludzkimi pakunkami. Z tłumu wyciągały się pomocne dłonie, pomagając je utrzymać w stabilniejszej pozycji. Przed nim niektórzy pasażerowie, przyczepieni już do liny, posuwali się w górę. Kapitan Lessen, rozpoznawalny dzięki czerwonym trójkątom na ramionach, tkwił na brzegu śluzy, osobiście sprawdzając, czy odchodzący pasażer jest prawidłowo przypięty do liny. Bezpośrednie promienie słoneczne przenikały przez przezroczyste hełmy i Dallen rozpoznał Sylwię, wyruszającą w drogę przez pustkę, i Renarda, wchodzącego bezpośrednio za nią. Sylwia zmierzała ku ich Ziemi Obiecanej płynnymi, silnymi mchami, tak jak się po niej spodziewał.

Ostatnim pasażerem, który miał wyruszyć przed Dallenem, był Gerald Mathieu. Kiedy sprawdzano jego pętlę, patrzył prosto na Dallena, ale nie dał żadnego znaku, że go rozpoznaje. Twarz miał bladą i nieruchomą jak marmur. Nie spojrzął na-



wet na gwiazdną przestrzeń u swych stóp, chwycił za linę i poruszał się machinalnie w górę, wolno przemieszczając jedną dłoń za drugą. Dallen próbował zaczepić Conę bezpośrednio za Mathieu, ale Lessen przeszkodził mu w tym.

- Będzie łatwiej, jeśli pójdziesz pierwszy i zabierzesz żonę za sobą - rzekł. - Co z nią?

- Śpi stojąc.

- To i dobrze. Nie martw się, dostarczymy ją tam.

- Dziękuję.

Z pomocą Lessena Dallen przypiął sobie Conę do pasa, a potem przymocował się wraz z nią do liny poręczowej. Łóżeczko przypięte do jego boku stwarzało dodatkowe utrudnienie, ale brak ciężenia i tarcie o linę działało na korzyść Dallen. Przekonał się, że zadziwiająco łatwo jest posuwać się w górę z tymi dwoma ludzkimi satelitami. Mikel przestał płakać i patrzył spokojnie przez przezroczystą szybę swego jajowatego łóżeczka. Dallen usiłował skoncentrować swą uwagę na słonecznym, niebieskim azylu nad głową. Nie mógł się jednak na tym skupić: dookoła panowała nienasycona czerń i, co gorsza, skorupa Orbitsville świeciła chyba coraz intensywniej. Jasność bijąca od niej była tak silna, że przeszkadzała patrzeć w górę, ale wydawało się, że jej pulsowanie zwiększyło swą częstotliwość do dwóch lub trzech drgnień na sekundę.

„Jeśli częstotliwości drgań będzie się zwiększać w takim tempie, wkrótce staną się one ciągłe” - pomyślał Dallen, a w sercu zaczęło mu kiełkować przerażenie. - „Co wtedy?”

Był teraz w połowie liny i tak blisko Orbitsville, że widział najdrobniejsze szczegóły tego, co dzieje się na krawędzi portalu. Widział, jak przy pomocy innych Sylwia i Renard, przepchnęli się przez pole przesłaniające i stali na brzegu. Ich

sylwetki wydawały się skrócone. Sylwia natychmiast zdjęła hełm i Dallen ujrzał, jak jej piersi podnoszą się i opadają, gdy głęboko wdychała czyste powietrze Orbitsville. Stała dokładnie na krawędzi przestrzeni kosmicznej; kiedy patrzyła w jego kierunku, twarz miała zatroskaną. Dallen spróbował przyspieszyć wspinaczkę i dogonił Geralda Mathieu, który przestał się posuwać naprzód i tylko trzymał linę w zaciśniętych pięściach.

- Mathieu! Co do cholery wyrabiasz?

Dallen umieścił swój hełm tuż przy hełmie Mathieu, spojrzał mu z bliska w twarz i cofnął się z przestachem, kiedy zobaczył ślepe, białe półksiężycy jego oczu i zastygły, zmartwiały uśmiech.

Głos kapitana Lessena zabrzmiał wyraźnie na tle ogólnego zgiełku:

- Co się dzieje tam w górze?

- To Mathieu - odpowiedział Dallen. - Jest martwy albo wpadł w katalepsję.

- Boże! Czy możesz go pchać przed sobą?

- Spróbuję.

Zdając sobie sprawę, że ludzie sunący za nim po linie przybliżają się, Dallen złapał bliższą, tkwiącą w rękawicy dłoń Mathieu, i usiłował rozewrzeć jej sztywne palce. Potem zadygotał przerażony, kiedy stała się rzecz niemożliwa.

Wszechświat rozdzielił się na osobne połówki.

Po lewej stronie od Dallena, poniżej, na tle rozgwieżdżonej galaktyki, rysował się częściowo oświetlony słońcem kadłub statku, na którym jaśniał czerwono prostokąt śluzy, a w nim postacie w skafandrach, przygotowane do wspinaczki po linie. Lessen przyglądał mu się, przesłaniając dłonią oczy

od słońca.

Po prawej stronie Dallena znajdowało się samo bezkresne Orbitsville. Kątem oka dostrzegł na górze Sylwię London i innych na tle delikatnie pozebrowanego błękitu nieba. Z tej strony pozostałą część pola widzenia zajmowała straszliwa zielona jasność materiału skorupy, pulsująca teraz gwałtownie, wiele razy na sekundę.

A pośrodku znajdowała się warstwa całkowitej czerni, oddzielająca dwie półkule wszechświata. Była tak cienka, że obejmowała zaledwie Mathieu, Dallena i jego rodzinę, ale Dal-len rozumiał z nadzwyczajną jasnością, że rozciągała się ona od jednej granicy Kosmosu do drugiej, że był to oddzielny wymiar, inny niż normalne continuum.

„Jak...? ” - Proces myślowy trwał boleśnie długo, gdyż na jego umysł spłynął chłód bliski zera bezwzględnego. - „Jak mogę rozumieć coś, czego nie powinienem móc zrozumieć? ”

Jakaś postać poruszała się w czarnej przestrzeni przed nim, może blisko, a może bardzo daleko. Miała wydłużony kształt, niepodobny do ludzkiego i prawie niewidzialny: czarny zarys na czarnym tle, szklana rzeźba, schowana w czystej wodzie.

- *Nie trwóż się, Garry Daiienie.*

Nie był to głos, ale myśl umieszczona w mózgu Dallena, odbierana przez niego jako słowa, rozpoznawalna poza barierami językowymi.

- *Służę Życiu i dlatego nie stanie ci się żadna krzywda. Wiedz, że należę do rasy, która potrafi prawie dowolnie poruszać się w czasie i przestrzeni. Jesteśmy najdoskonalszym wcieleniem życia rozumnego. Nie można robić rozsądnych porównań, ale ty powiedziałbyś, że jesteśmy tak oddaleni od ludzi na*

*drabinie ewolucyjnej, jak ludzie są oddaleni od, powiedzmy, trylobitów. Nie określamy samych siebie jakąś jednolitą nazwą, ale na twój użytek wygodnym rzeczownikiem, którego konstrukcję oparto na waszych zasadach słowotwórczych, będzie „Ultan”. Powtarzam, że my, Ultanowie, jesteśmy sługami Życia, Nie ma więc powodów do obaw.*

*- Nic nie poradzę na to, że się boję - odpowiedział Dallen.  
- nie zostałem na. to przygotowany.*

*- To prawda. Przypadek sprawił, że znalazłeś się w wyjątkowej sytuacji, ale będzie ona trwała bardzo krótko, nawet według waszych norm - potrwa tylko parę sekund. Prosimy cię tylko o to, byś nie rozrywał chwytu Mathieu na linie, ani żebyś w żaden sposób nie przepychał go ku instrumentowi, który znasz jako Orbitsville.*

*- Dlaczego? Co w ogóle się dzieje?*

Formułując to pytanie, Dallen zrozumiał, że został zmieniony na skutek kontaktu psychicznego z inną istotą. Już samo to, że w takich okolicznościach myślał racjonalnie i logicznie, wskazywało, że przejął od mieszkańca czarnego wymiaru - być może na krótko - nieludzkie cechy. Zrozumiał także, że to, co jego umysł interpretował jako sekwencyjny dialog w ludzkim stylu, było w gruncie rzeczy prawie natychmiastowym przekazem wiedzy.

*- Ty również służysz Życiu - przyszła odpowiedź - i Etyka wymaga, byś został poinformowany o sprawach tyjących twojego istnienia.*

*- Czuj się ostrzeżony, Garry Dallenie!*

Tu wmieszał się inny ultanowski „głos” i jakby szarpnął Dallenem, kierując jego uwagę na inny wycinek otaczającej go warstwy czerni. Kiedy do jego umysłu wtargnął drugi Ultan,

Dallen zobaczył, jak się porusza: ledwo dostrzegalnie czerń modyfikowała czerń.

- *Zaraz zaprezentują ci fałszywą interpretację Etyki - kontynuował nowo przybyły. - Wzywam cię, byś ją odrzucił, jak też wszystko, co z niej wynika.*

- *Poczekaj! Teraz człowiek powinien mieć możliwość wyciążnięcia swoich własnych wniosków i podjąć działanie na ich podstawie - odparował pierwszy z Ultanów.*

- *Zgadzam się, że nasza obecna sytuacja jest patowa. Nie można inaczej postępować niż tak, jak mu powiedziałaś, ale Etyka wymaga, byś przedstawił mu tylko fakty. Nie możesz wpływać na jego decyzję.*

- *Cieszę się, że rozsądek będzie moim adwokatem.*

- *Ja również: może mi to jedynie przynieść korzyść.*

Dallen poczuł, że słucha nieprzejednanych wrogów, istot, które od dawna były zaangażowane w jakąś potężną walkę i które nie miały ochoty na zawieszenie broni. Kiedy istoty te skupiły swą uwagę na sobie wzajemnie, Dallen zauważył, że tuż nad nim Gerald Mathieu trzyma się sztywno liny rękoma i coraz mocniej czuł, że dzieje się coś tajemniczego. Pierwszy z Ultanów chciał przeszkodzić Mathieu w dotarciu do Orbitsville - ale właściwie dlaczego? Jaka mogła być...?

- *Garry Dallenie, porozumienie zostało osiągnięte.*

Osobowość Dallenga znów zagubiła się w osobowości istoty, która jako pierwsza mu się ukazała.

- *Okoliczności naszego spotkania zostaną ci w pełni wyjaśnione, tak że będziesz mógł zdecydować się na przyjęcie zasad Etyki, kierując się wyłącznie rozsądkiem.*

- *Podstawą, na której zbuduje się twoje pojmowanie istoty rzeczy, będzie informacja, że wszechświat, który zamieszkujesz,*

*nie jest Całością. Widzę, że już spotkałeś się z ideami związanymi z tym tematem i dlatego będę używał stosownego języka.*

*Musisz wiedzieć, że w momencie Pierwotnego Wydarzenia, które jest ci znane jako Wielki Wybuch, zostały stworzone cztery wszechświaty. Ten, który zamieszkujesz - Region I w terminologii niektórych waszych filozofów - zrobiony jest, jak ci się wydaje ze zwykłej materii i czas płynie w nim do przodu. Jest on zrównoważony przez inny wszechświat - Region II -który z twojej perspektywy, składa się z antymaterii i czas płynie w nim wstecz. Wszechświat Regionu II porusza się dalej i dalej w waszą przeszłość, chociaż jego mieszkańcy naturalnie uważają, że ich materia jest normalna, a czas płynie do przodu. Nie będą mogli zaobserwować waszego wszechświata, ale wywnioskują, że stworzony jest z antymaterii i zmierza w ich przeszłość.*

*Nadto, tak jak to postulowali niektórzy wasi kosmogoniści, istnieje Region III — wszechświat tachjonowy, który pędzi, wyprzedzając wasz wszechświat w czasie; istnieje również Region IV - wszechświat antytachjonowy, który podąża w waszą przeszłość przed Regionem II. Zgodnie z naturalnym biegiem spraw wszechświaty te nie spotkają się, póki zakrzywienie kontinuum czasoprzestrzennego znowu nie zgromadzi ich razem - wtedy nastąpi kolejny Wielki Wybuch i rozpocznie się nowy cykl.*

*Przez pamięć Dallena przemknął obraz fantastycznej szklanej mozaiki z zawiłymi płatkami.*

*- Potwierdzam, że te idee nie są dla mnie nowe, chociaż osobiście nie pojmuję koncepcji czasu jako takiego, który jest zakrzywiony.*

*- Określenie „czas jako taki” jest źródłem twoich trudności. Wystarczy jednak, byś zaakceptował moje stwierdzenia. My*

*Ultanowie jesteście mieszkańcami Regionu III, waszego wszechświata tachjonowego. Nasza mobilność w czasie i przestrzeni daje nam miażdżącą przewagę, gdy zajmujemy się takimi pojęciami.*

*- Jestem jeszcze bardziej zaskoczony, niż przedtem -odpowiedział Dallen. - Nic mi nie wyjaśniłeś.*

*- Podstawy tej wiedzy są bardzo rozległe. Z tego, co mówiłem, wynika, że wszechświaty stworzone podczas każdego Wielkiego Wybuchu muszą być wszechświatami zamkniętymi. Siła przyciągania w każdym ze wszechświatów musi być na tyle duża, by znów udało się jej przywołać mrowia swych galaktyk z kresów, gdzie uleciały one poruszając się od środka. W ten sposób znowu zbierze się cała materia z Kosmosu, gotowa do następnego Wielkiego Wybuchu.*

*Gdyby tak nie było, galaktyki rozpraszałyby się w dalszym ciągu. W końcu ostygłyby, wymarły, i w Kosmosie zapadłaby całkowita ciemność. Cały Kosmos składałby się z czarnych popiołów, szybkich odśrodkowo ku nieskończonej ciemności. Nie byłoby więcej cykli kosmicznego odrodzenia. Życie skończyłoby się na zawsze.*

*- To wszystko jest dla mnie jasne.*

Choć świadomość Dallenga była zmieniona, zdawał on sobie sprawę, że jego synek patrzy ciemnymi, uważnymi oczyma z wnętrza swojego jajowatego łożeczka.

*- Jednak nadal niczego to nie wyjaśnia.*

*- Przyczyna naszej interwencji w wasze sprawy jest następująca. Po pewnej liczbie następujących po sobie kosmicznych cykli wytworzyła się nierównowaga. Dowiedzieliśmy się, że Region II jest wszechświatem otwartym.*

*Nie może się kurczyć. Będzie już rozszerzać się wiecznie,*

*takie jest jego przeznaczenie, a bez udziału jego materii natura następnego Wielkiego Wybuchu radykalnie się zmieni. Przewidujemy katastrofalne przerwanie cykli kosmicznego odrodzenia.*

Dallen usiłował wzbudzić w sobie troskę o los wszechświata z antymaterii, który wyłonił się przed jakimiś dwudziestoma miliardami lat i wędrował stale od tamtej chwili w przeszłość.

*- Jak mogła powstać taka nierównowaga? Jeśli masa wszechświata Regionu II jest równa masie tego wszechświata, jego grawitacja musi być...*

*- Ale grawitacja to nie wszystko, Garry Dallenie. Istnieje inna, równie istotna siła, która może zwiększyć i wpłynąć na grawitację, która może przenikać i informować materię.*

Dallen przekroczył intuicją zwykły tok rozumowania:

*- Umysł!*

*- Właśnie tak. Grawitony i mindony są wyraźnie strukturalnie pokrewne, chociaż ty nie jesteś jeszcze przygotowany do zrozumienia tego pokrewieństwa. Istnieje jednak między nimi pewna zasadnicza różnica. Grawitacja jest nieodłączną, powszechną i nieuniknioną cechą materii, umysł natomiast powstaje lokalnie, przypadkowo, od czasu do czasu, tam gdzie organizacja materii jest dostatecznie złożona i gdy warunki są sprzyjające. Wtedy rozprzestrzenia się on przez struktury galaktyczne, zwiększając prawdopodobieństwo pojawienia się umysłu jeszcze w innych miejscach i jednocześnie wzmacniając działanie grawitacji.*

*Większość waszych filozofów uważa, że ludzkość niewiele znaczy w układzie kosmicznym, ale wasza rasa i milion innych ras są tym cementem, który związuje wszechświaty. To właśnie*



*myśliciel w ciszy swego gabinetu przyciąga najbardziej oddalone galaktyki z powrotem, z wybrzeży wiecznej nocy.*

*- Tak więc Karał London był na właściwym tropie!*

*- Dallen nie miał czasu, by się tym wszystkim dogłębnie przejąć; wymiana informacji przebiegała z bezlitosną szybkością. - Chcecie mi powiedzieć, że umysł nie rozwinął się we wszechświecie Regionu II.*

*- Tak jest. Nigdy nie powstały sprzyjające warunki. Nawet Ultanowie nie mogą stwierdzić, dlaczego tak jest, ale prawdopodobieństwo, by takie zdarzenie zaszło w sposób naturalny jest tak niskie, że podejrzewamy złośliwą interwencję we wczesnych stadiach historii Regionu II.*

*- Protestuję! - Drugi Ultan poruszył się w czerni. -Pozwoliłem ci na dostęp do człowieka bez żadnych przeszkód, ale ty nadużywasz mej cierpliwości, używając terminów w rodzaju „złośliwy” dla sił naturalnych, które kształtują Całość.*

*- Proszę o wybaczenie, ale dla Garry'ego Dallena jest ważne, by rozumiał w tym momencie, iż nigdy nie uważaliśmy sytuacji za nieodwracalną. Przedsięwzięliśmy kroki, by ją znormalizować.*

*- To oznacza... - W mózgu Dallena wybuchła nova.*

*- Orbitsville!*

*- Tak. Orbitsville jest instrumentem, który został stworzony, by przyciągać inteligentne formy życia, a potem transportować je przez czas do wszechświata Regionu II. Moment wyruszenia w drogę zbliża się.*

*- Nie! - Więż między Dallenem a Ultanem zaczynała słabnąć, ale wciąż był zbyt zniewolony przez tego prawie niewidzialnego kosmitę, by reagować logicznie nie zaś*

*Uczuciowo. - To nie może się udać! To nie będzie miało*

żadnego znaczenia -jedna sfera na cały wszechświat.

- Przygotowaliśmy więcej takich sfer. Chcieliśmy Zyskać pewność, że złapiemy odpowiednią liczbę istot. Skonstruowaliśmy podobne instrumenty w każdej galaktyce waszego wszechświata. W każdej galaktyce, zależnie od rozmiarów, znajduje się osiem do czterdziestu sfer, każda z nich w miejscu sprzyjającym powstaniu i rozwojowi życia rozumnego. Odkrycie Orbitsville przez waszą rasę nie było całkowicie dziełem przypadku.

- Sto miliardów galaktyk, pomnożone przez...! — Dallen próbował obliczyć liczbę Orbitsvilli rozproszonych we wszechświecie i przeraził go ten wynik.

- To może wydać się dużo, według ludzkiej skali, ale Wszechświat Regionu II zawiera tyle samo galaktyk, co ten wszechświat i wszystkie muszą być obsiane. Wymaga tego Etyka.

**WCALE NIE!**

Drugi Ultan sprzeciwił się gwałtownie. Dallen, zdeorientowany, czuł, że słabnie niehumanitarna siła przekonywania pierwszego Ultana. Wrócił nieco do swego normalnego stanu psychicznego i kiedy jego uczucia stanęły do Walki z intelektem, myśli skupiły się na Sylwii London. Ona była na Orbitsville. A Orbitsville, które pulsowało obecnie tak gwałtownie, że oko odczuwało tylko gorączkowe bębnienie po siatkówce, miało za chwilę wyruszyć...

- Garry Dallenie, sam dostrzegasz błędy w tej interpretacji Etyki.

Kiedy drugi Ultan wpakował się w umysł Dallena, ten dostrzegł go jako ożywiony, wirujący prąd czerni.

- Ja wraz z wieloma istotami mego rodzaju rozumiemy, że

*my, Ultanowie, nie mamy prawa narzucać swojej woli, naszej z konieczności ograniczonej wizji, naturalnemu porządkowi Całości. Nierównowaga między Regionami I i II zapowiada drastyczne zmiany, ale były to zmiany, w wyniku których powstałiśmy my i wszystko co znamy. Sprzeciwianie się zmianom jest złe. Całość musi ewoluować.*

*- Dlaczego mi to mówisz? - Psychiczna presja, którą odczuwał Dallen, stała się nie do wytrzymania. - Jestem tylko człowiekiem i mam inne...*

*- Przypadek zrządził, że znalazłeś się w wyjątkowej sytuacji, Garry Dallenie. Moje siły nie mają przewagi w tej właśnie galaktyce i musiałem działać ukradkiem.*

*Dowiedziałeś się, że Orbitsville jest instrumentem. Aby zlikwidować jego wpływ, ja również skonstruowałem instrument - musi on tylko dotknąć skorupy Orbitsville, a ona go wchłonie, zmieni się i na stałe zakotwaczy w kontinuum Regionu I. Ten instrument posiada formę fizyczną istoty, którą znasz jako Geralda Mathieu.*

*Wybrałem go, ponieważ on sam chciał zakończyć swe życie i ponieważ w waszym społeczeństwie funkcjonował w takich okolicznościach, że mógł pojechać na Orbitsville i zbliżyć się do niego niepostrzeżenie. Kiedy się zabił, z rozmysłem roztrzaskując swój samolot, odtworzyłem go, przeprowadzając modyfikacje fizyczne niezbędne do osiągnięcia mego celu, i skierowałem go do tego punktu.*

*Niestety, jego zbliżanie się wykryto i przygotowania do wysłania tej sfery w Region II zostały przyśpieszone. Ponadto olbrzymie energie skierowano przeciwko ciału Geralda Mathieu, paraliżując je, neutralizując mój układ energii.*

*A teraz wszystko zależy od ciebie, Garry Dallenie.*

*Jesteś języczkiem u wagi, na której balansują dwie siły, największe jakie istnieją we wszystkich wszechświatach. Żadna z nich nie może cię zdominować - a twój własny rozsądek, wola i siła fizyczna mogą zdecydować o sprawie istotnej dla Kosmosu.*

*Tylko sekundy pozostały do chwili, kiedy sfera powinna wyruszyć, ale masz jeszcze czas, by przerwać chwyt Geralda Mathieu na linie i pchnąć jego ciało, by zetknęło się ze skorupą.*

*Ja, w imieniu Etyki, obarczam cię tą odpowiedzialnością...*

Dallen głośno załkał, kiedy dwie półkule podzielonego wszechświata zetknęły się.

Jego zmysły wróciły do stanu normalnego. Wiedział, że całe spotkanie z Ultanami zaszło między dwoma kolejnymi uderzeniami serca. Westchnienia i zaskoczone okrzyki w odbiorniku jego skafandra sugerowały, że obserwatorzy w służbie *Dziobu Jastrzębia* dzielili w pewnym stopniu to samo doświadczenie. Trzy towarzyszące mu istoty, choć były w centrum ekstrawymiarowego zdarzenia, wiedziały najmniej: Cona unosząca się w narkotycznym otępieniu; Mikel patrzący nierozumiejącym, promiennym wzrokiem; Gerald Mathieu, zmarły, ale nie martwy, zastygły przy linie, która wiła się w górę do...

Dallen wstrzymał oddech, kiedy zobaczył, że materiał skorupy stał się płaszczyzną zielonego ognia, a jej pulsowanie teraz tak częste, że prawie się go nie dostrzegało. Orbitsville zaraz miała wyruszyć. Nie było już rezerwy czasowej. Sylwia stała na krawędzi portalu, wychylając się niebezpiecznie nad otchłanią, ale Rick Renard powstrzymywał ją ramieniem. Poruszała ustami, formując słowa, które Dallen chciał usłyszeć; wzrokiem przywarła do oczu Dallena.

- Sylwio - krzyknął, wznosząc się ku niej po linie.

Sztywne ciało Mathieu zagradzało drogę, jego ślepa twarz patrzyła uśmiechnięta. Mówiono o wielkiej odpowiedzialności... o przeniesieniu instrumentu, jakim był Mathieu, przez ostatnie metry przestrzeni... ale na to potrzeba by czasu... a nie było już czasu... materiał skorupy świecił jasno jak słońce... płonął ciągłym blaskiem...

„Koniec z postępowaniem fair” - wrzasnął Dallen wewnętrznym głosem. - „To jest dla MNIE!”

Odpiął się od liny, od bezwładnej figury swojej żony, od kołyski syna. Przeszedł po skafandrze Mathieu w gorączkowym pośpiechu i rzucił się ku brzegowi portalu. Sylwia wyciągnęła rękę, jakby pragnąc go pochwycić...

Ale Orbitsville zniknęło.

Spóźnił się do Sylwii o sekundę, a teraz była od niego oddzielona ogromem czasu, równym podwojonemu wiekowi wszechświata.

Dallen podciągnął kolana do podbródka, zamknął oczy i zaczął powoli koziołkować w stworzoną dopiero co pustkę.

## ROZDZIAŁ 18

Kwaterę główną Fundacji Anima Mundi Londona umieszczono na południe od Winnipeg, niedaleko od miasta. Zrobiono tak z wielu powodów, głównie jednak ze względów organizacyjnych. W pobliżu mieściła się Centrala Metarządu, największa część maszyny administracyjnej, jaka pozostała na Ziemi. Dlatego Winnipeg było głównym ośrodkiem istniejącej już wcześniej sieci transportowej i komunikacyjnej. Z Księżyca, z rozmaitych stacji orbitalnych i z Terranovy - jedynej planety odkrytej przed Orbitsville i zepchniętej przez nie do roli zapadłej prowincji - sączył się strumyczek transportu kosmicznego. Natężenie ruchu ledwo, ledwo usprawiedliwiało utrzymywanie tego całego kompleksu, ale komunikację uważano za ważny czynnik Renesansu. Ogólny obraz był bardziej optymistyczny niż spodziewało się wielu futurologów, ale upłynie jeszcze dużo czasu, zanim w gałęziach przemysłu o wysokim poziomie technicznym pojawią się jakieś nadwyżki mocy produkcyjnych.

Dallen miał swoje własne powody, by być zadowolonym z położenia Kwatery. Odpowiadało mu, że pogoda w tym miejscu była często taka, jak na jego rodzimym Orbitsville. Zdarzały się dni, szczególnie wiosną i na jesieni, kiedy ostre, czyste powietrze, napływające z prairii pokrytych wysoką trawą, wywoływało wspomnienia. Jeśli zdarzało się to nagle, zadzierał głowę i spoglądał w niebo, jak gdyby mógł tam ujrzeć jedwabiste, bładniebieskie łuki, widywane przez niego w dzieciństwie. Nawet w środku lata, kiedy temperatury były wyższe niż te, które lubił, powietrze drgało i miało taką świeżość, jaka nigdy nie kojarzyła mu się z Ziemią.

„To niezłe miejsce na wychowywanie syna” - myślał czekając, aż przefiltruje się jego poranna kawa. - „Bardzo dobre miejsce.”

Był kryształowo czysty poranek, jeden z wielu podobnych pięknych poranków tego lata, a jednak kiedy Dallen poruszał się wśród znajomych sprzętów w swej kuchni, zdawał sobie cały czas sprawę, jaki jest dziś dzień. Dwudziesty piąty sierpnia 2302 roku. Tylko dziewięć lat minęło od chwili, gdy Orbitsville przeniosło się do innego wszechświata, ale minęły aż dwa pełne wieki od chwili, gdy statek badawczy opuścił system Ziemia - Księżyc, kierując się ku nieznanemu Kosmosowi. A teraz *Krzysztof Kolumb* czekał wyekwipowany na Pierwszym pasie Biegunowym, gotów sprawdzić się w podróży przez usianą gwiazdami nieskończoność, i ta dzisiejsza data wejdzie do podręczników historii.

Myśl o podręcznikach wyciągnęła Dallenga z kuchni i zaprowadziła do miłego pomieszczenia o wysokich oknach, którego używał jako gabinetu. Jedną ze ścian stanowił zrobiony na zamówienie regał z palisandru, zawierający czterysta ksiąg. Wiele z nich miało starodawne oprawy, co świadczyło o tym, że są to wczesne ich wydania. W środku regału, za szkłem, znajdowała się spisana ręcznie lista lektur, która stanowiła podstawę całego zbioru. Dallen uśmiechnął się i spoglądając na grzbiety książek, poczuł zadowolenie i dumę z tego, że przeczytał każdy z tych tomów od Chaucera, aż do największych poetów XXIII wieku. Jego mózg, przez dziewięć lat wytrenowany w technikach absolutnej pamięci, bez trudu odtworzył okoliczności, w jakich odzyskany został ten spis...

Przez długie, bolesne minuty po zniknięciu Orbitsville, ludzie, którzy próbowali dostać się do Portalu 36, byli zbyt

wstrząśnięci, by składnie myśleć czy też konstruktywnie działać. Dallen pamiętał, jak powoli spadał ku słońcu, a w jego umyśle chaotycznie walczyły ze sobą obce mu pojęcia. Miał również miazdzące uczucie straty osobistej. Nie był w stanie przejmować się tym, czy zginie czy go uratują. Był już oddalony o tysiące metrów od *Dziobu Jastrzębia*, kiedy ktoś z załogi, wysłany przez Kapitana Lessena, złapał go i przy użyciu swoich silniczków rakietowych odtransportował w bezpieczne miejsce. Poszycie ciśnieniowe statku, uwolnione nagle z uścisku niewidzialnego imadła, uszczelniło się w takim stopniu, w jakim pozwalała na to jego sprężystość i utrata powietrza przestała być groźna.

W ciągu dni, które potem nastąpiły, kiedy już pogodzono się z niewiarygodnym faktem zniknięcia sfery, a pozostawał praktyczny problem powrotu na Ziemię, Dallen zatracił się w ciężkiej pracy.

Gdy Orbitsville zniknęło ze zwykłego kontinuum, na orbicie wokół tamtego słońca, pozostało wiele statków, zarówno frachtowców jak i liniowców pasażerskich. Jeszcze więcej było rozmaitych statków międzyportalowych - wiele z nich odbywało właśnie podróż ku celom, które tymczasem przestały istnieć. Zdarzało się nawet, że pracownicy, zatrudnieni przy konserwacji zewnętrznych urządzeń portowych, zostali w kosmosie, przyczepieni do odciętych fragmentów kołysek do dokowania.

Operacje ratunkowe ułatwiał fakt, że wszystko, co pozostało w Kosmosie, poruszało się po stabilnej i wolnej od innych obiektów orbicie wokół słońca i miało pod dostatkiem słonecznego ciepła. Najpierw przy pomocy małego stateczku, zlokalizowano i zebrano wszystkich pracowników, którzy



przebywali w próżni w skafandrach czy kapsułach bez napędu. Potem wszystkie statki, duże i małe, zebrały się w pojedynczy, orbitujący rój i te przeznaczone do podróży międzygwiazdnych wzięły na pokład wszystkich ludzi, którzy znaleźli się w tamtym rejonie przestrzeni. Ten etap operacji był trochę utrudniony, gdyż właśnie przybyło dwanaście statków z Ziemi i jeden z Terranovy. Kiedy zniknęło Orbitsville, wszystkie znajdowały się w swoich osobliwych przestrzeniach. To nie stanowiło jednak głównego problemu. Trudniejszym zadaniem okazało się uzmysłowienie załogom, co się naprawdę wydarzyło, ale i z tym wkrótce się uporano. Łatwo było zademonstrować zadziwiającą tezę, że Orbitsville już nie istniało.

W czasie gdy na nowo formowano powracającą flotę, Dallen zdążył zabrać rzeczy swojej rodziny ze skazanego na zagładę *Dziobu Jastrzębia* i przenieść je na stary, ale pełen przepychu liniowiec pasażerski *Rosette*, gdzie przydzielono mu apartament. I właśnie kiedy przepakowywał jakieś graty, znalazł listę lektur zwiniętą i wepchniętą w rzadko używany woreczek na tytoń. Cona przygotowała dla niego tę listę przed trzema laty. Zawierała ona czterysta książek, które Cona uważała za ważne i nalegała wciąż, by je przeczytał.

- To tylko na początek - mówiła z uśmiechem. - Po prostu żebyś się zorientował, skąd idziesz i dokąd powinienesz zmierzać.

Dawny Dallen odmówił przyjęcia tego intelektualnego daru. Nie próbował choćby zajrzeć do którejś z tych książek, wywołując tym cierpienie, z którego nie zdawał sobie nawet sprawy. Nowy Dallen był jednak zdecydowany to naprawić. Tego wyjątkowego, przedziwnie słonecznego poranka, kiedy dotykał politurowanego drewna regału, szanował wszystko,

co zostawiła dla niego była żona i przyznawał jej rację. Ciało, które kiedyś należało do Cony, zamieszkiwała teraz radosna i nieskomplikowana młoda kobieta, której wiek umysłowy wynosił około trzynastu lat. Żyła na pobliskiej, należącej do Fundacji, farmie. Z opóźnieniem stosując się do porady swego byłego lekarza, Dallen przechrzcił ją na Carol i właśnie tego imienia używał, kiedy o niej myślał.

Odwiedzał Carol raz w miesiącu i od czasu do czasu wyruszali razem na konną przejażdżkę. Dallen cieszył się za każdym razem, że ich związek, choć przyjemny, jest dość chłodny i nie wymaga zaangażowania emocjonalnego. Carol traktowała go jak wujka; czasami bardzo zadowolona była z jego wizyt, a czasem okazywała zniecierpliwienie, że odciąga się ją od stajni. Dzięki aktywnemu życiu na farmie zeszczupiała. Wyglądała młodziej, niżby na to wskazywał jej wiek i, kiedy Dallen widział ją z daleka, nie przypominała mu prawie wcale byłej żony.

„Cona Dallen już tutaj nie mieszka.”

W ten sposób Dallen przekonał się, że po pewnym czasie każdy żal musi wygasnąć.

- Kawa za pięć minut - wykrzyknął, słysząc pierwsze, przytłumione,, puf staromodnego ekspresu w kuchni. Ustawił nakrycia do śniadania dla trzech osób, a potem wrócił do gabinetu i zasiadł przy biurku. Komputer wyświetlił mu plan dzisiejszych zajęć. Dallen nie mógł się jednak skoncentrować na symbolach, gdyż za oknem - cóż za nostalgiczny widok - murawa i krzaki lśniły jakby fosforyzującym blaskiem, a *Krzysztof Kolumb* krążył hen, nad atmosferą, przygotowując się do podróży w głęboki Kosmos. Dallen sięgnął po fajkę i zaczął ją napełniać, ale myślami powędrował ku swym przeży-

ciom w czasie ubiegłych dziewięciu lat.

Większości ludziom odradza się rozpamiętywanie przeszłości, ponieważ na ogół nie jest to korzystne dla ich psychiki. Jednak dla Dallena stało się ono dosłownie sposobem życia, jego profesją. Dallen był głównym szefem projektu „Odzysk”, rozpoczętego kilka tygodni po powrocie na Ziemię. Początkowo zespół stanowiło trzydziestu jeden z trzydziestu czworga ludzi, którzy byli świadkami brzemiennego w skutki spotkania z Ultanami; każda osoba w niepowtarzalny sposób przyczyniła się do zrekonstruowania zbiorowych wspomnień; każda przeżyła tamten trudny do opisanie nie zwerbalizowany, bezpośredni kontakt umysłów, ale poszczególni ludzie rozmaicie interpretowali to wspólne doświadczenie, modyfikując je w zależności od swej inteligencji, światopoglądu czy wykształcenia.

Zapisy holograficzne tamtego wydarzenia - były na nich rozmyte obrazy czarnych istot drżących na tle czerni - stanowiły dowód dla pozostałej części ludzkości, że coś się rzeczywiście wydarzyło. Powstało wiele teorii interpretujących to jako masową histerię i dopiero różnorodność reakcji uczestników ostatecznie je wszystkie obaliła. Na przykład wspomnienia doktor Glaister, specjalistki od fizyki cząsteczkowej, bardzo różniły się w niektórych szczegółach od wspomnień Dallena, zwłaszcza w miejscach, w których „dialog” dotyczył związków między mindonami i grawitonami. Dokładne obrazy, które odebrała pani doktor - „peryglacjalne kamee zimnej logiki, z przeświecającymi czarnymi lodami wieczności”, jak je opisała - ożywiły całą gałąź fizyki, choć prawie wszyscy uczeni aktywni w tej dziedzinie zostali przeniesieni do wszechświata Rejonu II.

Podobnie było w przypadku kilku ekspertów technicznych z załogi *Dziobu Jastrzębia*. W wyniku ich pracy powstała konstrukcja statku badawczego *Krzysztof Kolumb*, zdolnego do podróży z niemal tachjonowymi szybkościami. Miał on udostępnić ludzkości jądro galaktyki. Inni członkowie tej samej grupy stworzyli kadrę natchnionych działaczy przemysłowych, którzy korzystając z materialnej pomocy Terranovy, odgrywali istotną rolę w Renesansie.

Tamto unikalne spotkanie nie dla wszystkich było jednakowo korzystne. Trzej ludzie, ci, którzy nie mogli uczestniczyć w projekcie „Odzysk”, zostali wtrąceni w głęboki autyzm, a jego objawy nie ustępowały. Sam Dallen, najbardziej ze wszystkich wystawiony na działanie psychicznej energii Ultanów, przez całe tygodnie czuł się wytrącony z równowagi; dręczyły go nocne zmory i brak apetytu, był na przemian oziębiały i podniecony. Kiedy dowiedział się, że jego praca dla Projektu będzie związana z wielokrotnym, dogłębnym i całkowitym pamięciowym odtwarzaniem przebiegu spotkania, odmówił z początku wszelkiej współpracy i dopiero stopniowo pokonał swój instynktowny lęk. Zresztą niezbyt wierzył w założenia Projektu.

Główna idea polegała na tym, by użyć Ultanów jako rezonatora dla naukowych i filozoficznych problemów, które zostaną umieszczone w mózgu Dallena. Planowano, że będzie się go wspomagać narkotykami, a on, stosując retrospekcję, mógłby znowu i znowu spotykać niezemskie istoty, odtwarzać swój szczególny stan świadomości, dowiadywać się czegoś nowego lub potwierdzać istniejące teorie; żniwa, zbieranie pokłosa i uronionych ziaren trwałoby dopóty, dopóki by osiągnano jakieś wyniki.

Jego sceptycyzm stopniowo zniknął, kiedy stwierdził, że razem z Billi Glaister wpłynęli na zmianę sposobu myślenia ludzi w tak zasadniczej sprawie jak los wszechświata. Kosmologowie nie mogli znaleźć dotychczas we wszechświecie dostatecznej ilości materii, by uprawomocnić hipotezę, że wszechświat jest ograniczony i wobec tego cykliczny. Nawet istnienie czarnych dziur niewiele tu zmieniało. Mogli co najwyżej przyjąć model Einsteina - de Sittera, wszechświata bez brzegu lub płaskiego, który jedynie się rozszerzał, ale za to trwał nieskończenie długo. Składnik mindonowo - grawitacyjny wymuszał dodatnią krzywiznę czasoprzestrzeni, zapowiadając nieskończony ciąg Wielkich Zapaści i Wielkich Wybuchów. Kosmologiczna skala czasu była taka, że Dallen nie czuł zbytniego zaangażowania osobistego w tę sprawę, ale zdołał zauważyć, że wszechświat cykliczny bardziej zadawała filozofów.

Znacznie bliżej interesowały go problemy, którymi zajmowała się mindonowa nauka Renesansu. Sam fakt, że nie tylko akceptowała ona nieśmiertelność jednostki, ale z nieśmiertelności czyniła swój kamień węgielny, sprawiał, iż ta dziedzina wiedzy nie przypominała innych. Bujna, optymistyczna, skierowana ku życiu, mistyczna, pełna niespodzianek, szczyła się, że ma za hasło stwierdzenie, które Dallen przy pomocy hipnozy wy dobył ze swojej rozmowy z Ultanami: *To właśnie myśliciel, w ciszy swojego gabinetu, ściąga z powrotem galaktyki z mrocznych wybrzeży.*

Dallen lubił patrzeć na siebie jako na integralną część wszechświata. Smakował ironię zawartą w fakcie, że istoty ludzkie, które przecież do niedawna akceptowały średni czas życia równy około osiemdziesięciu latom, obecnie dyskuto-

wały o perspektywie przetrwania następnego Wielkiego Wybuchu w swoich mindonowych aspektach.

- Nauka zajmowała się głównie doczepianiem coraz większej liczby miejsc po przecinku - powiedział mu jeden ze współpracowników. - Teraz dodajemy stopy zer.

Nauka mindonowa niosła z sobą solidny optymizm i wiele krzepiących elementów. Dla Dallena był to niezbędny bodziec, by włączyć się do Projektu „Odzysk”. Osobom postronnym wydawało się, że najtrudniejszą częścią jego pracy była umysłowa szamotanina, gdy po okresach intensywnego studiowania zawitych dziedzin, następowały seanse psychoanalizy, a po nich składanie raportów. Dallen czuł, że ten proces pustoszy go intelektualnie, ale przede wszystkim, męczyło go napięcie emocjonalne, ponieważ za każdym razem, gdy cofał się do tamtej chwili, tracił Sylwię London. Jeden system pojęciowy wymagał, by myślał o niej jako o kimś, kto przeżył swe życie miliardy lat przed uformowaniem się najstarszych gwiazd we wszechświecie; ale według innego systemu pojęć - systemu, w który Dallen wierzył instynktownie i naturalnie - Sylwia żyła pełnią życia, oddzielona od niego tylko na skutek złośliwej sztuczki kosmicznej geometrii. Obu tym systemom spłacał daninę gorzkich łez.

Wiele lat temu, po przedwczesnej śmierci matki, Dallena miesiącami nawiedzały fantastyczne sny, w których matka wciąż żyła, a kiedy się budził, czuł taki żal, jak bezpośrednio po tamtym wydarzeniu. Podobnie teraz zdarzało się z powodu Sylwii. Znowu i znowu, w powolnej niby egzystencji hipnotycznych wspomnień, widział, jak Sylwia, wyciągając ku niemu ramiona, frunie ku górze, do brzegu portalu. Widział jej łzy i czytał z ruchu jej warg słowa: „Kocham, kocham, kocham cię...

”.

Potem przychodziły rozmaite sny. W niektórych docierał do portalu, przeciskał się przez pole przesłaniające i wyruszał z Sylwią w podróż do wszechświata Rejonu II; w innych Sylwia pozostawała z nim w normalnym kontinuum. Ponieważ jednak sny są snami, mają własne prawa i logikę, najbardziej męczył Dallenga ten, który z przedzy rzeczywistości tkął wzór najbardziej fantastyczny, najmniej prawdopodobny. Dallenga wiedział od samych Ultanów, że w systemie Drogi Mlecznej znajduje się od ośmiu do czterdziestu kolosalnych sfer. Powiedziano mu też, że sfera, znana ludzkości jako Orbitsville, została zmuszona do przeniesienia się wcześniej niż planowano. Oznaczało to, że w rozmaitych ramionach Galaktyki nadal znajdują się inne sfery, czyniąc swe niespieszne przygotowania do przenosin w inne continuum. We śnie Dallenga podróżował na statku tachjonowym, odnajdywał jedną z pozostałych sfer i wchodził do niej akurat na czas, by zostać przetransportowanym do galaktyki Rejonu II. Śniąc, opuszczał drugą sferę i leciał z magiczną łatwością prosto do Orbitsville, gdzie znowu spotykał Sylwię.

Dla pogrążonego we śnie umysłu, takie epickie podróże nie wyglądały wcale nedorzecznie. Były zupełnie naturalne i normalne, i podświadomość Dallenga najczęściej wybierała właśnie taką wizję, wizję której właśnie te wszystkie nierealistyczne szczegóły dodawały wyrazi stości. Początkowo Dallenga spodziewał się, że sny te będą wciąż go prześladować. Potem zdał sobie sprawę, że żal po stracie Sylwii spotyka to, co w sposób nieunikniony spotyka wszystkie silne uczucia. Ból osłabł - zmienił się w smutek, smutek złagodniał - zmienił się w rezygnację, a potem Dallenga uświadomił sobie, że jest już in-

nym człowiekiem. Kiedy w końcu uznał, że rzeczywiście zasługiwał na to, by kochać Sylwię i być przez nią kochanym, jego charakter zaczął się zmieniać. Proces ten przyspieszył fakt, że po raz pierwszy w życiu Dallen miał pracę, absorbującą i wartą wykonywania.

Kosmogonia i kosmologia były tylko częścią Projektu „Odzysk” - pozostawała jeszcze sprawa samych Ultanów. Dallen, jako człowiek, który miał najbliższy kontakt umysłowy z tymi tajemniczymi istotami, został wysunięty na pozycję głównego eksperta tej zupełnie nowej dziedziny badań. Zdawał sobie jednak sprawę ze swoich ludzkich niedostatków. Podobnie jak pozostali ludzie, którzy uczestniczyli w spotkaniu, kiedy próbował nawiązać emocjonalny kontakt z Ultanami, spenetrować ich umysły, doświadczał jedynie wszechogarniającego uczucia zimna. W przypadku Dallenga uczucie to potęgowało wspomnienie lodowatego chłodu kosmitów. Beznamiętnie powoływali się na logikę, próbując wpłynąć na niego wtedy, gdy jedynie sekund brakowało do przenosin Orbitsville.

Wysuwano rozmaite hipotezy i przeczesano im. Być może ludzie, tak jak aparaty radiowe nastawione na jedną częstotliwość, nie odbierali całego szerokiego widma przekazów telepatycznych. Wnioskowano, że Ultanowie są chyba zdolni do uczuć podobnych uczuciom ludzkim, ponieważ zaangażowali się w konflikt i nie omieszkali stosować podstępów. Z drugiej strony możliwe też, że nie przejawiali żadnych emocji ponieważ los Orbitsville, tak ważny z ludzkiej perspektywy, był czynnikiem niezwykle mało znaczącym w świecie Ultanów - taki argument zatrząwał wiele osób. Cóż znaczyła jedna sfera, skoro biliony podobnych przygotowano w ramach tytanicznej



walki o kształt przyszłego wszechświata? Na podstawie faktu, że Orbitsville znajdowało się teraz w Rejonie II, nie można było wyciągać żadnych wniosków ani na temat możliwego wyniku tej walki, ani na temat nadwymiarowej symetrii nowego Wielkiego Wybuchu. Orbitsville znaczyła zbyt mało, była pojedynczym ziarenkiem piasku na brzegu wzburzonego morza.

- Po raz ostatni wzywam na kawę - ryknął Dallen. - Jeśli nikt się nie zgłosi, sam wszystko wypiję.

Odpowiedziało mu szuranie i śmiech od strony sypialni, a w sekundę później Nancy Jurasek i Mikel przepychając się weszli do kuchni. Nancy była inżynierem w Biurze Rekonstrukcji Przemysłu w Winnipeg. Zajmowała się odbudową i uzdatnianiem miejskiej infrastruktury dla potrzeb ludzi, którzy powracali do miast ze starych niezależnych wspólnot. Energiczna, czarnowłosa, mieszkała razem z Dallenem dwa lata i nawiązała w tym czasie doskonałe stosunki z Mikelem, grając rolę zastępczej matki lub, kiedy było trzeba, siostry, ale przede wszystkim była po prostu sobą. Niezwykle cenne było to, że przyczyniła się do rozwoju u Mikela bezceremonialności i poczucia humoru. W klasztornej atmosferze Fundacji nie rozwinąłby najprawdopodobniej samodzielnie tych cech.

Mikel wziął od Dallenga kubas z kawą, pociągnął łyk, skrzywił się z niesmakiem, a potem powiedział z powagą:

- W związku z podróżą *Krzysztofem Kolumbem* najbardziej cieszy mnie to, że nie będę już musiał pić kawy tatusia.

Dallen udał urażonego.

- Miałem zamiar przygotować dla ciebie wielki termos na drogę.

- Prawo zabrania przewozu odpadów toksycznych.

Mikel uchylił się od wymierzonego żartem klapsa, za-

siadł do śniadania i zaczął jeść grzanekę. Obdarzony był nieposkromionym apetytem i chociaż nie miał jeszcze jedenastu lat, górował wzrostem nad Nancy. Obdarzony był również wielkim talentem w dziedzinie matematyki i fizyki i w pełni zasłużył sobie na miejsce w zespole naukowców *Krzysztofa Kolumba*. Dallen z mieszanymi uczuciami wyraził zgodę na jego udział w locie badawczym. Czuł instynktownie, że syn jest za młody, by opuścić dom i udać się w Kosmos, choćby tylko na dwa miesiące. Gdy wracał myślami do spotkania z Ultanami, przypominał sobie migawkowe obrazy niemowlęcej twarzy Mikela, błysk jego ciemnych oczu, patrzących z wnętrza jajo-watego pojemnika. Nigdy o tym nie dyskutował z innymi, i niczego nie można było udowodnić, ale był niemal przekonany, że jego syn narodził się w tamtej chwili na nowo - prawdziwe dziecko Kosmosu. Zrządzeniem losu, jego umysł i mózg zostały przygotowane przez Geralda Mathieu do tej szczególnej konsultacji z Ultanami - tabula rasa, którą mogli zapisać kosmici.

Jeśli naprawdę tak było, jeżeli Mikel został w szczególny sposób przygotowany do poprowadzenia nowych pokoleń ku gwiazdom, można to było uważać za dziwną okoliczność łagodzącą dla Mathieu. Czasami Dallen cofał się myślami do strasznych wydarzeń sprzed dziewięciu laty, ale nie znajdował w sobie śladów tej nienawiści, która zdominowała i zniekształciła wówczas część jego życia. Kiedy przyholowano Geralda Mathieu z powrotem do służby *Dziobu Jastrzębia*, przekonano się, że nie żyje, choć nie stwierdzono żadnych fizjologicznych przyczyn śmierci. Jego ciało spalono w słońcu Orbitsville i Dallen czuł, jakby wszystkie jego negatywne uczucia również spalono w tym gwiazdym tyglu. Teraz cały ten epi-

zod wydawał się snem i zostały z niego jedynie echa uczuć, błędzące cienie spraw, które mogły się wydarzyć.

„Czy grupa, która dotarła do portalu, również miała kontakt umysłowy z Ultanami? ” - Popijając kawę Dallen stawił sobie te znajome pytania, pytania bez odpowiedzi. - „Czy zawiadomiono ich telepatycznie o zaistniałej sytuacji? Czy też może zostali zaskoczeni, kiedy statek i wszystko, co było z nim połączone, przestało istnieć, a pod ich stopami zajaśniały nieznane konstelacje? Czy Sylwia i Renard mają dzieci? Co robi ona teraz, właśnie w tej chwili, czterdzieści miliardów lat temu, w innym wszechświecie? ”

- Jakoś dzisiaj mało mówisz - stwierdziła Nancy. - Marzysz się o Mikela?

- Nie, *Kolumb* to dobry statek - odparł Dallen patrząc na syna, który ciągle żuł grzanekę. - I nie będzie go tylko przez dwa miesiące.

- Dwa miesiące w *tej* podróży - odrzekł Mikel, a w jego oczach pokazało się to samo tajemnicze napięcie, które Dallen pamiętał tak dobrze. - W tym czasie polecimy dalej niż ktokolwiek przed nami, ale to tylko na początek. Wkrótce będziemy zdolni zrobić wszystko, co sobie pomyślimy... prze mierzyć Galktykę... wyszukać sfery Ultanów...

Nancy zaśmiała się uradowana:

- Marz sobie dalej, dzieciaku!

- To nie jest takie nierealne, jak ci się wydaje - odparł Mikel poważniejąc, gdy szukał odpowiednich argumentów w swym szczerze wyposażonym umyśle. - Rozważ na przykład taki scenariusz. Wiemy, że Ultanowie umieścili w tej galaktyce przynajmniej osiem sfer. Wiemy również, że wybierali miejsca sprzyjające rozwojowi inteligentnego życia. Zatem kiedy po-

szerzymy naszą wiedzę o tym rejonie Kosmosu, będziemy mogli ustalić, jakie jego cechy sprawiają, że nadaje się on do umieszczenia w nim sfery. Wtedy przeszukamy inne podobne obszary galaktyki i wytropimy inne sfery.

- Proste jak drut - prychnęła Nancy - ale co się stanie, gdy wpadniecie na samych Ultanów?

Dallenowi lubił jak Nancy i Mikel przekomarzali się, wznosząc słowne budowle z czystej fantazji, ale w pewnej chwili zaczęli się zbliżać do chimerycznej krainy Ni-gdy-nigdy z jego własnego, powracającego snu. Czekał więc na odpowiedź chłopca z wyteżoną uwagą.

- Ależ to właśnie próbujemy zrobić - rzekł Mikel. - Same sfery są dla nas bez wartości. Naszym celem jest znalezienie Ultanów, dogłębne ich poznanie, uczenie się od nich, nawiązanie z nimi kontaktu.

- I jakąż to ważną wiadomość byście im przekazali?

Mikel nachmurzył się i przez chwilę jego chłopięca twarz przybrała rysy mężczyzny, jakim w przyszłości miał się stać.

- Na przykład dałbym im do zrozumienia, że nie lubimy, gdy traktuje się nas jak bydło.

Dallen w zamyśleniu odwrócił twarz, uświadamiając sobie, że prawie boi się własnego syna. Wtedy przyszło mu na myśl, że słucha głosu nowej epoki. Faza Orbitsville skończyła się. W przyszłości, kiedy ludzie wyruszą na galaktyczną włóczęgę, będą szukali czegoś więcej niż trawiastych terenów, gdzie mogliby rozbić swe namioty. Wyekwipowani w tachjonowe superstatki, uzbrojeni w naukę mindonową, ze świadomością nieśmiertelności, będą realizowali cele, które mogą być niezrozumiałe dla ludzi z pokolenia Dallena. Ale, jak przeko-

nywał sam siebie, nie ma w tym nic złego. To dowód, że ludzkość znów kroczy naprzód i powinien odczuwać jedynie zadowolenie, że sam przyczynił się do procesu istotnych zmian.

Po południu tego samego dnia Dallen stał z Nancy w kosmoporcie Winnipeg. Obejmował ją ramieniem, obserwując prom, który niósł jego syna na orbitalne spotkanie z *Krzysztofem Kolumbem*. Rozstanie z chłopcem oraz myśl o tym, że Mikel spędzi swe jedenaste urodziny tak daleko od Ziemi, gdzie nie dotarł wcześniej żaden człowiek napawało Dallena smutkiem. Jednak od samego ranka był dziś w podniosłym nastroju i to dodawało mu ducha, gdy patrzył na prom zmniejszający się do rozmiarów srebrnej kropki i znikający w omywanym wiatrami błękitie nieba.

„Ultanowie” - pomyślał - „zobaczymy się jeszcze!”